

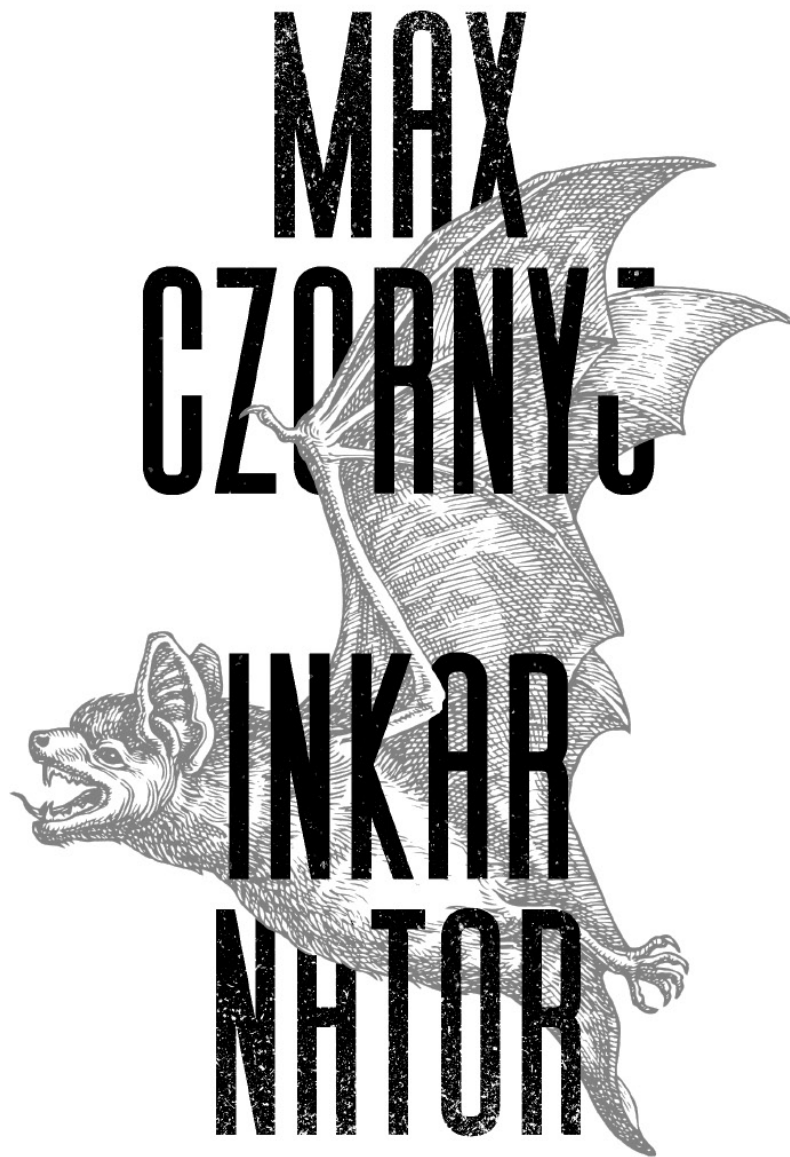
# MAX CZORNY



CZUJE ŚMIERĆ  
BARDZO BLISKO.

# INKAR NATOR

FILIA



**MAX  
CZORNY:**

**INKAR  
NATOR**

**FILIA**

*Ratownikom medycznym –  
w uznaniu profesjonalizmu oraz z podziękowaniami za „środowiskową”  
gotowość do pomocy i konsultacji.*

*Z piekieł P. Lusk Panje posyłam panu pół Nyrki którą wyjąłem jednej kobiecie i zahuwałem dla pana drogą czynść usmażyłem i zjadłem była bardzo smaszna mogę posłać panu okrwawiony nuż jaki ją wyrznął jeśli tylko poczyka pan trochy dłużej. Podpisany Złap mnie kiedy Potrafisz Panje Lusk*

tzw. „List z Piekieł” Kuby Rozpruwacza do policji  
(w tłumaczeniu oddającym zapis oryginału)

## DZIEŃ PIERWSZY

### 1



Przypadki rządzą ludzkością. Gdyby Gavrilo Princip nie udał się do przypadkowej knajpki, a kierowca Franciszka Ferdynanda nie pomylił trasy, być może nie zginęłoby 14 milionów ludzi w trakcie I wojny światowej. Gdyby Abraham Lincoln nie uległ perswazjom żony, nie udałby się do teatru, w którym dosięgnęła go kula zamachowca. Gdyby woźnica Bonapartego nie był pijany i jechał równym torem, przyszły cesarz zginąłby z powodu wybuchu bomby. Gdyby, gdyby, gdyby... Nie zapominajmy również o wielkim upale, w związku z którym w pewnym bunkrze otwarto okna i II wojna światowa nie skończyła się rok wcześniej.

Przypadki, zbiegi okoliczności, zrządzenia losu... Można zastanawiać się nad nomenklaturą i kruszyć kopie w sporach filozoficznych, ale pozostają one jedynie płaszczyzną teorii. Czy gdyby Kolumb uległ namowom pierwszego oficera, Ameryka pozostałaby nieodkryta? Czy gdyby nie układ chmur w kształcie krzyża, wojska Konstantyna Wielkiego nie miałyby dość hartu ducha do walki, a w Europie nie zapanowałoby chrześcijaństwo? Czy gdyby kula, która w wojennym okopie otarła się o hełm Adolfa Hitlera, została wystrzelona ułamek sekundy później, nie doszłoby do Shoah?

Determinizm... Jedne wydarzenia pociągają za sobą kolejne. Tyle że w tej konfiguracji myślowej nie ma miejsca na wolną wolę. Człowiek jest tylko trybikiem w maszynie zdarzeń oraz przypadków.

– Bo tak jest... – wyszeptała postać. – Wszystko jest tylko wielkim równaniem.

Czuł potrzebę tłumaczenia się. Nie przed swoją ofiarą, lecz przed sobą samym. A może przed kimś znacznie potężniejszym? Bogiem? Nie. Bóg nie mieścił się w katalogu racjonalnych możliwości. Chyba że równoważyłby go Szatan. Jeden minus jeden daje zero. A zero wcale nie jest pustką, lecz doskonałą stabilizacją. Stanem idealnej równowagi tego, co ponad, i tego, co pod.

Odkasznął, czując w ustach suchość. W powietrzu unosił się pył. Od wielu tygodni nie padało i wydawało się, że świat pokrywa gruba warstwa kurzu. Choć noc była chłodna, nie przynosiła jesiennego odświeżenia.

– Przepraszam – wyszeptał.

Na ulicy przed bramą kręciło się sporo ludzi, więc musiał się śpieszyć. Nie mógł ryzykować. Choć przecież przypadek mógł sprawić, że ktoś pojawi się za jego plecami właśnie teraz. Lub za kilka sekund.

Jedną dłonią chwycił podbródek kobiety i spojrzał jej w oczy. Odbiło się w nich rozproszone światło odległej latarni. Widział ściekające po policzkach łzy oraz żyły nabrzmiące na jej skroniach. Jego ofiara miała czterdzieści kilka lat, ciemne włosy i szerokie kości policzkowe. Wszystko się zgadzało. Próbowwała go ugryźć, ale zręcznie się uchylił. Była zbyt drobna i zbyt przestraszona, aby walczyć. Otworzyła usta, lecz zamiast krzyku dobył się z nich jedynie charkot.

Morderca poprowadził pojedyncze, głębokie cięcie przez jej gardło. Rozległo się ciche bulgotanie, a z rany wypłynęła czarna – w tym świetle – krew. Oczy kobiety otworzyły się jeszcze szerzej, a nozdrza rozwarły. Nim opuściło ją życie, szalencie zadrżał z ekstazy. Pośpiesznie, w jakiejś dzikiej furii poranił jej twarz brzytwą. Mocne, doskonałe ostrze niemal odcięło jej nos oraz wykroiło kawałki policzków. Strzępy skóry zapadły się i odsłoniły zakrwawione zęby.

– Przepraszam – powtórzył morderca.

Jednym ruchem zdarł z nieruchomego ciała sukienkę, po czym nachylił się nad brzuchem ofiary. Dwa kolejne cięcia sprawiły, że dostał się do trzewi. Zanurzył dłonie w cieplej, lepkiej mazi. Jego palce zacisnęły się na jelitach. Wyciągnął część z nich i rozwłókł wokół zwłok. Pracował

nadzwyczaj szybko. Wszystko nie trwało dłużej niż dwie minuty. Dysząc i parskając, ponownie pochylił się nad swoją ofiarą. Musiał działać niemal po ciemku. Na szczęście szybko trafił na macicę i usunął ją z wnętrza kobiety. W powietrzu unosił się słodkawy, duszny odór krwi, która spływała z rąk mordercy wraz z kawałkami zbrylonego tłuszczu.

Szaleniec gwałtownie się wyprostował i zerknął na swój skórzany fartuch. Ściągnął poły płaszcza, zasłaniając mokre ślady dokonanej jatki.

– Jeszcze tylko napis... – wyszeptał. – Jeszcze tylko przesłanie.

Był na wszystko przygotowany. Po chwili na pobliskiej ścianie nakreślił kilka pokrętnych słów.

– *Voilà* – wyszeptał i zatarł zakrwawione dłonie. – Dokonało się.

## 2



– Tam umarł człowiek, a ty wrzuciłeś szmaty z jego tkanką do zwykłego śmietnika!

– Miałem je oprawić w złoczone ramki i sprzedać jako relikwie?

Honoriusz Mond, trzymając telefon między ramieniem i uchem, wyglądał przez okno pracowni. Na podwórzu kamienicy stała obściskująca się para. Mężczyzna uśmiechał się i gładził kobietę po włosach. Ta mrużyła oczy, przeciągając się jak kotka.

– Jesteś niepoprawny – bąknęła Allegra Szmit. – Mówiłam ci, że wszystko, co ma związek z ludzką tkanką, musi trafić do odpadów medycznych.

– To bez sensu. Czy w papce pozostałej z miesięcznego trupa jest coś bardziej odrażającego od wymiocin albo bardziej szkodliwego niż pestycydy?

– Są toksyczne. Wiesz o tym. Poza tym nie wszystko musi być sensowne i...

– Cholera.

– Co takiego?

Mond nie zwrócił uwagi na wymowne zawieszenie głosu szefowej. Właściwie odkąd Allegra zatrudniła go w firmie sprzątającej miejsca zgonu oraz najbardziej zanieczyszczone zakątki świata, zaprzyjaźnili się i jej utyskiwanie nie robiło na nim wrażenia. Tym bardziej że nie pracował dla niej ze względów finansowych. Miał spore zasoby pozostałe z dawnego, przedkrakowskiego życia, a na bieżące potrzeby wystarczało mu wynagrodzenie otrzymywane za restaurowanie zabytkowych mebli. Była to zresztą nie tylko praca, lecz również jego hobby.

Właśnie teraz Honoriusz znajdował się w swojej kazimierskiej pracowni i usiłował skupić się na wypolerowaniu świeżo nałożonego forniru. Nie było mu to jednak dane. Obserwowana przez niego kobieta pocałowała partnera i położyła mu palec na ustach. Coś wyszeptała, a mężczyzna głośno się roześmiał.

– Mieli się pokłócić – wymamrotał zdumiony. – Jej zmarszczki mimiczne oraz pozycja nóg wskazywały, że jest zdenerwowana. Lekko zaróżowione policzki, przyśpieszony oddech...

– Co ty pleciesz?

– Nic, nic. To pewnie kwestia kąta padania światła.

Honoriusz uniósł w górę trzy palce prawej ręki i powoli je składał. Gdy zacisnął dłoń w pięść, kobieta kichnęła. Mond tryumfalnie się uśmiechnął, po czym oparł o blat stolika z drewna różanego, na który nałożył już blisko dwieście warstw politur. Natychmiast się wyprostował i poprawił węzeł jedwabnego krawata. Bez względu na to, czy pracował nad renowacją mebli, czy sprzątał miejsce odnalezienia rozłożonych zwłok, występował w staroświeckim, czarnym garniturze oraz pod krawatem.

– Wyjaśnisz mi, co się stało? – dopytywała Szmit. – Jesteś prawdziwym wrzodem na gładkim tyłku bobasa.

– Wiesz, że nerw trójdzielny biegnie tuż obok nerwu wzrokowego? – zagadnął Honoriusz, nie odpowiadając na pytanie. – Gdy oślepią nas światło, następuje jego podrażnienie, a w konsekwencji odebrany zostaje błędny bodziec łaskotania we wnętrzu nosa. W rezultacie kichamy.



– I to jest twój komentarz do oskarżeń o wyrzucenie ludzkiej tkanki do śmieci?

– Cholera.

– Robisz sobie jaja?

Mond zacisnął usta i zmarszczył czoło. Przez bramę kamienicy szybkim krokiem na podwórze wszedł Adam Berg. Był to zwalisty komisarz policji, aż nazbyt dobrze znany Honoriuszowi. Na jego widok nasunęły się mu same nieprzyjemne skojarzenia. Mimo że w pewnym stopniu cenił policjanta jako porządnego człowieka, uważał go za dość przeciętnego śledczego.

– Zbliżają się kłopoty – westchnął. – Zdaje się, że muszę kończyć.

– Hono...

Mond rozłączył się, nim Allegra zdążyła zaprotestować. Intrygowało go, że w bramie kamienicy asekurował Berga jeszcze jeden policjant, w dodatku nieumundurowany. Co do roli tego wysokiego, nieznanego mężczyzny Honoriusz nie miał żadnych wątpliwości.

Chwilę później zadźwięczał mosiężny dzwonek w drzwiach. Jednocześnie Mond na zabytkowym klawesynie wygrał pierwsze takty jednej z fug Bacha.

– Nadciągnęła szarańcza – stwierdził, ponuro spoglądając na komisarza. – Pam, pam, pa, pam...

### 3



Chłopiec wysiada z samochodu i się szeroko uśmiecha. Jest szczupły, ma pociągłą buzię, mocny zarys szczęk oraz kształtne usta. Jego ciemne oczy skrzą się nieco łobuzersko, a letni wiatr przygładza zaczesane do tyłu włosy. Malec jest ubrany w grafitowe spodnie oraz białą koszulę, jednak ten formalny strój zdaje się go nie krępować. Najwyraźniej czuje się w nim jak ryba w wodzie.

Ojciec, wysoki, blady mężczyzna w kraciastym garniturze, kładzie dłoń na ramieniu chłopca. Zostawiają samochód na podjeździe rezydencji, ale nie kierują się ku prowadzącym do jej wnętrza schodom, lecz w stronę parku. Tam, pośród wysokich, starych drzew rozstawiono kilka namiotów oraz drewniane ławki.

– Mój kochany urwis!

Smukła, zgrabna kobieta rusza w ich stronę. Jest ubrana w białą sukienkę oraz słomkowy kapelusz z szerokim rondem. Zatrzymuje się kilka metrów od syna i męża, po czym obrzuca ich obu baczny spojrzeniem. Jej wzrok zatrzymuje się na twarzy chłopca.

– Bardzo ładnie – stwierdza, kiwając głową. – Wyglądasz jak młody Redford albo... Jak mu tam? Wiecie, kogo mam na myśli?

– Wygląda doskonale – stwierdza ojciec, nie siląc się, by odkryć, wokół kogo krąży myśli jego żony. Klepie syna po ramieniu i rozgląda się po okolicy. – Wszystko gotowe?

– Tak. Goście zaczną się pojawiać mniej więcej za godzinę.

– Catering?

– Już jedzie. Pozwoliłam się im rozstawić w namiocie. Nie wiem, czy nie będzie padało. W każdej prognozie mówią co innego.

– Świetnie. W takim razie...

Mężczyzna nie kończy, gdyż zza jego pleców wypada roześmiana blondyneczka. Dziewczynka jest o rok starsza od chłopca, ma krągłą buzię pokrytą piegami i duże, niebieskie oczy. Jest ubrana w krótką sukienkę w kwiecisty deseń. Zatrzymuje się i z figlarnym uśmiechem odruchowo obgryza paznokcie. Przez cały czas uważnie przygląda się bratu.

– Wyglądasz jak... wariat – stwierdza nagle. – Nie mogli ci zrobić innej fryzury?

Podchodzi do chłopca, który zdaje się w ogóle nieprzejęty jej słowami, i całuje go w głowę.

– Będę musiała się przyzwyczaić – dodaje. – Nigdy nie widziałam cię z krótkimi włosami. No chyba że wtedy, gdy się urodziłeś, ale tego nie pamiętam... To było już tyle lat temu.

W tej rodzinie rozpoczyna się jedno z najważniejszych świąt. Dzień postrzyżyn chłopca. Choć są to czasy, gdy w kosmos latają rakiety, po autostradach mkną samochody, a Nagrodę Nobla w dziedzinie chemii otrzymali Sidney Altman oraz Thomas Cech za odkrycie katalitycznych właściwości RNA, ta rodzina rządzi się swoimi prawami.

– Mój mały braciszek. – Dziewczynka przytula się do chłopca i szeroko się uśmiecha. – Mama mówi, że od teraz jesteś już prawie dorosły.

– O rok mniej niż ty – zazdrośnie zauważa malec. – Ale przede mną również rok więcej życia.

Ta uwaga chłopca wywołuje konsternację jego matki. Kobieta z wyrzutem spogląda na męża, jakby to on zaszczepił synowi podobne skojarzenia. Jednak dziewczynka nadal się śmieje. Szczypie brata w policzek, po czym rzuca się biegiem ku namiotom.

– Chodź, rozstawimy dekoracje! Chcę, żebyś zapamiętał ten dzień na całe życie.

– Zapamiętam, że nazwałaś mnie wariatem.

– To z miłości – droczy się dziewczynka. – Zawsze chciałam mieć brata wariata.

Kobieta z rezygnacją przewraca oczami.

#### 4



– Pojedziesz ze mną i wysilisz swoją mózgownicę. Rzucisz na wszystko okiem, a potem, mam nadzieję, wyciągniesz z tego jakieś genialne wnioski.

– Nie.

Krótkie oświadczenie Monda sprawiło, że Berg spurpurowiał. Wbił w niego wściekłe spojrzenie i zwiesił głowę niczym byk szykujący się do ataku. Już kilkakrotnie Honoriusz pomagał mu przy śledztwach. Było to

co prawda incydentalne, choć sprawy kryminalne miały dziwną moc przyciągania osób, które się z nimi zetknęły.

Pan Vidocq, Leonardo da Vinci kryminalistyki... Te określenia Berg pamiętał jeszcze z czasów studenckich, gdy w szkole policyjnej z cyklem wykładów pojawił się nowy, bardzo młody i bardzo uznany wykładowca. Był nim właśnie Honoriusz Mond, ówczesny doktor dziedziny tak wąskiej, że mało kto był w stanie zapamiętać jej nazwę.

Mortalistyka.

Nauka o śmierci jako punkcie wyjścia do prowadzenia wszelkich śledstw. W kręgach akademickich o Mondzie nie mówiono inaczej niż właśnie jako o Mortaliście. Berg nie wiedział, jak dokładnie potoczyły się dalsze losy genialnego wykładowcy. Jakież było jego zaskoczenie, gdy po latach, zamiast w gwarnej („tymczasowej”) stolicy, całkowicie przypadkowo spotkali się w Krakowie. Do tego Honoriusz nie występował ani jako specjalista, ani jako policyjny konsultant. Cywilny współpracownik? Ekspert? Jego funkcja pozostała nienazwana, lecz prokuratorzy bez problemu zgadzali się, by wspierał grupy dochodzeniowo-śledcze. Mond nie robił jednak tego ochoczo, a wręcz przeciwnie, starał się trzymać od zbrodni jak najdalej.

– Nie? – groźnie bąknął Berg. – To rozkaz.

– Nie jestem żołnierzem.

– Ale...

– Proszę zostawić mnie w spokoju. Pański podwładny w bramie wyraźnie się niecierpliwi.

Berg nawet nie zerknął przez okno. Wbił wzrok w surową, pozbawioną jakichkolwiek emocji twarz Monda.

– Nie jesteś zainteresowany? Nie zapytasz, z czym przychodzę?

Honoriusz wrzucił ramionami.

– A może chce pan, żebym zarządził przeszukanie tej sutereny? – Komisarz z uśmiechem zmrużył oczy. Po chwili mówił dalej: – Słyszałem co nieco o twojej słabości do opium... Wyrabiasz je samodzielnie, ale pewnie przetrzymujesz gdzieś tutaj? Mam rację?

Berg otworzył stojącą najbliżej szafkę i zajął do środka. Była pusta, więc chwycił za uchwyt biedermeierowskiej mahoniowej bieliźniarki. Mond włożył dłonie do kieszeni i z obojętnością obserwował jego poczynania. Po chwili jednak wyciągnął opakowanie ulubionych cygaretek Montecristo. Włożył jedną z nich do srebrnego ustnika, po czym zapalił.

– Dawniej nazywano to gwałtem albo zajazdem – skwitował. – W innych okolicznościach domagałbym się nakazu.

– Śmierć już w ogóle cię nie interesuje?

– Interesuje mnie aż za bardzo. Ale to tylko mój problem.

– Więc?

– Skoro posuwa się pan do nielegalnego przeszukania... – Mond wypuścił gęsty kłęb dymu i skierował się w stronę drzwi. Po drodze zdjął z hebanowego smukłego wieszaka czarną, stylową fedorę. – Niech pan prowadzi, komisarzy. Może uda się panu mnie zaskoczyć.

Berg z grymasem ulgi rzucił się za Honoriuszem.

– Wiem, że wiele widziałeś, ale czegoś takiego jeszcze nie – zapewnił całkowicie bez entuzjazmu. – To kompletne szaleństwo. Zresztą sam się przekonasz.

## 5



– Rudi, Benc!

Dwa spore kundły wybiegły z krzaków rosnących na zaniedbanej parceli i pognały do około czterdziestoletniego mężczyzny ubranego w kraciaste spodnie, czerwoną kurtkę oraz znoszony kaszkiet.

– Dobrze pieski. A teraz Gamoń i Syjam!

Jak spod ziemi wyrosły przy nim dwa łaciate koty. Otarły się o nogawki swojego pana, po czym, nie robiąc sobie nic z obecności psów, pomaszerowały chodnikiem. Całe ludzko-zwierzęce stado podążało

wąską uliczką, po której bokach ciągnęły się zapuszczone kamienice oraz nieużytki. Był zaskakująco ciepły, duszny poranek. Kolejne pogodowe kuriozum tego roku, przez które przejazd każdego z aut po nierównej ulicy wzbijał w powietrze tumany pyłu.

Poza pojedynczymi samochodami nic jeszcze nie świadczyło o tym, by świat budził się ze snu. Choć okolica i tak zazwyczaj była rzadko uczęszczana, uboczna, a większość mieszkańców w ostatnich dekadach przeniesiono do lokali socjalnych. Tutejsze, około stuletnie budynki, w znacznej części groziły zawaleniem.

– A gdzie jest Nienazwany?

Mężczyzna w kaszkiecie rozejrzał się i cicho zagwizdał. Miał okrągłą, nieco pyzatą twarz z pasemkami tłustych włosów wymykających się spod kaszkietu. Zmrużył oczy, sprawiając, że krzaczaste brwi zlały się niemal w jedną linię.

– Nienazwany... – wyszeptał zdenerwowanym tonem. – Powiniennem nadać mu imię od razu po odnalezieniu. To źle wróży... Nienazwany!

Chciał krzyknąć po raz kolejny, gdy z pozbawionego drzwi, ceglanego budynku po prawej wybiegł kudłaty kundelek. Była to znajda, na którą natrafił przed kilkoma dniami i którą z trudem udało mu się odratować. Piesek odwdzięczał mu się całym sercem, zazwyczaj niemal go nie odstępując. Teraz, jakby zaskoczony tym, że jego opiekun przestraszył się jego nieobecnością, potulnie merdał ogonem.

– Nienazwany, przyjacielu! Gdzieś ty łaził...

Mężczyzna pochylił się i pogłaskał psiaka po głowie. Ten uniósł pyszczek, jednocześnie ostrożnie zerkając na reakcję pozostałych dwóch psów.

– Co ty masz? U licha... Puść to!

Mężczyzna ostrożnie wyciągnął z pyska psiaka ociekające krwią mięsne zawiniątko. Przypominało nieco obkurczone, wołowe serce. Było jednak zbyt małe.



– Proszę zgasić cygaro.

– To cygaretki.

– W takim razie proszę zgasić tę cygaretkę. Natychmiast. To pojazd służbowy i...

– Jedzie pan jak szalony. – Mond wszedł Bergowi w słowo. – Staram się w ten sposób uspokoić. Poza tym cierpię na chorobę lokomocyjną i zdarza mi się wymiotować, a nikotyna działa zapobiegawczo. Niech pan się zastanowi, co woli...

Komisarz zerknął przez ramię i spiorunował Honoriusza wzrokiem. Ten z niewzruszonym wyrazem twarzy raz po raz się zaciągał, po czym wypuszczał dym ku przednim siedzeniom. Towarzyszący Bergowi nieumundurowany policjant opuścił szybę, wpuszczając do środka świeże powietrze.

– Czy to substytut światła kierowanego przesłuchiwanemu prosto w oczy? – Mond na dowód, że nie zważa na chłód, wygodnie rozparł się na tylnej kanapie. Zaciągnął się jeszcze raz, a następnie teatralnie wypstryknął niedopałek na zewnątrz. Pęd powietrza porwał go i rozwiął iskry tuż obok ucha siedzącego z przodu funkcjonariusza.

– Niech cię szlag – syknął Berg. – Zaczynam żałować, że wpadłem na pomysł skontaktowania się z tobą.

– I oby tak dalej. O niczym innym nie marzę niż dać panu nauczki na przyszłość.

Komisarz wcisnął gaz do dechy i auto wyrwało do przodu. Z zawrotną prędkością pokonywało wąską, krakowską uliczkę. Na szczęście nie było dużego ruchu, gdyż Berg zdawał się być gotów wyprzedzać nawet po chodnikach.

– Czy zmarłym się gdzieś śpieszy? – Mond obserwował mijane zaułki oraz przecznice.

– Żywym, mój drogi – odparł Berg. – Żywym – powtórzył z naciskiem.

– A więc mamy porwanie? – Honoriusz starał się uchwycić wzrok komisarza w lusterku, lecz zaraz sam sobie odpowiedział: – Nie. Wtedy działałby negocjator, a wszelkie procedury musiałyby być zachowane z podwójną dbałością. Nikogo postronnego – to główna zasada. W takim razie... Po pańskiej minie spodziewałbym się najgorszego.

– Na przykład?

Mond parsknął, po czym zdawało się, że ponownie całkowicie stracił zainteresowanie rozmową. Beznamiętnie obserwował obrazy przesuwające się za oknem. Wreszcie, gdy auto się zatrzymało, powiódł wzrokiem po zebranych wokół ludziach, po policyjnych taśmach oraz wozie ekipy kryminalistycznej.

– Seryjny lub potencjalny seryjny morderca – skwitował, wysiadając. – Przypuszczam, że tamci funkcjonariusze wymiotują z innego powodu niż choroba lokomocyjna? Niech pan tak na mnie nie patrzy, komisarzu, to nawet nie kwestia dedukcji. Wystarczy zwykła empatia.

– Chodź za mną. Za chwilę i tobie zrzędzie mina.

– Woda na młyn – rzucił Mond. – Niech pan nie zapomina, że dla mnie śmierć to woda na młyn, komisarzu. Nic więcej i nic mniej. Kwestia energii.

Honoriusz przyśpieszył kroku, wyprzedzając Berga. Nie musiał się pytać, dokąd powinien się kierować.

## 7



– Zdziwisz się, gdy to wreszcie zobaczysz. Zdaje ci się, że wszystko widziałeś, ale to gówno prawda. Nie masz pojęcia, do czego zdolny jest człowiek...

– I jakie może tkwić w nim zwierzę – dokończył Mond za Berga.

Od kilkudziesięciu sekund z ust komisarza płynął strumień słów. Zapewne w ten sposób policjant starał się przygotować samego siebie do



ponownego pojawienia się na miejscu zbrodni. Choć był postawnym, doświadczonym gliniarzem, sprawa musiała poruszyć nawet jego. I to mocniej, niż można by się spodziewać.

– Jesteśmy w dupie, przyznaję – ciągnął, dla odmiany niemal familiarnym tonem. – A ty, Mortalisto, pomogłeś nam dwa razy, pomożesz więc trzeci. Rozumiesz?

– Do trzech razy sztuka? To działa tylko w bajkach.

– Naprawdę?

– Statystyka jest nieubłagana. Teoria prawdopodobieństwa również, choć w zasadzie to także kwestia umiejętności.

– Właśnie, właśnie! Przepraszam...

Berg przeprowadził Monda między członkami ekipy dochodzeniowej, którzy obrzucili go badawczymi spojrzeniami. Większość z nich doskonale wiedziała, kim jest. Błyskotliwe sukcesy sprawiły, że wbrew własnej woli stał się powszechnie rozpoznawalny. Nakręcono nawet o nim kilka reportaży oraz film dokumentalny. Nie zamierzał prostować bzdur, które w nim opowiedziano, między innymi dlatego, że go nie widział.

– Nie chcę brać udziału w żadnym śledztwie – rzucił, przechodząc przez otwartą bramę. Jak zauważył, była to jedna z tych krakowskich bram, które zachowały się w niezmienionej formie od stu lat. Z odbojnikami, progami oraz belkami do przejazdu dorożek. Rzadkość, ale nie nadzwyczajna. Głęboko wciągnął powietrze i się uśmiechnął. – Krew, wiele krwi.

– I nadal twierdzisz, że śledztwo cię nie interesuje?

– Śledztwo? Ani trochę. Miewam przelotne zafascynowanie krwią oraz zwłokami, ale jednocześnie mam gdzieś te wasze skostniałe procedury i metodologię.

– Rzuć tylko na to okiem – fuknął Berg.

– W tych okolicznościach to wyjątkowo niefortunny związek frazeologiczny.

Komisarz już tego nie skomentował. Upewnił się, że technicy zakończyli swoją pracę, i nakazał rozejść się stojącym wokół policjantom.

Momentalnie wokół zrobiła się pustka. Większość funkcjonariuszy ulotniła się jak kamfora, z ulgą opuszczając niechciane posterunki. Mimo to Mond ostentacyjnie uniósł głowę i wbił wzrok w popękane sklepienie bramy.

– Jeżeli, jak pan to nazwał, rzucę na to okiem, nie wspomni pan ani słowem o opium? – zagadnął niedbałym, chłodnym tonem.

– Ani słowem – zapewnił Berg.

– Mamy układ?

– Tak.

– Słowo dżentelmena?

– Chcesz, żebym to spisał i opieczętował?

Mond opuścił głowę i spojrzał komisarzowi prosto w oczy.

– Najlepiej własną krwią – stwierdził całkowicie poważnie. Następnie, bez choćby drgnięcia powieki, przeniósł wzrok w głąb bramy.

Jego twarz nie zdradzała żadnych emocji, gdyby nie oczy. To właśnie w nich można było dostrzec błysk niezwykłego zaciekawienia.

– Co o tym powiesz, Mortalisto? – Mond wysyczał to pytanie sam do siebie. – No, proszę, proszę...

Po chwili nieśpiesznie ruszył naprzód.

## 8



– Zwłoki już zabrano.

– Ponoć prawie nigdy nie są ci potrzebne, Mortalisto.

– Metoda obdukcyjna, jak sama nazwa wskazuje, sprowadza się do oględzin ciała. Choć rzeczywiście, czasem jego brak nie robi różnicy.

Mond lekko poluzował węzeł krawata i uważnie lustrował otoczenie. Ceglane, poobdzierane z tynku ściany, ślady otarć powozów sprzed stu lat, sklepienie pozbawione latarni, wreszcie kamienny bruk naznaczony efektami pracy kryminalistów. Do tego intensywny kontrast między

jasnością szpetnego podwórza a wilgotną ciemnością bramy. Na szczęście policja skutecznie odsunęła gapiów, więc poza kilkoma funkcjonariuszami nikt nie rozpraszał Honoriusza.

– Ofiara leżała na plecach w nienaturalnej pozycji – odezwał się tonem pozbawionym jakichkolwiek wątpliwości, jakby stwierdzał najprostsze fakty. – Oczywiście nie ma mowy o samobójstwie. Ta osoba została zamordowana, gdyż nikt nie jest w stanie na żywca usunąć sobie nerki oraz, jak sądzę, fragmentów macicy. To kobieta, prawda? Chyba jak dotąd nie mijam się z tym, co zastaliście?

Mond, nie czekając na odpowiedź, zrobił kilka kroków w stronę pozostawionego przez techników znacznika i przykucnął. Po zakończeniu pracy oraz zebraniu wszelkich śladów miejsca mordów były zazwyczaj starannie sprzątane, ale wykonywała to oddzielna ekipa. Kryminaliści znikali po zabezpieczeniu dowodów. Jeżeli plama krwi mierzyła pół metra na metr, do laboratorium nie trafiała całość, a jedynie wybrane próbki, chyba że zachodziłoby podejrzenie, że krew pochodzi od kilku osób. W tym przypadku jednak tak nie było. Co więcej, to właśnie po jej charakterystycznym kolorze Mond wnioskuje o obrażeniach odniesionych przez denatkę.

– Usunięto lewą nerkę, gdyż gdyby to była prawa, morderca, który nie sprawia wrażenia całkowicie opanowanego, zapewne uszkodziłby również wątrobę. Ślady krwi są jednak zbyt jasne, nawet po stężeniu i wyschnięciu... – Mond przesunął się o niespełna pół metra i przeniósł wzrok wyżej. – Ale wcześniej sprawca pociął jej twarz. Zrobił co najmniej trzy podłużne, długie cięcia. Chlastał czymś bardzo ostrym, co doskonale rozpruwało skórę. Z góry na dół, z dołu w górę i potem z lewej do prawej przez górną wargę.

Berg jak oniemiały wpatrywał się w Mortalistę prezentującego ruchy, jakie, zadając ciosy, musiał wykonywać zabójca. Przypominał przy tym dyrygenta kierującego niewidzialną orkiestrą. Przez chwilę nawet cicho coś nucił, po czym nagle podniósł się z klęczek i wyprostował. Sięgnął do runda kapelusza, jakby upewniając się, że ma go na głowie.

– Ofiarę odnaleziono szybko, próbowano ją jeszcze reanimować, choć to nie miało sensu – ciągnął. – Obrócono ją wtedy na bok, do pozycji, którą na wyrost nazywa się „bezpieczną”. Wtedy z podbrzusza zamordowanej wypłynęły jelita, a krew zachlapała buty osoby, która odnalazła zwłoki. Ale to już nie ma znaczenia...

– To wszystko? – Berg sięgnął po notes i pośpiesznie coś zapisał. – A może...

– Mógłbym mówić jeszcze godzinami, ale co komu po tym? – Mond założył dłonie za plecy i spojrzał na miejsce zbrodni z nieco innego kąta. – Kobieta niemal się nie broniła, została zaatakowana nagle, co może świadczyć o tym, że ufnie weszła do tej bramy. Jeśli nie mieszka w kamienicy, musiałaby mieć jakiś powód lub ulec namowie sprawcy. Ach, chyba zapomniałem wspomnieć o gardle! Poderżnięto je w momencie, gdy miała otwarte usta. Wówczas ciśnienie wyrzuciło krew dwoma strumieniami... A może się mylę?

Honoriusz odwrócił się do Berga i spojrzał na niego spode łba. Komisarz ponuro sapnął. Schował notatnik, po czym machnął w stronę jednego z funkcjonariuszy stojących przy wejściu do bramy.

– Pokażcie mu rezultaty sesji fotograficznej – rzucił z przekąsem. – Niech cię cholera, Mortalisto. Niech cię cholera!

## 9



Pulchny, puciołowaty policjant podał Mondowi aparat cyfrowy, a następnie, widząc zakłopotanie Mortalisty, zamienił go na spory tablet.

– Ja będę przewijał – oznajmił, domyśliwszy się, że Mond nie należy do ludzi nazbyt obeznanych z najnowszą techniką. – Proszę tylko to trzymać.

– Dokładnie taki miałem zamiar. Ale z góry zastrzegam, że nie macie bladego pojęcia o tym, co mnie podnieca.

Berg łypnął na Honoriusza, lecz ten pozostawał całkowicie poważny. Łapczywie wpatrywał się we wciąż wygaszony ekran tabletu. W końcu, gdy policjant nawiązał połączenie Bluetooth, na urządzeniu wyświetliło się pierwsze ze zdjęć przesłanych z aparatu.

– Wykonane przez techników, zaraz po pojawieniu się na miejscu – wyjaśnił Berg. – Cała sesja.

– A więc teraz nie potrzeba ciemni ani kliszy...

– Co takiego?

– Nic, nic, panie komisarzu. Proszę pokazywać następne.

Berg skinął do drugiego funkcjonariusza, a ten posłusznie co kilka sekund wyświetlał kolejne fotografie. Pokazywały one odnalezione zwłoki nie tylko z różnych perspektyw, lecz także w rozmaitych zbliżeniach. Kilka pod rząd skupiało się jedynie na makabrycznie zakrwawionej, oszpeconej twarzy ofiary. Następne pokazywały rozprute gardło, z którego zionęła ciemność tchawicy. Zdjęcia najwyraźniej wykonano jeszcze w nocy, przy mocnym świetle reflektorów.

– Myślałem, że cięcie nad ustami poprowadzono nieco bardziej ukośnie... – Mond oderwał prawą rękę, niemal upuszczając tablet. Niezrażony, wykonał nią ruch mający naśladować cios zadany przez mordercę. – Tak, to ma sens...

– Czy na podstawie zdjęć wyciągnąłeś jakieś nowe wnioski? – Berg przysunął się do Honoriusza i utkwiał w nim zachłanne spojrzenie.

– Wnioski?

– Tezy, przypuszczenia, sugestie...

Mond delikatnie się uśmiechnął i oddał tablet grubszemu policjantowi. Pokaz dobiegł końca, a jego jak zwykle bawiła gra w słówka prowadzona z komisarzem.

– Domniemania lub supozycje? – Wzruszył ramionami. – Nie interesują mnie zbyt. Chciał mnie pan sprawdzić, więc opisałem wszystko, co zostało przede mną ukryte.

– Zgodnie z procedurami ciało zostało zabrane po dokonaniu czynności – zachnął się Berg. – Nie cały świat kręci się wokół ciebie, mój drogi.

– Wszyscy myślimy dokładnie w ten sposób. Nie potrafimy pozbyć się własnej perspektywy...

– Więc?

Honoriusz wytrzymał piorunujące spojrzenie komisarza. Włożył dłonie do kieszeni, po czym zerknął ku wyjściu z bramy.

– To nie jest pierwsza ofiara, prawda? – zagadnął obojętnie. – Wiecie o tym albo właśnie się tego domyślacie.

Berg zacisnął usta i zmrużył oczy. Odruchowo ponownie sięgnął po schowany do kieszeni notes, ale go nie wyciągnął. W obecności Monda zachowywał się nieco jak uczeń, co sobie wiecznie wyrzucał. Na skronie wystąpiły mu kropelki potu, a dłonie zaczęły się delikatnie trząść.

– Coś jeszcze?

Mortalista pokręcił głową.

– Straciłem jakiegokolwiek zainteresowanie śmiercią. Francuzi mają na to ładne słowo, *désintéressement* – stwierdził cierpko. – Mówiłem panu, że nie będę zajmował się tą sprawą i nie zmieniłem zdania. Skończyłem z tym.

– Ale...

– Mieliśmy układ. Słowo dżentelmena, pamięta pan?

Berg się skrzywił. Mimo to Mond, nie czekając na jego reakcję, skierował się w stronę ulicy. Niezatrzymywany przez nikogo, przeszedł pomiędzy bacznie przyglądającymi mu się policjantami i wmieszał się w tłum gapiów. Szedł powoli, lekko pochylony, jakby nie chciał spotkać się z nikim wzrokiem. Po kilkudziesięciu metrach przystanął i się odwrócił. Pewna myśl uporczywie zaprzątnęła jego uwagę. Jeszcze raz omiół wzrokiem okolicę i zacisnął usta, jakby chciał powstrzymać się przed wypowiedzeniem jakichś słów.



Jednym z niewielu współczesnych gadżetów, z jakimi obcował Honoriusz, były hulajnogi elektryczne. Swego czasu Allegra pokazała mu, jak się z nich korzysta, zainstalowała na jego telefonie odpowiednią aplikację i w ten sposób dokonała w życiu Monda drobnego przełomu. Oto człowiek, który niczym cesarz Franciszek Józef gotów był złożyć nowoczesną technologię na ołtarzu ofiarnym, Honoriusz zaczął częściej poruszać się po mieście hulajnogami niż ulubionym, wielkim jaguarem. Była to oczywiście przede wszystkim kwestia pragmatyzmu, a trudno by szukać kogoś równie pragmatycznego jak on.

Kilkanaście nieodebranych połączeń oraz esemesów od Szmit nakłoniło go do wysłania do niej krótkiej wiadomości. Zaproponował, by spotkali się przed Hotelem Francuskim, gdzie od wielu miesięcy wynajmował pokój. Całą trasę ze Starego Podgórze pokonał w niecały kwadrans, pochłonięty myślami, które bezskutecznie usiłował odgonić. Chaos myśli bywał jego przekleństwem.

Gdy wreszcie znalazł się na miejscu, dostrzegł, że Szmit czeka wpatrzona w wejście do kościoła pijarów. Miała na sobie kwiecisty płaszcz oraz czerwony beret. Nie sposób było jej nie zauważyć.

– Nawróciłaś się na monoteizm? – zagadnął, zsiadając z hulajnogi. – Czy podziwiasz architekturę?

– Wiara w wielu bogów monoteistycznych nie czyni człowieka politeistą.

– Ale znacznie ułatwia poligamię.

Allegra spojrzała z ukosa na Monda i z niedowierzaniem pokręciła głową.

– Co się stało? – zapytała, gdy ruszyli obok siebie w stronę rynku. – Wyjaśnij mi, czego chciał Berg? Czy ma to związek z tym morderstwem, o którym...

– Przestań, proszę. – Honoriusz niedbale machnął ręką. – Tak, Berg chce, żebym pomógł mu w śledztwie, ale wolę mówić o czymkolwiek

innym. Dobrze?

- Wcale nie dobrze. Mordujesz moją kobiecą ciekawość.
- Ciekawość to pierwszy stopień do piekła.
- Wierzę w Walhallę, Eden i Elizjum, ale nie w piekło.
- Właśnie dlatego jesteś nieznośna. Takim jak ty musiano zagrozić ogniami piekielnymi i garami ze smołą, żeby...

Honoriusz westchnął. Widząc świdrujące spojrzenie Szmit, ponuro kiwnął głową. Nie miał ochoty się droczyć. Przynajmniej przez najbliższy kwadrans.

- Siłąc się na poetyczność – kolejna sprawa może zepchnąć mnie z urwiska, po którym i tak chodzę zbyt długo – bąknął. – Rozumiesz?

– Wolałabym nie...

– A jednak rozumiesz.

Allegra chwyciła go delikatnie za dłoń, lecz Mond się wywinął.

- Chodźmy na drinka, po prostu – skwitował. – Dobrze?

– Mhm.

Zapadła między nimi cisza, którą po kilkunastu krokach ponownie przerwała Allegra.

- Nigdy cię takiego nie widziałam – stwierdziła, odruchowo dotykając jednej z dziesiątków tajemniczych bransoletek na nadgarstku.

– Jakiego?

– Przestraszonego? Zdeprymowanego?

W tonie jej głosu pobrzmiwało pytanie, ale Mond i tak na nie nie odpowiedział. Pchnął drzwi do CK Browaru, po czym zerknął na zegarek.

- Na szczęście już minęła dwunasta – oznajmił chłodno.





Garson CK Browaru, zwany, nie wiedzieć czemu, Francem, szeroko rozłożył dłonie i wydał usta w uśmiechu. Jego górna warga uniosła się, a wraz z nią obfite, podkręcone wąsy. Mężczyzna uchodził za jeden z symboli lokalu, na równi z portretem Jego Cesarsko-Królewskiej Mości zawieszonym na klatce schodowej i nieustranym bynajmniej przez muchy, jak to cudownie opisywał Hašek.

– Czym mogę zaspokoić państwa znamienite podniebienia? Czym mogę ukoić ból apetytu oraz ugasić pustynne pragnienie?

Allegra niezmiennie nie potrafiła powstrzymać się na widok Franca od uśmiechu, tymczasem Mond pozostał śmiertelnie poważny. Wykonał gest, który miał pokazać jego gotowość do odwieszenia płaszcza Szmit, lecz ta nie zareagowała. Niezrażony tym, poprowadził ją do najbliższego stolika.

– Absynt? – zapytał rytualnie.

Jakiś czas temu do oferty lokalu wprowadzono wyborną piołunówkę, robioną niemal dokładnie według receptur sprzed ponad stu lat. Oczywiście odpowiednio wykastrowaną, jak to określał Mond, z mającego ponoć właściwości psychoaktywne tujonu.

– Absynt... – zgodziła się niepewnie Allegra. – Ale w stosunku jeden do dziesięciu do lodowatej wody oraz z kropelką jakiegoś szalenie słodkiego syropu.

Honoriusz powstrzymał się, by się nie skrzywić. Franc zdawał się podzielać jego zdanie i jedynie kiwnął głową. Po chwili jednak otrząsnął się z szoku, po czym ponownie uśmiechnął.

– Coś do jedzenia?

– Allegro?

– Niedawno pożarłam poranną porcję manioku z chichą.

– Zagryzając go hostią? – Mond nie mógł powstrzymać się przed uszczypliwością, lecz zaraz zwrócił się do Franca: – Wobec tego tylko napitki.

– Tylko napitki – powtórzył kelner, po czym skłonił się i odszedł do baru.

Nim Allegra i Honoriusz wygodnie się rozsiedli, na stoliku przed nimi stały zamówione napoje. Mond niemal natychmiast w zamyśleniu przytknął kieliszek do ust. Głęboko zaciągnął się mocnym, ziołowym aromatem i upił kilka kropli. Allegra obserwowała go, smakując zrobiony przez Franca koktajl, w którym niemal zabito ostry posmak absyntu.

– Nie chciałeś gadać o tym mordzie, a i tak widzę, że ciągle o nim myślisz – zagadnęła. – Rozsadza ci mózg niczym wielki guz.

– Jesteś wyjątkowo obrazowa, ale się mylisz.

– Nie kłam.

Te dwa słowa, rzucone niemal matczynym tonem, sprawiły, że w twarzy Monda coś się zmieniło. Przemknął przez nią jakiś delikatny grymas, rysy się rozluźniły, a spojrzenie złagodniało. Powiódł wzrokiem po zebranych wokół, jeszcze niezbyt licznych gościach lokalu, wreszcie ponownie utkwiał go w Szmit.

– Przepraszam... – wyszeptał. – Dość. Koniec z tym.

– Jak chcesz. Ale jeśli tylko...

– Nie. Wybaczysz mi?

Mond nieoczekiwanie dopił całą zawartość kieliszka i się podniósł. Chwycił płaszcz oraz kapelusz, po czym zmieszany zerknął na Szmit.

– Na pewno się nie obrazisz? Muszę sam sobie z tym poradzić... Jeszcze sekunda wśród ludzi i oszaleję.

Allegra uśmiechnęła się i delikatnie kiwnęła głową. Powoli upiła kolejny łyk drinka.

– Nie potowarzyszyć ci? – zapytała łagodnie.

– Nie. – Honoriusz zacisnął usta. – Muszę sam zerwać ze śmiercią. Nie chcę nikogo ciągać ze sobą, a już na pewno nie ciebie.

Pochylił się i delikatnie dotknął dłoni przyjaciółki. W tym momencie Allegra się wzdrygnęła. Jej twarz nagle zbladła, a pod oczami wystąpił rumieniec. Zacisnęła usta, po czym spuściła wzrok.

– Poczułaś coś? – Mond zmarszczył czoło.

Szmit nie oderwała spojrzenia od stolika i potrząsnęła głową.

– Przecież i tak w to nie wierzysz. Ale... – Zawahała się, lecz po chwili nieśmiało łypnęła prosto w oczy Honoriusza. – Czuję śmierć. Bardzo blisko.

Mond przez chwilę pozostał całkowicie nieruchomy. Nagle jakby oprzytomniał, uśmiechnął się pokrzepiająco i skierował do wyjścia.

– Bzdury. – Machnął na odchodne ręką. – Poza tym mało odkrywcze bzdury. I masz rację, ani trochę nie wierzę w tę szarlatanerię.

## 12



Po powrocie Mond zaszył się w swoim pokoju na piętrze Hotelu Francuskiego. Dyrekcja zgodziła się na najem długoterminowy, do tego na korzystnych warunkach, a on nie wyobrażał sobie doskonalszego miejsca. Chodziło zresztą nie tylko o położenie, ale również o pocztę pneumatyczną, Salę Olimpijską oraz ducha wielu pokoleń, które raczyły się udogodnieniami tego obiektu.

Ze względu na okres najmu przymknięto oko na demontaż czujników dymu oraz kilka drobnych zmian poczynionych przez Honoriusza. Poza wyciszeniem drzwi sprowadził on do pokoju między innymi zabytkowy, własnoręcznie odnowiony szpinet. Uwielbiał ten elegancki instrument, a gra na nim potrafiła go wyciszyć i ukoić ból.

Od wielu lat Mond cierpiał na chroniczne bóle stawowo-mięśniowe, które okresami niemal go paraliżowały. Lekarze nie potrafili ich zdiagnozować, podejrzewano nawet podłoże psychiczne, lecz ostatnimi czasy sugerowano, że Honoriusz cierpi na mało znane schorzenie – fibromialgię. Dostępność oraz rozwój terapii nie przekonywały Monda. Sam odkrył, że poza okazjonalnym, odpowiednio dozowanym absyntem oraz wytwarzanym przez siebie opium pomagała mu właśnie gra na szpinecie. Nie umywały się do niego ani pianino, ani fortepian, przez co Honoriusz czasem nazywał siebie szczurem prowadzonym przez flecistę

z Hameln. Tyle że zamiast fletu wiódł go ton tego rzadkiego instrumentu.

Teraz, po kilku taktach „Pożegnania ojczyzny” Ogińskiego, przeszedł do znacznie lepiej nadającej się do szpinetu „Sarabandy” Haendla. Przez cały czas jego myśli meandrowały wokół miejsca zbrodni, w którym był przed paroma godzinami, oraz dostrzeżonych w nim szczegółów. Miał wrażenie *déjà vu*, jakiegoś nawracającego obrazu, który był szalenie istotny. Choć ze wszystkich sił usiłował oderwać od niego uwagę, obraz ten powracał raz po raz, sprawiając, że mylił nuty.

Jak zwykle, gdy skupiał się na rozmaitych aspektach zbrodni oraz śmierci, ból jego ciała zaczynał się wzmacniać. Muzyka już nie potrafiła go ukoić. Nagle przestał grać i założył dłonie na kark. Przymknął oczy, jednocześnie krzywiąc się z bólu. To właśnie powiązanie jego występowania z pewnymi myślami sprawiało, że wymykał się konkretnej diagnozie.

– Fée Verte<sup>[1]</sup> – wymamrotał, po czym zerwał się do stojącej nieopodal szafki. Zatoczył się i upadł na kolana. Niemal czołgając się, sięgnął ku drzwiczkom.

To właśnie w niej trzymał schowane opium oraz wszelkie narzędzia potrzebne do jego palenia. Specjalne dalekowschodnie fajeczki, srebrne szczypczyki oraz zapalki. Ostatkiem sił woli przeniósł wzrok na zawieszony na ścianie zdjęcie swojego ojca. Sfotografowany przed ponad dwoma dekadami mężczyzna przypominał człowieka przeniesionego z zamierzchłej epoki. Miał pociągłą twarz, bujne wąsy oraz nosił wysoki, wykrochmalony kołnierzyk, spod którego wystawał elegancki fular. Mond z trudem się opanował. Nie mógł pozwolić, by przez opium oraz szantaż Berga stał się zakładnikiem śledztwa. Nie istniało nic cenniejszego niż wolność i był gotów w jednej chwili pozbyć się wszelkich swoich zapasów narkotyku.

– Fée Verte – powtórzył, lecz zamiast nalać sobie absyntu, podniósł się i powoli podszedł do niewielkiej biblioteczki. Błyskawicznie przebiegł wzrokiem grzbiety książek, po czym sięgnął po jedną z nich.

Niespodziewana myśl sprawiała, że ból wzmógł się jeszcze bardziej. Rzeczywiście śmierć była bliżej, niż Allegra mogła przypuszczać. Mond pośpiesznie przerzucał kolejne strony, poszukując odpowiedzi na palące go pytania. Od odpowiedzi mogła zależeć jego najbliższa przyszłość.

## 13



Honoriusz niczym w transie przerzucał kolejne strony książki. Zrobił kilka kroków, zagrał początek jakiejś melodii na szpinecie, wreszcie sięgnął po kolejną pozycję. Cicho pomrukując, zerknął na spis treści, a następnie przeczytał dwa krótkie rozdziały.

– Nieprawdopodobne... – wycedził. – A jednak...

Nie zwracał uwagi na dzwoniącą komórkę ani na przeciąg poruszający skrzydłem okna. Wraz z wiatrem do pokoju wpadał pył z ulicy, niesplukanej niemal od dwóch miesięcy przez mocniejszy deszcz. Przez suszę nawet stukot dorożek po bruku wydawał się inny, ale teraz Mond w ogóle go nie rejestrował.

W pewnym momencie wyprostował się i rzucił książkę na łóżko. Przez minutę lub dwie stał jak zaczarowany. Nieruchomo, z rękoma w kieszeniach i wzrokiem utkwionym w ścianie. Jedynie jego czoło było nienaturalnie zmarszczone, a skóra policzków napięta. Przypominał w tym momencie niezwykle posąg, powstały pod dłutem przynajmniej częściowo oszalałego artysty. W końcu poruszył się i sięgnął do kieszeni po cygarniczkę. Włożył do niej Montecristo, ale go nie odpalił. Zamiast tego ponownie sięgnął po porzuconą przed chwilą książkę i przewertował kolejne rozdziały. Cicho zaklął, co niemal nigdy mu się nie zdarzało.

Odwrócił się na pięcie i podszedł do okna. Otworzył je jeszcze szerzej, lecz pobudzony jakąś niezwykłą myślą, skierował się do drzwi balkonowych. Wyszedł na zewnątrz, po czym spojrzął w stronę kościoła pijarów. Na jego napiętej twarzy odbiło się światło nieodległej latarni.

Zapadł już zmrok i uliczki zapełniły się ludźmi. Z rynku dobiegały dźwięki głośniejszej zabawy.

Honoriusz spojrzał w pogodne, bezchmurne niebo. Powiewy wiatru nie zapowiadały ani deszczu, ani ochłodzenia. Jak na tę porę roku było nadzwyczaj ciepło. Kraków żył, ludzie się bawili, oddawali codziennym uciechom, tymczasem śmierć...

Mond, starając się uciąć te rozważania, zacisnął dłonie na balustradzie. Zrobił to tak mocno, że pobieleły mu knykcie, a palce zaczęły drętwieć. Pochylił się, spoglądając w dół. Od bruku dzieliło go ledwie sześć, może siedem metrów, stanowczo zbyt mało, aby znaleźć ukojenie.

Gwałtownie oderwał dłonie od balustrady i wrócił do pokoju. Wbił wzrok w odłożoną na szpinet książkę.

– To zdaje się niemożliwe... – wyszeptał. – To jest niemożliwe...

## 14



Chłopiec odsuwa talerzyk z kawałkiem tortu i rozgląda się wokół. W namiocie jest kilkanaście osób, ale nigdzie nie widzi swojej siostry. Obiecała, że nie przegapi uroczystego toastu wznoszonego kieliszkiem gazowanej lemoniady oraz najważniejszego deseru popołudnia. Mimo to malec tego się właśnie spodziewał. Jego siostra jest najbardziej roztrzepaną i najmniej słowną osobą, jaką zna. Co sekundę ma milion pomysłów. Przez dwie godziny nazywała go wariatem i kpiła z jego fryzury, a potem gdzieś zniknęła. Może ugania się za jakimś ptakiem, skacze po drzewach lub pokazuje któremuś z zaproszonych dzieci zakamarki rezydencji ich rodziców.

– Gramy w zbijaka?

Pytanie pada z ust niskiego bruneta z wypiekami na policzkach. Dzieciak trzyma piłkę w czarno-białe łaty, a jego koszulka zawodnika

Manchesteru United jest cała pobrudzona w trawie. Z tyłu stoi kilku kolejnych chłopców, zachęcających gospodarza popołudnia do gry.

– Za chwilę – odpowiada malec. – Muszę poszukać siostry. Obiecała zjeść ze mną tort.

– Siostry zawsze obiecują, a potem nic z tego nie ma.

– Wiem, ale dzisiaj jej nie daruję.

– W takim razie będziemy na ciebie czekać. Składy są już gotowe, grasz w drużynie Rudego.

Chłopiec pokazuje przyjacielowi uniesiony kciuk i bez słowa wychodzi z namiotu. Mija grupkę dorosłych popijających z kieliszków coś ciekawszego od gazowanej lemoniady. Wśród nich jest jego mama. Kobieta macha do niego i się uśmiecha.

– Widziałeś gdzieś swoją siostrę? – zagaduje, jakby jej myśli były sprzężone z myślami syna. – Chciałam z nią porozmawiać, koleżanki o nią pytają.

– Nie, mamu. Właśnie jej szukam...

– W takim razie, gdy ją znajdziesz, powiedz, żeby do mnie przyszła.

Chłopiec kiwa głową i pośpiesznie odchodzi. Nie bacząc na śmiechy mężczyzn słuchających opowieści jego ojca ani na wesołe krzyki przyjaciół, kieruje się do rezydencji. Mija kobietę zatrudnioną do roznoszenia dań, po czym wchodzi do ogromnego holu. W ciągu kolejnego kwadransa zagląda do niemal każdego z dwudziestu pomieszczeń – pokoi, schowków oraz garderób. Jednak w żadnym z nich nie ma jego siostry. Na widok bałaganu w jej pokoju aż się krzywi i z politowaniem kręci głową.

– Polazła do parku... – wzdycha, szybko zbiegając po schodach, po czym rewanżuje się za epitet, którym określiła go przed paroma godzinami, i dodaje: – Wariatka.

Mimo to po kilkunastu minutach nawoływania i buszowania między drzewami chłopiec nadal nie natrafia na ślad siostry. Jego poczynania dostrzega matka, która również zaczyna szukać dziewczynki. Niebawem dołącza do nich ojciec, a wraz z nim niemal wszyscy goście. Dzieci traktują poszukiwania jako doskonałą zabawę i z uznaniem myślą

o zaginionej dziewczynce jak o tej, która schowała się tak dobrze, jak nigdy dotąd. Jednak ich entuzjazm hamuje niepokój widoczny na twarzach ich rodziców. Coś wisi w powietrzu.

## 15



Nauka czasem dopuszcza niezwykle zbiegi okoliczności. Statystyka pozwala na nie i je akceptuje. Niektórzy matematycy mówią o „tolerancji niemożliwego”. Istniało co prawda bardzo niskie prawdopodobieństwo niektórych zdarzeń, ale jednak do nich dochodziło. Mogły być ich różne powody, przesłanki oraz motywacje. Jednak Mond stanowczo odrzucał przesadne zbiegi okoliczności. Traktował je raczej jako element zorganizowanego, skalkulowanego na zimno planu, za którym stała istota myśląca. Nie, nie żaden Bóg pisany wielką lub małą literą ani żaden ponadnaturalny byt. Tą istotą, jego zdaniem, mógł być wyłącznie człowiek.

– Ale po co? – zapytał sam siebie, po raz kolejny przemierzając pokój.

Nagle przystanął i sięgnął po telefon. Zlekceważył listę nieodebranych połączeń oraz wiadomości, po czym wybrał numer komisarza Berga. Ten zgłosił się dopiero po pięciu lub sześciu sygnałach. Zaspany głos świadczył, że po wyczerpującym dniu zasnął o tej dość jeszcze wczesnej porze.

– Nie chciałem pana obudzić – bąknął Mond. – Chodzi jednak o statystykę... Zapewne statystycznie nigdy nie śpi pan o tej porze, a jednak... Przepraszam. Jest tam pan?

– Tak, oczywiście – odparł wyraźnie rozbudzony Berg. – Słucham cię, Mortalisto. Wpadłeś na coś? Tylko błagam cię, mów składnie i prosto.

– Prosto znaczy tyle samo, co wprost? – Honoriusz oparł się plecami o ścianę i blade uśmiechnął. Nigdy nie miał dość robienia sobie słownych uszczypliwości. Mimo to, nie czekając na odpowiedź komisarza, zapytał:



– Czy w śledztwie zaszły jakiegokolwiek nowe okoliczności? Muszę to wiedzieć.

– Masz coś konkretnego na myśli?

– Najpierw pytam ogólnie, to bardzo ważne. Nawet gdyby chodziło tylko o pańską impresję.

– W sensie wrażenie? – Komisarz parsknął. – Nic. Czekamy na wyniki autopsji oraz dane z laboratorium. Zdaje się, że sprawca nie zostawił na miejscu zbrodni praktycznie żadnych śladów.

– A świadkowie? Czy osoba, która usiłowała reanimować tę kobietę, potwierdziła, że znalazła ją dokładnie w takiej pozycji, jaką opisałem?

Berg głośno mruknął, co miało wyrażać potwierdzenie. Wydawał się zaintrygowany tokiem myślenia Monda, ale nie mógł powstrzymać dosadnej uwagi.

– Nie mam pieprzonego pojęcia, po co te wszystkie pytania. Chcesz, żebym wystawił ci laurkę? Albo dał buziaka?

– Nie. Nie interesują mnie laurki ani buziaki od pięćdziesięcioletnich, żonatych mężczyzn. – Honoriusz usiadł na łóżku i na moment wstrzymał powietrze. Wahał się przed przejściem do sedna, lecz wiedział, że nie zdoła już się powstrzymać. Machina zdarzeń ruszyła, a on trafił w jej tryby, czy tego chciał, czy nie. – Czyli, jak sądzę, nie odnaleziono dzisiaj żadnej innej ofiary? – zapytał oschle.

Berg aż sapnął.

– Nie, Boże, nie. Dlaczego niby miano ją znaleźć? Co ty pleciesz?

– Lepiej niech pan nie śpi. – Mond nie odpowiedział na żadne z zadanych w serii pytań. – Niebawem ktoś zgłosi kolejny mord.

– Kolejny mord? – Niewiele brakowało, by Berg warknął jak wściekły pies. – A ty co, cholerna wróżka?

– Tak jakby, komisarzu. Choć muszę przyznać, że umiejętność widzenia przyszłości to prawdziwe przekleństwo. Słowo daję, że chciałbym się mylić.

[1] Z fr. „zielona wróżka” – określenie absyntu.

## DZIEŃ DRUGI

16



Podtrzymując dawny zwyczaj, Mond miał wykupione prenumeraty kilku gazet, które każdego ranka dostarczano mu pod drzwi do pokoju. Po toalecie, w tym starannym ogoleniu się za pomocą kosmetyków producenta noszącego chlubny tytuł dostawcy brytyjskiego dworu królewskiego, Honoriusz schodził na śniadanie i zjadał zwyczajowe dwie bułki z masłem oraz konfiturami. Zawsze wypijał do nich espresso doppio, po czym wracał do pokoju, by dokończyć lekturę periodyków. Tego dnia jednak uczynił rzadkie odstępstwo od normy.

Bezpośrednio po wyjściu z sali restauracyjnej skierował się do holu, gdzie rozsiadł się z przyniesionym ze sobą czasopismem. Założył nogę na nogę, obok siebie położył kapelusz i w takiej pozycji uważnie wertował kolejne artykuły. Czytał wybiórczo, wyłącznie teksty, które go interesowały. Do rozeznania w obecnej sytuacji polityczno-gospodarczej wystarczały zazwyczaj nagłówki. Artykuły i tak stanowiły mieszaninę propagandy oraz czarnowidztwa lub hurraoptymizmu, w zależności od preferencji wydawnictwa.

Całkowicie nie zważał na uwagi wymieniane szeptem przez portiera oraz bagażowego, zaskoczonych jego odstępstwem od starannie wypracowanych reguł. Zdaje się, że mężczyźni założyli się, co skłoniło Monda do tak radykalnej zmiany harmonogramu dnia, ale żaden nie kwapił się, aby go o to zapytać. Honoriusz, choć niemal zawsze opanowany, o manierach dżentelmena z dawno minionej epoki, wzbudzał nieokreślony strach oraz skłaniał do trzymania się na dystans. Portier przez ostatnie miesiące wdał się z nim w kilka drobnych

polemik, ale zazwyczaj te kończyły się całkowitym dysonansem rozumowania obu mężczyzn. Teraz zdawało się, że podkuszony przez bagażowego, zwróci się do Honoriusza, gdyż po raz kolejny cicho odkaszlnął. Starając się ściągnąć na siebie jego uwagę, niby niedbale potrącił srebrny dzwonek leżący na kontuarze, ale ta próba również nie odniosła zamierzonego skutku. Mond był całkowicie pochłonięty lekturą. Do tego rozległo się tupanie butów i ktoś pchnął drzwi wejściowe. Po chwili pojawiła się w nich zwałista sylwetka mężczyzny. Pięćdziesięciolatek o twarzy boksera wszedł do środka i natychmiast utkwiał spojrzenie w Honoriuszu.

– Czekałem na pana. – Mond odezwał się, nie odkładając gazety. – Sądziłem, że się pan zjawi już jakiś kwadrans temu. Przez to błędne założenie musiałem zapoznać się z obrzydliwym bełkotem o polityce socjalnej oraz naszej mocarstwowej pozycji. Skoro obalono teorię geocentryczną, prawdziwi patrioci zastąpili ją wykładnią polskocentryczną. Tyle że w ostatnich dekadach Polska już nie ma kogo zbawiać, a rola Chrystusa narodów sprowadza się do bycia wiecznie krzyżowanym, bez nadziei na zmartwychwstanie. To smutne.

Berg, bo to właśnie on stał w progu, otworzył ze zdziwienia usta. Był zaskoczony przemową Monda nie mniej niż portier oraz bagażowy. Jednak zaraz otrząsnął się i zrobił kilka kroków ku Mortaliście.

– Dzwoniłem do ciebie...

– Mam wyciszony telefon. Wiedziałem, że pofatyguje się pan osobiście.

– Doprawdy?

– Skoro pofatygował się pan wczoraj do mojej pracowni, nie wątpię, że to samo robi pan dzisiaj do hotelu. Przynajmniej w świetle nowych okoliczności.

Berg zacisnął usta i powstrzymał przekleństwo. Zmierzył Monda piorunującym wzrokiem. Jakby chcąc uniknąć nieporozumień i usprawiedliwić się na przyszłość, machnął w stronę portiera legitymacją policyjną.

– Żeby nie było – Mond odłożył gazetę i powoli podniósł się z ławy – przychodzi pan, aby się ze mną skonsultować, a nie zakuć mnie

w kajdanki. Mam na to świadków.

– Robisz to na złość?

– Co takiego, panie komisarzu?

– Zmuszasz mnie do przyjechania tutaj?

– Nie. – Honoriusz założył kapelusz i skierował się w stronę Berga. – Podobało mi się, jak wczoraj pan prowadził. Niewielu kierowców taksówek posiada podobne umiejętności.

Komisarz spurpurowiał, ale z trudem przełknął i ten komentarz. Odczekał, aż obok nich przejdzie kilkoro hotelowych gości, po czym wymierzył w Monda palec.

– Tak jak zapowiedziałeś, w nocy trafiliśmy na kolejne zwłoki kobiety z podejrzanym gardłem – wycedził szeptem. – Skąd, do kurwy nędzy, o nich wiedziałeś?

## 17



– Czy mógłbym zobaczyć zdjęcia? Zaoszczędziłoby mi to nieco pracy.

– Nagle stałeś się chętny do pomagania? Zdjęcia? To cię kręci, no nie? – mówiąc to, Berg nie odrywał wzroku od drogi. Zabębnił palcami w kierownicę, ale widząc, że Mond nie zamierza odpowiadać na żadne z jego pytań, zwrócił się do siedzącego obok niego policjanta. – Pokaż mu wszystko, co trafiło na dysk centralny.

– Dziękuję. – Honoriusz sięgnął po podany mu telefon i powoli przeglądał kolejne fotografie. Nie zdradzał przy tym najmniejszych emocji, robiąc to niemal mechanicznie. Żaden z ohydnych detali zbrodni nie wywarł na nim wrażenia. Wreszcie oddał komórkę policjantowi i kilkakrotnie kiwnął głową. – Tak jak sądziłem.

– Co, proszę?

– Powiedziałem, że wszystko odbyło się tak, jak sądziłem.

Berg fuknął.

– Patrzcie go! – odezwał się, biorąc mocny zakręt w boczną uliczkę. – Wszystko odbyło się tak, jak sądził. Panie Mortalista, może zdradzisz nam pan, skąd wiedziałeś, że popełniono zbrodnię? Widziałeś ciało? Rozmawiałeś z mordercą? No? Chyba nie chcesz, żebym cię aresztował za utrudnianie śledztwa albo ukrywanie istotnych dowodów...

– To nie dowody. Wyraziłem swoje podejrzenia, które niestety okazały się słuszne. Mimo wszystko między podejrzeniami a podejrzanym jest znaczeniowa przepaść.

– O przepaściach w moim śledztwie będę decydował sam.

– Zrobi pan, co uzna za słuszne, komisarzu.

Wyrachowane opanowanie Monda wprowadzało Berga we wściekłość, ale starał się pohamować wybuch dzikiej furii. Wreszcie, gdy z piskiem opon zatrzymał się na poboczu przed jedną z kamienic, ostentacyjnie rozłożył ręce. Niemal uderzył dłonią w podsufitkę auta.

– Jesteśmy na miejscu. Zaskoczony?

– Ani trochę. – Mond pchnął drzwi i wyszedł z samochodu. – Spodziewałem się, że do morderstwa doszło właśnie gdzieś tutaj. Niespełna trzysta metrów od poprzedniego.

Nie czekając na dalsze komentarze komisarza, Honoriusz skierował się ku niskiej, jednopiętrowej kamienicy, do której przylegały rozpadające się drewniane budy. Podobną zabudowę spotykało się w Krakowie już bardzo rzadko, a wszelkie jej pozostałości skrzętnie usuwano.

– Ofiara miała poderżnięte gardło, nic więcej. – Mond mówił ni to do wciąż pracujących na miejscu kryminalistów, ni to do siebie. – Leżała na wznak, z podkulonymi nogami. Właśnie tu...

Utkwił spojrzenie w miejscu, skąd zabrano już zwłoki, lecz obok którego wciąż stały tabliczki dowodowe oraz reflektor. Odruchowo poprawił węzeł krawata i się rozejrzał. Kilku policjantów odgradzało miejsce zbrodni od tłumku reporterów, którzy zwietryli zapach sensacji. Po lewej stronie ulicy ciągnęły się biedne kamieniczki z częściowo powybijanymi oknami. Po drugiej wznosił się rząd garaży, baraków oraz zarośniętych parceli. Porywy wiatru wzbijały tumany pyłu zebranego

przez tygodnie suszy. Ten fragment miasta zdawał się całkowicie zapomniany i z pewnością nie zapuszczało się tu wielu turystów.

– Panie komisarzu... – Mond łagodnie zwrócił się do Berga. – Chciałbym ustalić jeszcze jedno.

– Mów śmiało. Czytaj ze mnie jak z otwartej księgi.

– Mam na myśli zabójstwa lub zaginięcia, do których doszło w konkretnych dniach... I to w najbliższej okolicy.

Honoriusz wymienił daty, a Berg, słuchając go, kompletnie pobladł. Na jego płaskie czoło wystąpiły krople potu.

– Skąd o tym wiesz? – wycedził, nie mniej zszokowany niż wściekły. – Jakim cholernym cudem?

## 18



Wieczorem w dniu, który miał być najweselszym dniem życia chłopca, w jego domu pojawiają się policjanci. Niemal przez godzinę rozmawiają z jego rodzicami. Są zamknięci w gabinecie ojca i malec mógłby bez problemu podsłuchać, o czym mówią, lecz wie, że to nie przystoi. Dlatego powstrzymuje się przed tym i sztywno siedzi na najniższym stopniu marmurowych schodów. Trzyma objęte rękami nogi, czoło ma oparte na kolanie, a oczy szeroko otwarte. Nie ma w nich łez. Chłopiec nieustannie zastanawia się, gdzie mogła się ukryć jego siostra.

Z zamyślenia wyrywa go cichy jęk otwieranych drzwi. W progu pojawia się jego matka, która z ponurym, tak obcym jej wyrazem twarzy, kiwa do niego głową.

– Chodź do nas – mówi, przywołując go ruchem ręki. – Panowie chcą zadać ci kilka pytań.

Malec posłusznie wchodzi do gabinetu ojca i spogląda na dwóch mundurowych. Na jego widok mężczyźni wstają od biurka, po czym

uprzejmie się z nim witają. Mają około czterdziestu lat, a do tego są podobni niczym rodzeństwo.

– Mój drogi... – odzywa się nieco tęższy z nich. – Proszę, przypomnij sobie, kiedy po raz ostatni widziałeś siostrę. Pamiętasz tę chwilę?

Chłopiec nie musi się zastanawiać. Przez ostatnie godziny odtwarzał wydarzenia całego dnia tyle razy, że mógłby o nich mówić z przybliżeniem do ułamków sekundy.

Niestety, mimo że jego relacja jest zaskakująco uporządkowana, policjanci nie wyglądają na zadowolonych. Zapewne ogrom podanych informacji nie może pomóc w poszukiwaniach dziewczynki. Jednak gdy chłopiec milknie, mężczyźni wymieniają porozumiewawcze spojrzenia.

– Tęsknisz za nią? – pyta go nagle jeden z nich.

Malec nie odpowiada od razu. Przez chwilę się zastanawia, wreszcie rozważnie kiwa głową.

– Czasem nie widywaliśmy się dłużej – odpowiada, czym sprawia, że policjanci po raz kolejny na siebie zerkają.

– Na przykład kiedy? – dopytuje ten nieco szczuplejszy.

– Gdy jeździliśmy na kolonie albo... – Chłopiec wzrusza ramionami. Zerka na wiszący na ścianie zegar, po czym mówi dalej: – Widziałem ją po raz ostatni sześć godzin i trzydzieści dwie minuty temu. W nocy śpimy o ponad godzinę dłużej.

Policjanci wzdychają i przenoszą spojrzenia na rodziców malca. Ci wydają się niewzruszeni jego nietypową wypowiedzią oraz zachowaniem. W końcu to ich syn.

– Będziemy w kontakcie – oznajmia jeden z mundurowych. – Poszukiwania w okolicy muszą być kontynuowane przez całą noc. Nie przerwiemy ich, choćby nadszedł potop.

– Bóg z wami... – szepcze kobieta, po czym wybucha płaczem. – Bóg z wami.



– Ósmego września zaginęła i, jak się okazało, została zamordowana niejaka Anna Liwert – oznajmił Berg. – Znaleźliśmy jej ciało po dwóch dniach, na jednym z tych opuszczonych podwórz, ale sekcja była znacznie utrudniona. Sfóra psów zajęła się jej zwłokami, rozszarpując je na kawałki. Obgryzione fragmenty stóp zakopały w jamie jako zapas na gorsze czasy. Te bestie bawiły się jej odgryzioną głową jak piłką...

– Czy udało się przeprowadzić autopsję? – zagadnął Mond.

– Tak, choć rezultaty pozostawiały wiele do życzenia. Trudno było oddzielić efekty działania sprawcy od tego, co nawyczyniały kundle. Właściwie wszystko sprowadzało się do domysłów...

– Obrażenia były bardzo rozległe, prawda? Sądzę, że kobiecie dwukrotnie poderżnięto gardło i rozpruto brzuch. Wyciągnięto z niego jelita oraz macicę, a także część ścianki pęcherza moczowego.

– Czy pan...

– Podejrzewaliście, że te narządy mogły zostać pożarte przez psy? Że właśnie dlatego ich nie znaleźliście?

– Inne wytłumaczenie nie mieściło się w głowie, ale... – Komisarz z niedowierzaniem pokręcił głową. Wierzchem dłoni otarł pot zebrany nad górną wargą. – Mój Boże.

– Zapewniam pana, że Bóg nie ma z tym nic wspólnego.

Mond przygryzł wargę i włożył ręce do kieszeni. Przez chwilę stał nieruchomo, pozwalając, by wiatr rozwiewał poły jego płaszcza. Wpatrywał się w jakiś punkt za Bergiem, wreszcie przeniósł wzrok na komisarza. Nagle jakby się ocknął, szeroko otworzył oczy i wyciągnął notes. Z surową miną, podkreśloną przez jego ostre, ale eleganckie rysy, przegłądził jedną ze stron.

– Ósmego września tuż przed szóstą rano odnaleziono ciało Annie Chapman – odczytał uroczyście. – Morderca dwukrotnie poprowadził cięcie przez jej gardło, a następnie rozplatał jej brzuch, po czym



wyciągnął z niego jelita, macicę, fragment pochwy oraz ściankę pęcherza moczowego.

– Co pan, u diabła, czyta?

– Notatki. – Mond ponownie spojrzął na Berga. – Swoją drogą, czy w pobliżu wczorajszej ofiary nie natrafiono na żadne charakterystyczne graffiti?

Komisarz łypnął na stojącego obok sierżanta, jakby szukał u niego ratunku. Wydawał się całkowicie przytłoczony ostatnimi wydarzeniami. Choć był wielkim, na pozór twardym mężczyzną, Honoriusz nie miał wątpliwości, że w rzeczywistości ma gołębie serce i ogromną wrażliwość.

– Na przykład coś o Żydach? – dorzucił, starając się naprowadzić Berga na trop.

Te ostatnie słowa sprawiły, że komisarz nagle potrząsnął głową.

– Tak, tak... W bramie obok, tam, gdzie znaleźliśmy fragment zakrwawionego ubrania... – Pstrykał palcami, jakby od tego zależało uruchomienie jego mózgu lub przywrócenie pamięci. Po bezskutecznych próbach zwrócił się do sierżanta. – Co tam było napisane? Pamiętasz? Coś o winie Żydów...

– „Żydzi to ludzie, którzy nie zostaną obwinieni” – wyrecytował funkcjonariusz. – Albo coś w tym stylu.

– Właśnie. – Berg ponownie pstryknął palcami, jakby sam sobie przypominał. – Dokładnie tak. Choć w napisie były jakieś błędy ortograficzne.

Mond po raz pierwszy tego dnia delikatnie się uśmiechnął. Jego mina tak bardzo nie przystawała do sytuacji, że Berg był gotów uznać, że Honoriusz jest szalony, ale z drugiej strony znał go już zbyt dobrze. Tymczasem uśmiech zniknął z twarzy Monda tak szybko, jak się pojawił.

– Kuba Rozpruwacz powrócił – oznajmił ponuro. – W Polsce, w Krakowie. Do tego w dwudziestym pierwszym wieku. Czy można to nazwać pechem, komisarzu?



– Co pan wie o Kubie Rozpruwaczu, komisarzu? – Honoriusz chwycił kompletnie skołowanego Berga pod łokieć i odprowadził na bok. Spojrzał w zarumienioną twarz policjanta. Ten sprawiał wrażenie, jakby popadł w katatonię. Jego oczy delikatnie drgały, poza tym jednak twarz wydawała się martwa. Mond lekko nim potrząsnął. – Panie komisarzu, obawiam się, że najgorsze mamy dopiero przed sobą. Jeszcze przyjdzie czas na załamanie.

Berg cicho mruknął, po czym sięgnął do kieszeni po papierosy. Wetknął jednego w kącik ust, ale nie odpalił.

– Kuba Rozpruwacz to nie jest postać z miejskiej legendy, choć wiele osób tak sądzi – ciągnął Mond. – Wszystko wskazuje, że szereg londyńskich zbrodni zostało popełnionych przez jednego, konkretnego człowieka.

– Wiem, wiem... Portret psychologiczny.

– Tak. Ma pan rację, w przypadku Rozpruwacza stworzono jedno z pierwszych portretów psychologicznych. Moim zdaniem całkowicie błędnych, ale mniejsza z tym...

Berg wyglądał już niemal na całkowicie oprzytomniałego, więc Mond ponownie podprowadził go w stronę miejsca, gdzie pracowali kryminaliści. Ich praca zdawała się powoli dobiegać końca, gdyż szef ekipy pakował wielką walizkę, a zgrabna, wysoka brunetka ściągała właśnie kombinezon ochronny. Obserwowało to, wcale nie ukradkiem, kilku stojących w pobliżu policjantów.

– Odnaleziona dziś w nocy kobieta nawiązuje do Elizabeth Stride. To jedna z pięciu kanonicznych ofiar Kuby Rozpruwacza. – Mond uniósł dłoń z rozprostowanymi palcami, lecz zaraz ją schował. – Kanon wyszczególniono ze względu na charakterystyczne cechy działania mordercy. Musimy pamiętać, że w latach osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku w Londynie niemal codziennie dochodziło do

zabójstw. Jednak przebieg tych był tak okrutny, że interweniowała sama królowa Wiktorja. Kazała sobie przesyłać raporty oraz na bieżąco informować o postępach śledztwa.

– Sugeruje pan, że mamy naśladowcę? – Berg parsknął. – Po stu pięćdziesięciu latach?

– Sugeruję, że w pobliżu zwłok Catherine Eddowes, którą napadnięto tej samej nocy, co Elizabeth Stride, znaleziono graffiti o podobnym przesłaniu jak w naszym przypadku. – Mond założył ręce za plecy i wzruszył ramionami. – Ale to oczywiście mogą być jedynie przypadki, zbiegi okoliczności, koincydencja zdarzeń tak samo wielka jak ta, która doprowadziła do zderzenia się komórek, które utworzyły pański zarodek. Niewiele brakowało, a byłby pan dziewczynką.

– Daruj sobie, Mortalisto.

– Chciałem tylko panu zobrazować skalę tego przypadku. Mamy miliony plemników oraz komórek jajowych, a do...

– Dość! – Berg gniewnie zacisnął pięść. Za wszelką cenę chciał pokazać, że zebrał się do kupy. – Chcesz powiedzieć, że ten szalowiec będzie mordował dalej?

Mond rozłożył ręce i obrócił się do komisarza bokiem.

– Nie wiem – odparł cierpko. – Być może, ale nie jestem jasnowidzem i mało mnie to interesuje.

– Nie interesuje cię, czy ktoś zginie?

– Mam być szczery? Nie interesuje mnie to ani trochę. Kiedyś wszyscy żegnamy się z życiem i nie robi się z tego show. – Mond ponownie zerknął na Berga. – Mnie interesuje jedynie śmierć oraz przyczyna, dlaczego spada na konkretne osoby właśnie w danej chwili. A w tym przypadku zainteresowało mnie to, że o śmierci wiemy bardzo wiele. Poznaliśmy nawet jej pseudonim sprzed półtora wieku.



– Pan pozwoli...

Mond w znacznym stopniu zaspokoił swoją ciekawość i tym samym stracił jakiegokolwiek zainteresowanie sprawą. Założył dłonie za plecy, po czym lekko pochylony odwrócił się, aby odejść. Berg błyskawicznie znalazł się przy nim. Chwycił go za ramię i zacisnął na nim palce. Jego oczy skrzyły się, a twarz była niemal zupełnie blada.

– Zaoszczędź mi czasu, Mortalisto, i przypomnij, jak potoczyły się dalsze losy Kuby Rozpruwacza.

Mond zatrzymał się w pół kroku i, nie patrząc na Berga, opuścił rondo fedory.

– Po Catherine Eddowes zabił jeszcze jedną osobę – oznajmił beznamiętnie. – Przynajmniej zaliczaną do ofiar kanonicznych.

– Kiedy?

– O ile ówczesni koronerzy nie pomylili się przy określaniu czasu zgonu? I pod warunkiem, że ufamy im bardziej niż rozmaitym podejrzanym świadkom, którzy chcieli tylko zaistnieć w sprawie, którą żył cały Londyn?

– Możesz sobie darować ten przydługi wstęp.

– W nocy z ósmego na dziewiątego listopada.

– W takim razie...

Mond uniósł dłoń i wszedł komisarzowi w zdanie:

– Niech pan nie mówi, że w takim razie mamy wiele czasu – wycedził.

– Po pierwsze, proszę nie zaliczać mnie do żadnej zbiorowości, a po drugie... Po drugie, brytyjska policja tamtego czasu mogła się mylić w klasyfikacji zdarzeń. Już panu mówiłem, że wiele osób traktuje Kubę Rozpruwacza jedynie jako legendę.

– Ale nie pan? – Berg sam już pomieszał formy, w jakich zwracał się do Mortalisty. Od jakiegoś czasu systematycznie usiłował używać formy „ty”, ale niezmiennie oficjalny charakter wypowiedzi Monda zbijał go z tropu. Mimo to zaraz się poprawił: – Ale nie ty?

– Ja nie – odparł z całym przekonaniem Honoriusz. – Ja nie mam żadnych wątpliwości, że to był konkretny człowiek. Już o tym zresztą mówiłem.

– Skąd ta pewność?

Mond westchnął. Ściągnął poły płaszcza i odwrócił się do Berga plecami.

– Czasem jesteśmy pewni spraw, o których powinniśmy nie mieć pojęcia. To niemal tak samo trudne do wyjaśnienia jak *déjà vu*. A jednak musi mieć naukowe wytłumaczenie.

– Świetnie, po prostu wybornie...

Berg wyciągnął dłoń, jakby chciał ponownie zatrzymać Honoriusza, lecz się rozmyślił. Stojąc w miejscu, wiódł wzrokiem za odchodzącym Mondem. Ten, doskonale zdając sobie z tego sprawę, nagle uniósł dłoń.

– Jest coś jeszcze – odezwał się, nie spoglądając za siebie. – Coś, co sugerowałoby, że w tej sprawie przyda się egzorcysta.

– Egzorcysta? Kompletnie zwariowałeś, Mortalisto?

– Ani trochę. Niebawem sam się pan przekona...

## 22



Allegra Szmit starała się zebrać myśli. Od rana powstrzymywała się, by nie zadzwonić do Monda. Mogła oczywiście wymyślić jakąś bajeczkę o pilnym zleceniu, w końcu w ich pracy zdarzały się również takie, ale podejrzewała, że Honoriusz nie odbierze. Nie chciała również wyjść na wścibską lub natarczywą. To nie było w jej charakterze.

Nigdy nie poznała nikogo bardziej zamkniętego w sobie od Monda, a jednak z tygodnia na tydzień sprawiał wrażenie, jakby się przed nią nieco otwierał. Mimo to wczorajsze wyjście z baru było klasykiem w jego stylu. Nie miała serca, by go zatrzymywać, choć wiedziała też, że miał przed tym ogromne skrupuły. Jego maniery musiały stoczyć ogromną

walkę z pokreconą psychiką, by zostawił ją samą. Szmit nie miała przy tym jakichkolwiek wątpliwości, że wystarczyłoby jedno słowo, a zostałyby z nią lub natychmiast odprowadził ją do taksówki.

Co teraz robił? Miała dziwne przeczucie, że coś się wydarzyło. Jeszcze dwie godziny temu była w stanie się założyć, że wyrzuty sumienia związane z wczorajszym zachowaniem sprawią, że to on pierwszy do niej zadzwoni.

Po raz enty tego przedpołudnia wyciągnęła telefon i zerknęła na ekran. Nic. Żadnych nowych połączeń ani wiadomości. To ją rozczarowało.

A jednak jej przeczucie... Choć Mond często się z niego nabijał, od dziecka doznawała rozmaitych stanów ocierających się o nadnaturalność. Gdy jako cztero- lub pięciolatka pojechała z rodzicami do dziadków, jeszcze przed wejściem do ich domu nagle powiedziała: „Eryczek do nas nie wyjdzie. Już go z nami nie ma”. Eryczek był wesołym pudlem i gdy ostatnim razem się widzieli, absolutnie nic mu nie dolegało. Tymczasem, ku kompletnemu zaskoczeniu jej rodziców, niebawem okazało się, że pies poprzedniego dnia musiał zostać uśpiony. Dorośli, jak to dorośli, szybko przeszli z jej przepowiednią do porządku, ale wspomnienie ich min pozostało w Szmit na zawsze.

Podobne drobne przebliski doświadczeń „nadfizycznych”, jak nazywał je Mond, towarzyszyły jej przez całe życie. Raz częściej, raz rzadziej, lecz nigdy się od nich nie uwolniła. Potrafiła wyczuć energię pomieszczenia lub opisać emocje towarzyszące ludziom, którzy w nim byli. Czasem mogło się to wydawać zwykłym oszustwem lub błagą, ale nie zwracała uwagi na zdanie innych. Mimo to te na pozór błahe doświadczenia sprawiły, że niemal obsesyjnie interesowała się różnymi religiami oraz systemami wierzeń. Na nadgarstku nosiła amulety bodaj wszystkich religii w dziejach ludzkości, a do tego zabezpieczała się przed złymi mocami rozbudowanym systemem fetyszów oraz talizmanów. Nie wiedziała, w co konkretnie wierzy, ale w „coś” wierzyła i zazwyczaj ta wiara ocierała się o pewność. Ta pewność dotyczyła również Monda. Tak jak on był przekonany, że jej wszelkie zdolności można wytłumaczyć naukowo, tak ona była pewna, że jego umiejętności mają osadzenie

w czymś ponadnaturalnym. Jego niezwykła zdolność wnioskowania, łączenia szczegółów oraz przeniesiony z minionych epok sposób bycia wskazywały na to, że...

– Ma pani zapalki?

Nagle pytanie wyrwało ją z zamyślenia. Kilkukrotnie zamrugła i zdała sobie sprawę, że przechadza się alejkami cmentarza. Zachodziła tu dość rzadko, ale jak niemal nigdzie indziej potrafiła się w tym miejscu wyciszyć.

Spojrzała na przygarbioną staruszkę, która w powyginanej artretyzmem dłoni trzymała znicz. Kobieta była ubrana w granatową suknię z białymi obszyciami, a na głowie miała spory kapelusz. Czarna woalka była odwinięta.

– Niestety nie, ale... Proszę mi go dać.

Wyciągnęła z kieszeni zmiętą ulotkę i przytknęła ją do znicza na sąsiednim grobie. Uważając, by ogień nie zgasł, przeniosła płomień do znicza staruszki, po czym zagasiła rozpalony papier butem. Całą operację zakończyła głośnym „Voilà!”. Odwróciła się z uśmiechem.

– Proszę bardzo.

Jakież było jej zdumienie, gdy wokół nie dostrzegła żywej duszy. Delikatny, suchy wiatr szeleścił miotanymi z drzew liśćmi. Poza tym panowała śmiertelna cisza.

## 23



Mond odczytał esemes od Allegry ze sporym opóźnieniem. Szmit podała mu w nim adres oraz informację, że sprawa jest pilna. Lakoniczne, oschłe zdanie informowało również, że „w razie czego poradzi sobie sama”. Nic więcej. Żadnych pozdrowień, całusów ani emotikonów. Honoriusz co do zasady nie zwracał na nie uwagi, ale potrafił uświadomić sobie ich istotny, znaczący brak.

Allegra miała prawo być na niego zła. Przynajmniej sądził, że ma takie prawo, co stanowiło wynik logicznego myślenia i obserwacji ogółu społeczeństwa. Sam niemal nigdy nie odczuwał głębszych emocji. Zarówno złość, jak i euforia były mu całkowicie obce. Mimo to w obecności Allegry uważał, że w dobrym tonie jest chociaż usiłować się dopasować. Dlatego gdy pojawił się pod wskazanym adresem, trzymał w dłoni zdjęty kapelusz i przybrał skruszony wyraz twarzy. Zapukał, po czym nacisnął klamkę drzwi mieszkania w luksusowym apartamentowcu. Te otworzyły się, a ze środka buchnął zaduch śmierci. Mond czuł go już od wejścia na klatkę schodową, lecz teraz dosłownie omiół go niczym chmura gęstej pary.

– Allegro? – odezwał się, wchodząc do środka. – Jesteś tu? Czuję twoje kwiatowe perfumy...

Powoli rozglądał się po przestronnym mieszkaniu urządzonej w surowym, nowoczesnym stylu. Lakierowane na połysk czarne meble, lustrzana podłoga, wielki telewizor na wysięgniku, wreszcie przestronna, otwarta na salon kuchnia oraz antresola z reflektorami przypominającymi te używane na planach filmowych. To właśnie obok nich stała Szmit. Pomachała mu i zdjęła z twarzy maseczkę z filtrami.

– Prędzej uwierzyłabym, że z butelki wyskoczy dżin, niż w to, że się tu zjawisz – przywitała się, nie sprawiając wrażenia ani trochę obrażonej. – Chodź, pomożesz mi przesunąć kanapę.

Mond bez słowa wszedł po krętych drewnianych schodach. Wreszcie, gdy stanął na górze, wbił wzrok w granatowo-złotą sofę, pośrodku której znajdowała się ciemnobrązowa, bezkształtna masa. Przypominała stertę zgniętego, mocno rozłożonego mięsa – i w rzeczy samej nie była niczym więcej. Choć Honoriusz natychmiast dostrzegł niegdyś białe majtki, teraz całkowicie przesiąknięte płynami ustrojowymi denata.

– Mało który dziewięćdziesięciolatek z własnej woli robi sobie sypialnię na antresoli – skwitował, zakładając podane przez Szmit rękawiczki.

– Skąd wiesz, ile miał lat? Apartament wygląda jak lokum nowoczesnego milenialsa.



– Mało który milenials chodzi o bambusowej lasce, a w biblioteczce ma kolekcję książek z całego poprzedniego wieku. Pod lustrem leżała ulotka firmy sprzątajacej z odręcną notatką sporządzoną kompletnie rozedrganym pismem, ale ręką, która uczyła się kaligrafii. Poza tym... – Honoriusz ponownie łypnął na to, co zostało z denata – gdyby był młodszy, policja nie zostawiłaby ciała. Śmierć starców nigdy ich nie interesuje.

– Starzy ludzie umierają częściej niż młodzi.

– Umierają później niż młodzi, ale tak samo często.

Allegra spojrziała na Monda z ukosa i odkaszlnęła. Ponownie nasunęła maskę na nos.

– Chcesz przerzucić szczątki do worka?

– Mhm.

– I wyrzucić jako odpad medyczny?

Szmit z dezaprobataą pokręciła głową. Honoriusz zrobił niewinną minę i nałożył kapelusz.

– No co? Ostatnio ciągle mędrkowałaś o tych odpadach medycznych, a nagle zwłoki awansowały do miana czegoś więcej?

– To szczątki ludzkie, które... Podnieś to.

– Wiesz, co się stanie?

Allegra nie zwróciła uwagi na ostrzeżenie Monda. Dała mu znać, by przesunął wysuwane oparcie sofy, lecz gdy ten to zrobił, rozległo się lepkie cmoknięcie. Rozłożona tkanka, na której zerowały małe, tłuste czerwce, dosłownie – jakby polano ją kwasem – się rozpuściła. Konsystencja kompletnie się rozlała i poza kilkoma większymi bryłami doczesne szczątki przesączyły się przez tapicerkę.

– Rozumiem. – Mond z udawanym uznaniem pokiwał głową. – Chcesz go pochować razem z sofą? To sprytne, bardzo sprytne. I zapewne całkiem wygodne.

Allegra błyskawicznie się wyprostowała i zdarła maskę. Nie bacząc na smród, wciągnęła kilka głębokich oddechów. Co do zasady była odporna na wszelkie widoki oraz wonie towarzyszące im w pracy, ale tego było zbyt wiele.

– Boże Śnięty! – wrzasnęła, co stanowiło jedno z jej największych przekleństw. Rzucała je tylko wtedy, gdy bezgranicznie była przekonana o tym, że Bóg przespał jakąś sytuację, w której powinien interweniować.

– Z tym spaniem poczekaj – ponuro zauważył Mond. – Kiedy opowiem ci to, na co czekasz, uznasz, że Bóg nie spał, ale umarł. Albo co najmniej pogrążył się w śpiączce.

## 24



– Boże Śnięty – powtórzyła Allegra, gdy Mond w kilku zdaniach streścił jej wydarzenia ostatnich godzin. Znajdowali się na dolnym poziomie apartamentu, w którym sprząтали. Wcześniej udało się im przenieść do specjalnego worka resztki zwłok. Zakład pogrzebowy zgodził się je odebrać po odpowiednim przepakowaniu. – Wiesz, co mnie w tym przeraża jeszcze bardziej?

Mond nie odpowiedział. Jedynie pochylił głowę i podparł dłonią podbródek.

– To, że opowiadasz mi o tym sam z siebie. Zawsze musiałam wyciskać z ciebie informacje jak sok z cytryny. Mówisz wtedy z tak kwaśną miną, jakbyś właśnie wypił go całe wiadro.

– Postanowiłem uniknąć twoich pytań.

– Serio? Tylko o to chodziło? Żeby ci nie truła?

Allegra pokręciła głową i wzięła w palce jedną z bransoletek.

– Nie tylko. Ale swoją drogą... – Mond wstał i skierował się do wyjścia. Po kilku krokach chwycił ciężką walizkę ze sprzętem sprzątającym Szmit. – Czy nie mamy lepszego miejsca na rozmowę?

– No nie wierzę. Mortalistę odraża zapach śmierci?

– Pudło. Raczej diabelnie irytuje mnie wystrój tego mieszkania. Nienawidzę tak ostentacyjnej nowoczesności. Przypomina mi o tych wszystkich kościołach budowanych w stylu statków NASA.

– Wolisz katedry gotyckie? Wiara musi podążać za rozwojem cywilizacji.

– Ale w tym przypadku odleciała w kosmos razem z papieżem. Czy przegapiłem informację, że katolicy chcą chrystianizować inne planety? Odbędą się międzygalaktyczne krucjaty?

Allegra jedynie cicho parsknęła. Starannie zamknęła mieszkanie i zbiegła za Mondem po kilku schodkach. Chwilę później znaleźli się na przestronnym parkingu, gdzie wciąż stało elektryczne auto z nalepką inwalidzką. Nie miała wątpliwości, że służyło zmarłemu. Teraz jednak jej myśli nieustannie krążyły wokół historii Monda o Kubie Rozpruwaczu, o naśladowcy oraz elementach im wspólnych. Jednocześnie wciąż miała przed oczami twarz staruszki, która dosłownie rozplynęła się przed nią na cmentarzu. Zwidy? Pewnie tak, wraz z wrodzonym przewrażliwieniem, ale w rzeczywistości czekała, by opowiedzieć o tym wydarzeniu Honoriuszowi. Tym bardziej że starowina miała na sobie strój iście z epoki wiktoriańskiej, a Kuba Rozpruwacz...

Ten potok skojarzeń przerwało baczne spojrzenie Monda. Wydawało się jej, że Honoriusz czyta jej w myślach. Zmarszczył czoło, jakby się nad czymś zastanawiał i nagle podjął decyzję.

– Jest coś jeszcze – oznajmił. – Coś, co zainteresuje cię podwójnie. Może właśnie dlatego bez jakichkolwiek tortur mówię ci o tym wszystkim.

## 25



– Myślałem, że sama załapiesz. – Mond westchnął. – Kiedyś czytałem o tak zwanym zielonym...

– Zielonym liście! – Z ekscytacją weszła mu w słowo Allegra. Chwyciła go pod ramię, nagle się wywinęła, po czym odeszła kilka kroków dalej. Jej oczy się skrzyły, a kilka niesfornych pukli wymknęło się spod

czerwonego beretu. – No tak, jak mogłam na to nie wpaść! Ale... Jesteś draniem. Wtajemniczyłeś mnie w to wszystko, bo liczyłeś, że opowiem ci o liście rezurekcyjnym?

– Tak również go nazywano?

– Traktujesz świat obrzydliwie instrumentalnie! Świat, a w tym mnie, co mi się szczególnie nie podoba.

– Wszyscy jesteśmy elementem szerszego planu... Zrozum tylko, że nie robię tego intencjonalnie.

– Intencjonalnie? Daruj sobie te mądre słówka.

Szmit pokręciła głową i otworzyła bagażnik swojego starego pick-upa. Chwyciła rączkę trzymanej przez Monda walizy, po czym, nie czekając na jego pomoc, wrzuciła ją na pakę auta. Honoriusz cicho mlasnął. Sięgnął ku węłowi krawata, ale go nie poprawił. Rzeczywiście miał wszystko zaplanowane, lecz nie widział w tym nic złego. Po prostu, znając zainteresowania Szmit, uznał, że w sprawach ocierających się o paranormalność będzie nieocenioną skarbnicą wiadomości. Zapewne znacznie bogatszą od rzekomo bezkresnych zasobów internetu.

– Już nie rób tej idiotycznej miny zbitego psa! – Allegra parsknęła. – Wyglądasz jak Cerber, którego uwiązano na smyczy tuż obok bramy Hadesu.

– Przepraszam, ja tylko...

– Wsiadaj do auta. Opowiem ci wszystko po drodze.

Szmit słusznie przypuszczała, że Honoriusz przybył na miejsce zlecenia hulajnogą elektryczną. Teraz, nie czekając na dalsze zaproszenia, wsiadł do pick-upa i rozparł się w głębokim fotelu. Amerykańscy farmerzy bez wątplenia lubili wygodne siedzenia.

– Nie mam pojęcia, jak dużo wiesz o tym liście, ale zacznę od samego początku. – Allegra przygryzła koniuszek języka, wyjeżdżając z miejsca parkingowego na ulicę. Po chwili podjęła temat. – Przez sto lat pozostawał utajniony, co było sprzeczne z angielskim prawem. Nie budzi wątpliwości czas jego powstania oraz powiązanie charakteru pisma z pismem autora listu „Z piekła”, czyli drugiego powszechnie uważanego za wiadomość autorstwa Kuby Rozpruwacza.

– O nim wiem całkiem sporo. Możesz odpuścić.

– To bardzo dobrze, bo akurat listem „Z piekła” nigdy się nie interesowałam. Natomiast „list zielony” swoją nazwę wziął od koloru użytego w nim atramentu. Rozpruwacz obwieszczał w nim, że zamordował dość osób i wyssał wystarczającą energię, by przestać zabijać. Zapowiadał jednocześnie, że kolejnych zbrodni dokona za niespełna półtora wieku. Właściwie treść ograniczała się właśnie do tego...

Mond się skrzywił.

– Liczyłem na nieco więcej. Wydawało mi się, że komentowano go wyjątkowo szeroko.

– Oczywiście, że tak. Po odtajnieniu odezwały się rozmaite towarzystwa satanistyczne i wampirystyczne. Wskazywano, że półtora wieku to klasyczny czas, na jaki wampiry zapadają w hibernację, że zielony atrament stworzono z nieznanych nauce pierwiastków i tak dalej. Domysły budziły domysły, a plotki niosły się z prędkością światła.

– Ludzie są naiwni.

– A nawet cyniczni, przynajmniej używając twoich kategorii rozumowania. – Allegra szeroko się uśmiechnęła. Dodała gazu i mimo linii ciągłej wyprzedziła sznur wlokących się aut. – Kilka lat temu bestsellerem była książka, której autor wcielił się w Kubę Rozpruwacza. Narracja pierwszoosobowa, czas terażniejszy... Słyszałeś o tym?

Mond zerknął na nią z zainteresowaniem. Po chwili jednak machnął ręką i zbył jakąś myśl.

– Wiesz, że w sprawie Kuby Rozpruwacza stworzono pierwsze w historii portrety psychologiczne i powołano pradziadków współczesnych profilerów? To właśnie jest nauka, a nie beletrystyka. – Zachnął się, opuszczając niżej rondo fedory. – A czy sprofilowano kiedyś wampira? Dobrze sobie...

## KILKA DNI PÓŹNIEJ

26



Mond od samego rana, a właściwie jeszcze od nocy, siedział pochylony nad szpinetem i grał lekkie, rokokowe melodie. Przez ostatnie dni przeanalizował sprawę naśladowcy Kuby Rozpruwacza z każdej możliwej perspektywy. Nie potrafił przestać o niej myśleć, choć jak zwykle obcowanie ze śledztwem przyczyniło się do rozlania po całym jego ciele niemal paraliżującego bólu.

Pragnienie znalezienia logicznego wytłumaczenia i rozwiązania wszelkich zagadek już dawno stało się dla niego klątwą. Nie potrafił się od niej uwolnić. Raz po raz zastanawiał się, dlaczego nie natrafiono na ciało kobiety upozowanej na Mary Ann Nichols, czyli pierwszą z kanonicznych ofiar londyńskiego zabójcy. Czy ono również mogło zostać rozwleczone przez psy? A może wcale do takiego mordu nie doszło? Przy założeniu, że naśladowca wiedział o Kubie Rozpruwaczu więcej, niż się ogólnie przyjmuje, mógł uznać, że Mary Ann Nichols wcale nie była jego ofiarą. Tylko skąd miałby takie informacje?

Te wszystkie pytania prowadziły jednak do tego samego. Do rozważań, czy morderca zabije po raz kolejny i kiedy to zrobi. Gdyby poruszać się tropem kanonicznych zabójstw Kuby Rozpruwacza, to kolejna ofiara byłaby wzorowana na Mary Jane Kelly, która zginęła zimnej, listopadowej nocy w swoim nędznym mieszkaniu. Właśnie ten ostatni fakt najbardziej utrudniał zapobieżenie potencjalnej zbrodni. Poprzednie morderstwa zostały popełnione w bramach, zaułkach lub wprost na ulicy, a ten jeden raz Rozpruwacz wdarł się, czy też został wpuszczony, do domu ofiary. Jasne, można było próbować wytypować miejsce, ale czy

to miało sens? Prawdopodobieństwo trafienia wydawało się niższe od polskiego przyrostu naturalnego.

A może wcale nie?

Mond przerwał grę i wstał od szpinetu. Wyciągnął z szafki notes, po czym sięgnął po odłożoną na stoliku książkę. Następnie przewertował biblioteczkę w poszukiwaniu atlasu. Zamiast nim musiał się zadowolić rozkładaną mapą Londynu zamieszczoną w jednym z tomów Britanniki. Posiłkując się informacjami z książki, szybko nakreślił czerwone punkty w miejscach, gdzie zostały popełnione dziewiętnastowieczne mordy. Mimo że rozrzucone po owianym złą sławą Whitechapel, to można było wytyczyć dwie główne osie działań sprawcy. W przeciwieństwie do nich zabójstwa potencjalnego naśladowcy, choć również skupione w promieniu niespełna kilometra, wydawały się znacznie bardziej chaotyczne. Z pewnością naśladowca nie starał się przenieść dawnej mapy Londynu na siatkę współczesnego Krakowa.

– Wybiórczość postrzegania faktów jako istotnych – wyszeptał Honoriusz. – Wszyscy mamy z tym problem...

Kwestie pryncypiów potrafiły komplikować życie małżeństw i rozbić jedność starożytnych plemion. Uznanie, że lepiej będzie uprawiać rolę niż przemieszczać się po terenach łowieckich, doprowadziło do wyginięcia części ludzkości. To była skala makro. W skali mikro ludzkie życie zależało od tego, co pewien szaleniec uzna za istotne. A raczej śmierć...

Myśli Monda meandrowały wokół kolejnych zagadnień, poruszały tematy filozoficzne oraz ocierały się o matematyczne schematy i kalkulacje. Logika – to nią Honoriusz kierował się przez całe życie, ale przecież i ona bazowała na pewnych założeniach. We wszystkim istniał pierwiastek determinowany przez indywidualną perspektywę. Tylko odtwarzając sposób myślenia mordercy, można było przewidzieć jego ruchy. Tymczasem zebrane dowody oraz dotychczasowe okoliczności przynosiły zbyt mało materiału do analizy. Od ostatniego spotkania Berg nie odezwał się ani razu, zapewne przekonany, że ma dość czasu, by działać samemu. Mond nie zamierzał go wyprowadzać z tego

przekonania. Fakt faktem, że w ten sposób ostatnią resztką woli bronił się przed całkowitym zaangażowaniem w śledztwo.

Całkowite zaangażowanie... Czy te mapy, notatki i niemal kompulsywne myśli nie świadczyły właśnie o nim? I znów pojawiała się kwestia subiektywnej perspektywy oraz...

Ciąg myśli został brutalnie przerwany przez dzwonek telefonu. Mond odruchowo sięgnął po leżący na łóżku aparat i przytknął go do ucha.

– Halo?

– Mówi Pudwel – odezwał się ciepły, głęboki głos mężczyzny. – Teraz powinniśmy odtańczyć nasz zwyczajowy taniec, kiszki ze stolcem, że tak powiem, ale chyba możemy go sobie darować?

Doktor Pudwel był około sześćdziesięcioletnim lekarzem sądowym oraz patologiem. Zasłynął jako doskonały specjalista od najbardziej wymagających autopsji, choć Mondowi kojarzył się znacznie bardziej z kwiecistymi metaforami i wyjątkowo obrazowymi porównaniami.

– Kiszka i stolec. – Z cieniem uśmiechu przytknął telefon mocniej do ucha. – Wolałbym być tym pierwszym, bez perspektywy rychłego wyjścia na ten obrzydliwy świat....

– Słyszę, że dobrze się rozumiemy – skwitował Pudwel.

– Lepiej niż gdyby po prostu powiedział pan, że trafił na coś ciekawego i oczekuje na mnie w swoich salonach.

Mond westchnął. Aby jeszcze mocniej uwikłać go w śledztwo, Berg zwrócił się o pomoc do lekarza.

– Jedna poprawka – rzucił Pudwel. – Powiedzieć, że to coś ciekawego, to nic nie powiedzieć. To rozsadza ludzki mózg mocniej niż wielokrotny wylew, że tak powiem... Musi pan to zobaczyć. I to jak najszybciej.

Po tych słowach patolog odłożył słuchawkę.





Chłopiec przez całą noc czuwał pod drzwiami pokoju siostry. Nie odważył się wejść do środka, ale też ani na chwilę nie opuścił posterunku. Nie zmorzyły go sen ani zmęczenie.

Nie wiedział, dlaczego to robi. Po prostu czuł, że tak trzeba i że tylko w ten sposób może w czymkolwiek pomóc. Ktoś kiedyś opowiadał mu o zaginionych, którzy nie mogli odnaleźć drogi do domu, gdyż nikt na nich nie czekał. Ale w tamtych opowieściach chodziło chyba tylko o dusze? W sumie co za różnica? Jego matka była religijna i przemyciła do codziennego życia całe mnóstwo zabobonów. Część z nich współgrała z dziwnymi tradycjami rodziny jego ojca, ale większości chłopiec zupełnie nie rozumiał. Czuł je, akceptował, lecz gdy próbował je analizować, zdawał sobie sprawę, że w jego przypadku logika ma pierwszeństwo przed wiarą. To właśnie była zasługa ojca. Nawet wczorajsze postrzyżyny sprowadzały się do podtrzymania rodzinnej tradycji. Matka zaakceptowała je tylko dlatego, że wiązały się z jakimiś chrześcijańskimi rytuałami, oczyszczaniem z grzechów, oddawaniem pod opiekę aniołów oraz...

Z zamyślenia wyrywa go trzaśnięcie drzwi wejściowych. Choć znajduje się na piętrze, a od holu dzieli go kilkadziesiąt metrów, doskonale je słyszy. Jest bardzo wyczulony na wszelkie dźwięki. Natychmiast się podnosi i po cichu, skradając się, schodzi na dół.

Tymczasem ktoś kieruje kroki do dolnego salonu. Chłopiec wie, że jego matka od kilku godzin siedzi na skórzanej sofie i pogrążona w katatonii tępo spogląda w niezastłonięte okno. Dlatego zaskakuje go nagły brzęk tłuczonego szkła, a potem rozpaczliwy krzyk. Nie zatrzymując się, przemyka w głąb korytarza.

Dwuskrzydłowe drzwi do salonu są uchylone i na podłogę pada strużka światła. Chłopiec uważa, by w niej nie stanąć. Zatrzymuje się i przywiera do ściany. Wstrzymuje oddech.

Ze środka dobiega go cichy szmer rozmowy, a potem płacz. Choć w tym domu łązy są domeną jedynie jego siostry, teraz nie ma wątpliwości, że

płacze jego matka. Drży. Kątem oka dostrzega, że przez jedno z okien sączy się blade światło świtu. Odnotowuje ten fakt, zdając sobie sprawę, że kompletnie stracił rachubę czasu. Musi być już co najmniej piąta rano, a najpewniej dochodzi wpół do szóstej.

Przesuwa się bliżej szpary między drzwiami i mruży oczy. Robi to odruchowo, zawsze kiedy się koncentruje. Płacz matki nie ustaje. Mimo to chłopiec wyraźnie słyszy głos ojca.

– Wyszła przed bramę, na ulicę. Nie wiem kiedy... Ktoś ją potrącił, a siła uderzenia odrzuciła ciało o kilkanaście metrów... Zginęła od razu. Nie cierpiała...

Ojciec milknie i cały świat wypełnia odgłos bicia serca chłopca. Jest on głośniejszy nawet od szlochu matki.

– Niech mi oddadzą moje dziecko – mamrocze zdruzgotana kobieta. – Boże, niech mi zwrócą moje dziecko!

– Jutro dostaniemy jej ciało – odpowiada ojciec. – Nic więcej nie możemy zrobić. Wtedy się nią zajmę.

Chłopiec, głośno tupiąc, biegnie na górę. Zatrzymuje się dopiero przy drzwiach pokoju siostry i jakby nigdy nic ponownie przy nich siada. Zamierza czuwać. Tak długo, jak będzie trzeba. Jego siostra w końcu wróci. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

## 28



Mond pewnym krokiem wmaszerował do instytutu medycyny. Minął grupkę studentów debatujących o wynikach amerykańskich badań nad skutecznością elektrowstrząsów w przypadku padaczki i skręcił w boczny korytarz. Po pokonaniu kilkunastu metrów skwitował uśmiechem zaangażowanie krępej dziewczyny w argumentowanie, że pacjent w toku kuracji powinien być traktowany godnie i z szacunkiem. Nagle na moment przystanął.

– Godność przede wszystkim po śmierci – skwitował, poprawiając rondo kapelusza. – Choć pacjentom jest wtedy najbardziej wszystko jedno. I pewnie w tym tkwi pies pogrzebany, że tak powiem.

Studenci na chwilę zamilkli, lecz gdy tylko się oddalił, przyciszonymi głosami wznowili dyskusję. Z końca korytarza wychwycił wyszeptywane kilkakrotnie jedno słowo. „Mortalista”.

Po schodach zszedł powoli, powstrzymując się przed oparciem się o poręcz. Ból znów rozlał się po całym jego ciele, sprawiając, że wszystkie kończyny traciły synchronizację. Mimo to, gdy pchnął drzwi gabinetu Pudwela, jego twarz nie zdradzała jakiegokolwiek emocji.

Lekarz siedział przy biurku i coś notował. Usłyszawszy gościa, odłożył długopis, po czym otarł dłońmi zmęczoną twarz. Powoli podniósł się z krzesła, co przypominało objawianie się wychodzącego z głębin morskich giganta. Był bardzo wysoki, niemal o głowę wyższy od Honoriusza, lecz imponujące wrażenie robiła jego sylwetka. Z powodzeniem mógłby brać udział w bokserskich walkach wagi ciężkiej, choć widać było już piętno przeszło sześciu dekad życia oraz pracy wymagającej specyficznej pozycji. Miał wyciągniętą szyję i lekko pochylony kark. Przez to zdawał się jeszcze groźniejszy, jakby zawsze zerkał na świat spode łba. Jednak gdy na widok Monda jego usta wygięły się w serdecznym uśmiechu, a w kącikach oczu pojawiły głębokie bruzdy, można było w nim odnaleźć coś z ogromnego, roześmianego bobasa.

– Może pan przekazać komisarzowi Bergowi, że już jestem! – Mond odezwał się bez przywitania.

Lekarz uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Skąd pewność, że komisarz w ogóle wie o tej wizycie?

– A nie wie?

– Pozwoli pan, że odpowiem, gdy poznam tok pańskiego rozumowania. Jak zwykle zdaje się gładkie niczym encefalogram umarłaka.

Mond zatrzymał się w progu i założył ręce za plecy. Zagryzł usta, lecz po chwili potrząsnął głową, jakby podjął jakąś decyzję.

– Wykonywał pan autopsję, więc prywatne rzeczy zostawił w szafce – stwierdził chłodno. – Wraz z nimi zapewne również komórkę, w której miał pan zapisany numer komisarza. Dlatego leży przed panem notatnik założony na początku, jak mniemam na literze „B”. Używał pan stacjonarnego telefonu, który zawsze stoi na krawędzi biurka, lecz teraz jest przesunięty bliżej środka. Poza tym długopis... Zresztą, czy mam mówić dalej?

– Nie. Tyle mi wystarczy. Już mówiłem, że po śmierci chciałbym zbadać pański mózg.

– Zgodziłbym się bez problemu, gdyby nie statystyka każąca uznać, że to pan umrze pierwszy.

– Trafiony pogrzebiony, że tak powiem.

Pudwel przyjaźnie poklepał Monda po ramieniu i, pchnąwszy drzwi, dał znak, by wyszli na korytarz.

– Mówiłem, że to przekracza ludzkie pojęcie? – zagadnął, gdy znaleźli się przed główną salą sekcyjną.

– Wspomniał pan coś o rozsadzaniu mózgu – sprecyzował Honoriusz.

– O tak... Szkoda, że nie można zalać go silikonem. Zapraszam do środka, Mortalisto. Chyba nie należy pan do ludzi, których muszę ostrzegać, by przygotowali się na najgorsze...

## 29



– Proszę na to spojrzeć.

– Na?

– O, tutaj. Może pan użyć szkła powiększającego lub przenośnego mikroskopu. Tam są okulary.

– Chodzi o drobnoustroje?

– Pan zawsze o jednym. – Pudwel wykonał gest zachęcający Monda, by się pochylił. – Zobacz pan to gołym okiem.

Honoriusz zatrzymał się tuż obok stalowego stołu z rynienką służącą odprowadzaniu płynów ustrojowych. Leżało na nim ciało, które już widział na fotografiach pokazywanych przez Berga. Były to zwłoki kobiety z poderżniętym gardłem, ale bez żadnych innych widocznych obrażeń.

– A więc w końcu się spotykamy – wyszeptał, ledwie otwierając usta. – Choć wcale nie miałem na to ochoty...

Nachylił się nad stołem i zmrużył oczy. Dwa pozostałe ciała ofiar mordów przypisanych naśladowcy Kuby Rozpruwacza były w chłodni, tymczasem to zdawało się specjalnie czekać na Monda. Pudwel prezentował je, jakby prowadził show lub popis na pokazowej lekcji anatomii. Pokrótce objaśnił szczegóły autopsji oraz większość wniosków, do których doszedł. Sedno zostawił na koniec. Teraz z wytrzeszczonymi oczami i napiętymi rysami twarzy wyglądał reakcji Honoriusza.

– Piękna robota – ogłędnie stwierdził Mond. – Ładne szycie i klejenie.

Po wykonanej autopsji ciała zszywało się, a gdzieniegdzie kleiło. Pozbawioną narządów jamę brzuszną wypełniano różnymi rzeczami lub preparatami. Można było mówić o szkołach wrocławskich, warszawskich i krakowskich, lecz i w nich praktyka zmieniała się w zależności od upodobań aktualnych szefów instytutów medycyny. Efekt nie musiał być perfekcyjny, zwłokami zajmowały się zazwyczaj później zakłady pogrzebowe oraz specjaliści od tanatokosmetyki, ale w tym przypadku widać było wyjątkowo staranną pracę patologa. Mond powiódł dłonią kilka centymetrów nad korpusem około czterdziestoletniej zmarłej. Nawet jej piersi, częściowo pozbawione tkanki tłuszczowej, nie zapadły się, a szew w kształcie litery „Y” poprowadzono regularnie i równo. Jedyne sinofioletowa skóra kobiety świadczyła o tym, że zmarła ona już jakiś czas temu. Poza tym można było przypuszczać, że jej śmierci towarzyszył gwałtowny upływ krwi.

Nagle Mond się zatrzymał i zawiesił dłoń tuż nad miejscem, gdzie jeszcze kilka godzin temu było serce kobiety.

– Tu? – zapytał bardziej sam siebie niż Pudwela.

– Tu – potwierdził lekarz. – Czy to nie symptomatyczne?

Mond pochylił się jeszcze niżej. Nie miał wątpliwości, o co może chodzić patologowi. W skórze był widoczny ślad po pojedynczym nakłuciu.

– Jak ugryzienie żądneho krwi wampira – parsknął Pudwel. – No nie?

– Wampir z jednym zębem? – Honoriusz przekrzywił głowę. – Nazwałbym go raczej komarem.

– Który sięgnął serca.

Pudwel nie musiał wspominać, że dotarły do niego pogłoski o „zielonym liście”. Był człowiekiem nauki, a jednak odkrycie wzbudziło w nim coś więcej niż zaintrygowanie.

– Co pan na to powie, Mortalisto?

Honoriusz wzruszył ramionami.

– Czy pobrał pan odpowiedni wycinek?

– Oczywiście. Wyniki badań będą za kilka dni...

– W takim razie nie spodziewałbym się niczego nadzwyczajnego. To wszystko? – Mond, widząc pewne rozczarowanie w oczach Pudwela, skierował się do drzwi. – Nie zamierzam postawić żadnej tezy ani skomentować żadnego listu. Proszę to jasno przekazać komisarzowi.

Honoriusz wyszedł na korytarz i tknięty przecuciem sięgnął po komórkę. Przed wejściem do instytutu odruchowo ją wyciszył. Miał kilka nieodebranych połączeń oraz jedną wiadomość tekstową. Nie mogła być bardziej lakoniczna.

„Słyszałeś, co się stało?”

## 30



– Gdybym ci powiedział, że zrobił to wampir, byłabyś w stanie uwierzyć?

– Należy dopuszczać wszelkie możliwości, nawet te, które wydają się nam abstrakcyjne. Od niespełna stu lat ludzie stracili wrażliwość, ale

jak wytłumaczysz pochówki wampiryczne, w których szkielety z zębami... Słodki Thorze!

– Co się stało?

– Ktoś dobija się do moich drzwi.

Mond odchrząknął i przestąpił z nogi na nogę.

– Widzisz, jak łatwo cię przestraszyć.

– Ty łotrze!

Allegra otworzyła drzwi i zmierzyła go baczным spojrzeniem. Była ubrana w długi, pstrokaty szlafrok, pod którym najprawdopodobniej nie miała niczego. Bez zakłopotania przesunęła się, robiąc miejsce, by Mond wszedł do mieszkania. Honoriusz zerknął na nią jedynie przelotnie, a następnie przeniósł wzrok na girlandę czosnku rozwieszoną niedaleko wejścia, porozrzucane tu i ówdzie papryczki oraz całą plejadę świętych wszelkich religii strzegących spokoju wnętrza z rozmaitych portretów.

– Chichy? Opium? Absyntu? – Szmit skierowała się do kuchni. – Z góry mówię, że mam tylko chichę. Za to w wersji truskawkowej oraz mango.

– A ja po raz setny ci odpowiadam, że nie wypiję czegoś, co powstało w wyniku procesów trawiennych przy użyciu plwocin południowoamerykańskich Indianek.

– Rdzennych Amazonek.

– Chrzanię polityczną poprawność. – Mond usiadł w głębokim, skórzanym fotelu i wciągnął zapach tłących się gdzieś trociczek. – Jestem Europejczykiem, więc moje geny kolonizatora każą nazywać mieszkańców Ameryk Indianami. To przecież całkiem proste.

Szmit westchnęła, lecz nim zdążyła zaprotestować, Honoriusz przywołał niedawną myśl.

– Swoją drogą, dlaczego Thora nazwałaś słodkim? – zagadnął. – Wiem, że to twoja wzniosła inwokacja w związku z moim przyjściem, ale Thor uchodził za brzydala. I to wcale nie słodkiego.

– Ale nie we współczesnych serialach. Żebyś tylko widział...

Mond machnął ręką.

– Co takiego się stało, że dzwoniłaś do mnie aż sześć razy?

– A nie odebrałaś, bo...? I skąd ten tekst o wampirach?

– Ciekawość to pierwszy stopień do piekła.

– W które oboje nie wierzymy. Wiesz, że jestem przedsoborowa i prachrześcijańska. Dlatego zamieniam się w słuch.

Honoriusz w kilku słowach streścił swoją wizytę u Pudwela, po czym podparł brodę dłońmi i wbił wzrok prosto w oczy Allegrzy. Nie musiał długo naciskać, gdyż ta odezwała się niemal od razu.

– Mamy kolejną ofiarę, którą ten zwyrol odmortalistycznił... To znaczy odmeldował z tego świata.

– Masz na myśli popełnione morderstwo?

– Dokładnie. Makabryczne, brutalne i całkowicie niezgodne z twoim planem działania Kuby Rozpruwacza.

Mond pochylił się w fotelu i obrócił przyniesioną przed chwilą przez Allegrę szklankę z różowawym napojem. Podejrzliwie go powąchał, po czym bez przekonania umoczył w nim końcówkę języka.

– Przyznaj się, że dołałaś do niego wodę święconą – mruknął. – Wiem, że notorycznie kradniesz ją z kościołów. A poza tym naśladowca Rozpruwacza nie ma monopolu na zabijanie w Krakowie.

– Nie kradnę żadnej wody, a poza tym szczegóły ponoć przemawiają właśnie za naśladowcą.

– Szczegóły?

– Nie znam ich. – Szmit zrobiła niewinną minę. – Słowo Lokiego, do tego bez skrzyżowanych palców.

– Wiem, że Loki to bóg oszustwa.

Mond zmrużył oczy i świdrował wzrokiem Szmit. Kobieta miała ładne, regularne rysy, burzę niesfornych włosów oraz ładne, wydatne usta. Nie stanowiła przykładu klasycznej urody, a jednocześnie intrygowała. Honoriusz przekrzywił głowę, po czym splótł ręce na piersi.

– Rozmawiałaś z Bergiem – odezwał się nagle. – Zadzwoił nie tylko do Pudwela, ale i do ciebie.

– Nie potwierdzam, nie zaprzeczam. Odmawiam komentarza.

– Niech was wszystkich diabli. Nie myślcie, że wciągniecie mnie do tego śledztwa i sprawicie, że...



Mond powiódł wzrokiem po czosnkowych girlandach, po świętych twarzach, wreszcie zmarszczył czoło i odchylił głowę. Przytknął palce do skroni. Ból gwałtownie spłynął z jego karku, po czym rozlał się po całych plecach.

– Co jest? – Allegra momentalnie zerwała się z krzesła i znalazła się tuż przy nim. – Honri?

– Nie mów tak do mnie. – Mond nagle otworzył oczy. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął komórkę. Pośpiesznie wybrał numer Berga, po czym przytknął telefon do ucha. – Mam warunki współpracy – oznajmił, gdy tylko komisarz podniósł słuchawkę. – Proszę słuchać i nie wahać się odmówić. Wtedy rozstaniemy się bez wzajemnego żalu.

### 31



Mond wstał z fotela i ciężkim krokiem obszedł niewielką kuchenną wyspę, na której stały pojemniki z różnymi ziołami oraz proszkami. Allegra współpracowała bodaj z każdą hurtownią, która sprowadzała podobne specyfiki z rozmaitych zakątków świata. Miała też mnóstwo kontaktów indywidualnych i sama mogłaby otworzyć sklep zielarski z szamańskimi miksturami według receptur znanych od Australii po Karaiby. Mimo to Honoriusz nie wierzył, by którykolwiek z jej wywarów mógł zwalczyć jego ból. Wyprostowany, nie dając po sobie poznać cierpienia, odwrócił się do okna.

– Po pierwsze – zastrzegł, oplatając palce na obudowie telefonu – będę działać z Allegrą. O ile Glancująca Szmit tego zapragnie, ma mieć prawo wstępu tam, gdzie ja.

„Wyszmitujemy wszystko na glanc” było hasłem firmy Allegry. Honoriusz uważał je za naiwne, ale jednocześnie podchwycił zwyczaj tworzenia czasowników pochodzących od nazwiska przyjaciółki.

– To się powinno dać załatwić – niechętnie przyznał Berg. – Przy odpowiednich warunkach oraz zachowaniu ostrożności i...

– Ostrożność owszem, ale bez żadnych dodatkowych warunków.

– To nie takie proste.

– Ale w ten prosty sposób oddała się pan od mojej pomocy.

Berg fuknął.

– Dobrze, dobrze. Ogłaszam całkowitą, bezwarunkową kapitulację.

– Świetnie. Dziękuję, panie komisarzu.

– A kolejne warunki?

Mond odwrócił się na pięcie i spojrzał na Szmit. Kobieta w napięciu przysłuchiwała się temu, co mówi. Domyślając się odpowiedzi Berga, lekko się uśmiechnęła. Pukle jej niesfornych włosów wymykały się spod czerwonej opaski. Uniosła dłoń, jakby chciała się przeżegnać, lecz ujrzawszy wzrok Honoriusza, zastygła w bezruchu. Wyszepiała nieme słowa usprawiedliwienia.

– Kolejny warunek zostawiam sobie na przyszłość – rzucił Mond. – Może będzie to chęć skorzystania z pańskich usług taksówkarskich, a może coś zupełnie innego.

– Kiedyś w brydżu nazywano to „kartą szantażysty”.

– Nie lubię szantażu. Hazardu zresztą też nie. I jedno, i drugie prowadzi do nieprzewidzianych wydarzeń.

Berg odchrząknął. Najwyraźniej zaczynał się niecierpliwić.

– Czy mam zacząć opowieść o kolejnym zabójstwie i...

– Nie. – Mond wszedł mu w zdanie. – Wystarczy, że wiemy, że doszło do niego poza klasycznym harmonogramem. Niech pan poda adres, a będziemy najszybciej, jak się da.

Komisarz zaledwie wypowiedział nazwę ulicy, gdy Honoriusz z zaciekawieniem zagryzł usta.



– Na pewno chcesz na to patrzeć? Załatwiłem ci przepustkę, ale to nie znaczy, że musisz z niej korzystać.

Mond wymownie spojrział na Allegrę. Kobieta poprawiła czerwony beret oraz odruchowo sięgnęła ku bransoletkom. Wyszeptała kilka słów, po czym na jej twarzy pojawił się wyraz niemal błógiego objawienia. Pokręciła głową i z determinacją zrobiła krok w kierunku wskazanym przez Berga.

Znajdowali się nieopodal ulicy Jana Zamoyskiego na Starym Podgórzu. Do poprzednich mordów doszło w promieniu niespełna trzystu metrów stąd, ale ich rozmieszczenie nie nakładało się na mapę londyńskiego Whitechapel. Chyba że zbrodniarz kierował się kluczem niezrozumiałym dla Honoriusza. Istniała także możliwość, że nie o wszystkich mordach policja wiedziała lub nie wszystkie z nich zakwalifikowała do śledztwa i powiązała z jednym sprawcą. To mogło istotnie wypaczyć obraz sprawy.

Ten fragment Krakowa został włączony w granice dawnej stolicy Polski dopiero w początku XIX wieku. Wcześniej funkcjonował jako odrębne „Wolne i Królewskie Miasto Podgórze”. Po gwałtownym rozwoju, który nastąpił dzięki przywilejom cesarskim wprowadzonym kilkadziesiąt lat wcześniej, nastąpił zastój i marazm. Niebawem po latach świetności nie pozostało wiele. W XX i XXI wieku zaczęło się to jednak zmieniać i dzielnica ponownie rozkwitała. Mimo to nie w całej swej rozciągłości.

Pobliska okolica przypominała o żydowskiej historii miejsca. Wznosiły się przy niej pozostałości dawnych jatek, fragmenty rozmaitych murów, murków i niskiej zabudowy. Nie trzeba było specjalnej wyobraźni, aby przed oczy nasunął się obraz zatłoczonego, gwarnegetta. Nie trzeba jej było również, aby dziennikarze podłapali trop Whitechapel i zaczęli wszem wobec trąbić o strachu rzuconym na Kraków przez Rozpruwacza z Podgórza.

Mond popatrzył po twarzach zebranych wokół gapiów. Dostrzegł wśród nich wysokiego, przeraźliwie szczupłego mężczyznę o lasce i z bandażem przewiązanym wokół głowy. Obok niego stały dwie dziewczyny

z plecakami przerzuconymi przez ramiona i hot dogami w dłoniach. Jeszcze dalej tłoczyła się grupka mieszkańców pobliskich kamienic, którzy domagali się przepuszczenia na swoje podwórze. Tymczasem policja odgrodziła teren taśmą, a przed nią na straży stanęło dwóch funkcjonariuszy.

– Raz kozie śmierć. – Allegra nabrała powietrza i ruszyła w ich stronę. Berg z daleka dał podwładnym znać, by przepuścili ją oraz Monda.

– Ponoć to hasło to wyznanie wiary satanistów. – Honoriusz powoli ruszył za przyjaciółką. Przeszedł pod taśmą i skierował się ku niewielkiemu placykowi przed pozbawionymi większości okien, chyłącymi się ku upadkowi kamieniczkami.

Dwójka kryminalistyków w kombinezonach uwijała się jak w ukropie. Na widok Monda kobieta oraz mężczyzna machnęli do niego na powitanie. Allegra, którą wiele osób związanych z policją kojarzyło jako dawną, wyjątkowo natrętą dziennikarkę śledczą, mimo aparycji o niebo sympatyczniejszej od Honoriusza wzbudzała znacznie chłodniejsze emocje.

– Boże Śnięty! – wykrzyknęła, zatrzymując się nieopodal kęp podeschniętych krzaków, wśród których nadal leżało ciało kobiety. – Jasne nieba...

– Może to właśnie jasne nieba stoją za problemem senności Boga?

Mond bez jakiegokolwiek śladu uśmiechu wyprzedził Allegrę i zdjął fedorę. Trzymając ją pod pachą, uważnie lustrował zwłoki z oderzniętą, leżącą obok tułowia głową. Powieki zamordowanej były opadnięte, lecz widać było białka jej oczu. Z szyi sterczały strzępy skóry oraz mięśni. Korpus kończył się obrzydliwym, zionącym pustką otworem. Sklejone krwią włosy kobiety były rozrzucone wokół jej głowy, jakby specjalnie je ułożono. Sukienka została podwinięta, a bielizna zdarta do wysokości kolan. Okolice krocza przypominały krwawą miazgę.

– I w tym momencie sprawa istotnie się komplikuje. – Mond odwrócił się ku stojącemu nieopodal Bergowi. Obrzucił go wymownym, ponurym spojrzeniem. – Niech pan nie planuje w najbliższym czasie urlopu.



– Merry Jane Kelly to to nie jest. I to na żadnej płaszczyźnie. – Mond przykucnął i z odległości około trzech metrów przypatrywał się zwłokom. – Nie zamordowano jej we własnym pokoju, a obrażenia są całkowicie inne. Kelly leżała na plecach, z twarzą obróconą na bok. Policja doskonale obfotografowała miejsce zbrodni, więc mamy co do tego zupełną pewność. Piąta ofiara Rozpruwacza miała poderżnięte gardło, a jej brzuch oskórowano. Poza tym jej twarz była kompletnie zmasakrowana...

– Wobec tego w tym przypadku nie mamy żadnej zbieżności.

Allegra stanęła obok Honoriusza i przytknęła do ust zaciśniętą pięść. Nie odwróciła wzroku, choć widok był wyjątkowo makabryczny. Przełknęła ślinę, po czym strzepnęła jakiś niewidzialny pyłek z rękawa kwiecistego płaszcza.

– Piotrze Święty – bąknęła przyciszonym tonem żałobnika podążającego za trumną.

– Patronie męczenników i Zgonów Okrutnych?

– He?

Mond, nie odrywając wzroku od ofiary, machnął ręką. Wyprostował się i obrócił głowę, widząc, że jeden z dziennikarzy stara się mierzyć obiektywem prosto w jego stronę. W tym samym momencie tuż obok niego stanął Berg. Komisarz miał bladą twarz, podkrążone, wylupiąste oczy i wygięte niemal w podkówkę usta. Tego dnia nie przypominał giganta wciśniętego w pomięty prochowiec, lecz obślizgłą żabę, która wypadła z dzioba bociana w trakcie lotu.

– I co ty na to, Mortalisto? – zagadnął, zwieszając głowę. – Naśladowca przestał być naśladowcą?

– Niekoniecznie.

– Widzisz jakieś inne wyjście? W ciągu ostatnich dni naczytałem się o Merry Jane Kelly tyle, że mógłbym zostać jej biografem.

– Merry Jane Kelly nie żyje od prawie półtora wieku. To nie na niej należało się skupić.

Cierpka uwaga Monda sprawiła, że Berg się nastroszył. Podniósł głowę, zadarł podbródek i cicho parsknął.

– W takim razie na czym skupiłby się wszechwiedzący Mortalista? Przecież to ty sugerowałaś, że...

Honoriusz wszedł mu w słowo.

– Sugerowałem jedynie to, że dotychczasowe mordy miały pozór kanonicznych zabójstw Rozpruwacza – wycedził. – Było ich pięć, ale Kubę podejrzewano o znacznie więcej.

– Znacznie?

– Bardzo znacznie.

Berg przełknął ślinę i w ostatniej chwili powstrzymał się przed splunięciem.

– Mówiono nawet o setce. – Mond przeniósł wzrok z okaleczonej ofiary na Berga. Spoglądał na niego jak kat delektujący się cierpieniem torturowanego więźnia. – Niektórzy badacze przypisali mu niemal dwieście zabójstw.

– Boże...

– Niezmiennie powtórzę, że Bóg nie ma z tym nic wspólnego. Chyba że chce pan wymienić doświadczenia i pomysły z Allegrą. Jak dla mnie ręka boska skończyła się wraz z mundialowymi interwencjami VAR uniemożliwiającymi powtórzenie cudu Maradony.

Honoriusz zmarszczył czoło, ujrzawszy zafascynowanie, z jakim Szmit wpatruje się w zwłoki. Nagle kobieta poprawiła beret i pobrzękując bransoletkami, uniosła dłoń. Przeżegnała się, po czym spoglądała to na Berga, to na Mortalistę.

– Owszem, mam pewną teorię – odezwała się szeptem. – Tym bardziej że widzę pewien interesujący szczegół...

– Gdzie? – Komisarz starał się podążyć za jej wzrokiem.

Szmit wyciągnęła dłoń i wskazała na zwłoki.

– Tam.

– Tam?

Mond kiwnął głową, rozumiejąc, na co wskazuje Allegra.

– Zdaje się, że to teoria wampiryczna – stwierdził, wzdychając. – Mów śmiało, lepiej miejmy to już za sobą.

## 34



Cała trójka odeszła na bok, pozwalając kryminalistykom całkowicie skupić się na wykonywanej pracy. Berg ukradkiem dał znać, by jego podwładni odsunęli gapiów oraz reporterów. Z minuty na minutę na miejsce przybywało coraz więcej wozów stacji telewizyjnych i radiowych, z których dosłownie wysypywali się żądni sensacji dziennikarze. W pobliżu pojawili się również prokurator oraz rzecznik komendy wojewódzkiej. Koordynacja pracy służb już na pierwszy rzut oka nie wyglądała na najlepszą.

– Mów, proszę. – Berg z nadzieją łypnął na Allegrę. Znajdowali się kilka metrów od pustostanów, przy zaparkowanych radiowozach. Byli tu całkowicie sami. – Śmiało, już chyba nic mnie nie zaskoczy.

– Porfiria. – Szmit rzuciła tylko to pojedyncze słowo i spojrzała na Monda.

Honoriusz pozostał niewzruszony.

– Twoją uwagę zwrócił krwawy ślad w miejscu serca ofiary – stwierdził. – Również go zauważyłem i również nie mam wątpliwości, że na klatce piersiowej będzie ślad wkłucia. Co więcej, być może przez jamę brzuszną usunięto mięsień sercowy...

– To mogłoby łączyć ofiarę z Merry Jane Kelly. I z innymi kobietami zamordowanymi przez Kubę Rozpruwacza. On w wielu przypadkach dosłownie wyrывał serca.

– A twoją wyobraźnię dodatkowo rozbudza zielony list.

– A twojej nie?

– Ja nie mam wyobraźni. Ja mam wyobrażenia, a to istotna różnica. Niewyobrażalnego nie jestem sobie w stanie wyobrazić.

Berg przysłuchiwał się tej wymianie zdań, wybałuszając oczy jeszcze mocniej niż zwykle. W pewnym momencie głośno odchrząknął. Allegra odwróciła się w jego stronę.

– Często mamy błędne wyobrażenie o osobach chorych na porfirię – rzuciła tonem wyjaśnienia, po czym kontynuowała, błyskawicznie wyrzucając słowa: – Zanik naskórka, nadwrażliwość na światło słoneczne, nadmierne owłosienie, obnażenie szyjek zębów spowodowane przez obkurczanie dziąseł i oto mamy wampira lub wilkołaka. Ale to fizyczna strona tego mistycznego, pełnego tajemnic medalu.

– A jaka jest druga? – zapytał komisarz niepewnym, choć nieco kpiącym tonem. – Na razie nie widzę specjalnego związku... Ta kobieta ciągle się nie podnosi i nie wyrastają jej zęby.

– Istnieje choroba oparta na niedoborach składników krwi, która pobudza potrzebę jej spożywania. W przypadku każdej z tych ofiar, poza ewentualnymi nakłuciami, mamy obrażenia powodujące ogromne krwotoki...

– Czyli tworzenie profilu sprawcy powinniśmy zacząć od tego, że jest stekolubny.

– Albo że jest członkiem grupy leczniczej porfiryków – skwitowała Szmit.

– Ale to miały być dwie strony medalu.

– Tego samego. Nie ma krwiolubności bez porfirii. Choć nie działa to już w drugą stronę.

Berg zaśmiał się ironicznie.

– Bzdury. – Zerknął na Monda i pokręcił głową. – Całkowicie się jej odkleiło, co nie?

Humor komisarza nie udzielił się Mortaliście. Honoriusz obrzucił go karcącym spojrzeniem i położył dłoń na ramieniu Szmit.

– Dopuszczam każdy wyobrażalny scenariusz – wycedził. – A moim warunkiem było, aby pan robił to samo. Chodźmy, Allegro



Skierował się w stronę zaparkowanego nieopodal jaguara. Szmit powoli, z tryumfalną miną, podążyła za nim.

– Czekaście! – krzyknął Berg. – Mortalisto...

– Jedynym szmitosceptykiem mogę być tylko ja – bąknął Mond.

– To ślepa uliczka.

– Nauka nie zna ślepych uliczek.

Allegra kątem oka zerknęła na Honoriusza. Na jej twarzy pojawił się wyraz wdzięczności.

### 35



– Byłam pewna, że weźmiesz mnie za nie zrównoważoną. Zawsze tak się kończy, gdy poruszam temat zahaczający o paranormalność.

– Porfiria nie jest paranormalna.

– Ale i tak ostro jedzie po bandzie.

– Czyżby? Wierzę w twoje zdolności dedukcji, bo czytałem twoje reportaże kryminalne. Poza tym...

Mond zatrzymał się, poczuwszy, że Szmit lekko szarpie go za rękaw marynarki. Spojrzał na nią i zrozumiał, że kobieta wcale nie zamierza brnąć w temat swojej dawno zakończonej kariery dziennikarki śledczej. Ukradkiem wskazywała głową w stronę tłumu zebranego przed taśmami policyjnymi.

– Co jest? Nie mów tylko, że zobaczyłaś ducha.

– Ducha nie.

– Wampira? Z góry ostrzegam, że mam dla ciebie wiele wyrozumiałości, ale traktuj to jako pobłażliwość matki dla fantazjującego dziecka.

Allegra jedynie przewróciła oczami.

– Widziałeś tamtego wysokiego człowieka o lasce? – zapytała szeptem.

– Tego z zabandażowaną łepetyną?

– Tak.

Mond przestąpił z nogi na nogę i założył trzymaną dotąd pod pachą fedorę. Poprawił jej rondo, po czym znów łypnął na Allegrę.

– I?

– To właśnie założyciel stowarzyszenia porfiryków. – Szmit tryumfalnie się uśmiechnęła. – Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Zapamiętałam jego sylwetkę oraz charakterystyczną gębę z telewizji. Udzielał wywiadu jakiejś stacji...

Mond zerknął w stronę tłumu. Z tej perspektywy nie widział miejsca, w którym stał wspomniany mężczyzna. Zrobił kilka kroków, po czym spojrzał ponad dachem jednego z radiowozów.

– Jesteś pewna, że to był on?

– Nie mam żadnych wątpliwości. Właściwie przez cały czas starałam się sobie przypomnieć, skąd kojarzę tę twarz... Dlatego w ogóle zaskoczyłam z tematem porfirii.

– Zbiegi okoliczności nie istnieją, prawda?

Honoriusz bacznie się rozglądał, wreszcie rozłożył ręce i westchnął.

– Teraz go nie widzę.

– Zniknął?

Mond zerknął na Szmit spode łba.

– Ludzie nie znikają. Sądzę, że po prostu gdzieś odszedł... – Założył dłonie za plecy i energicznie potrząsnął trzymanymi w nich kluczykami do auta. – Zresztą być może powinniśmy potraktować go wyłącznie jako zdarzenie o nadzwyczajnie niskim poziomie statystycznym... – Honoriusz zawiesił głos i nagle znacząco odchrząknął. – Wiesz co? Może wybierzmy się na wycieczkę. Mam pewien pomysł.



Tak ludzkość nazywa to, co ma się wydarzyć w ciągu najbliższych godzin lub dób. Chłopiec doskonale o tym wie i kolejnym wydarzeniom przypatruje się z lodowatym dystansem. Widzi przygarbioną, zropaczoną matkę, którą prowadzi jego ojciec. W ciągu ostatnich dwóch dni kobieta zestarzała się o wiele lat. Jej żywe, radosne zazwyczaj oczy zapadły się i zmętniały, rysy twarzy wyostrzyły, a pełne usta zamieniły w cienką, ledwie widoczną kreskę. To skutek bezgranicznego żalu, na który nie mogły zaradzić żadne modły ani wizyta zaprzyjaźnionego księdza. Ojciec chłopca sięgnął nawet po ten sposób, choć sam odczuwał do duchownych głęboki wstręt. Teraz ściska klesze dłoń i z kamienną twarzą daje znak, by odszedł. Wraz z żoną muszą zająć się czymś znacznie poważniejszym od rozmowy z Bogiem.

Na podjeździe rezydencji jest zaparkowany czarny karawan, z którego wysiada dwóch mężczyzn. Otwierają bagażnik, po czym wyciągają ze środka metalowe łóżko na kółkach. Po chwili zostaje na nim umieszczony czarny worek. Chłopiec doskonale wie, co się w nim znajduje.

Całą scenę obserwuje z okna pokoju swojej siostry. Jest smutny, ale opanowany. Nie płakał. Nigdy nie potrafił zdobyć się na łzy, choć dla kogoś w jego wieku te są ponoć całkiem naturalne. Mimo to czuje wewnętrzny niepokój. Odruchowo zaciska i rozluźnia pięści, co stanowi najwyższy przejaw jego zdenerwowania.

Łóżko na kółkach zostaje wniesione po schodach, a potem wprowadzone do domu. Towarzyszy mu kondukt złożony z rodziców chłopca. Tymczasem dwaj mężczyźni na powrót wsiadają do karawanu i samochód odjeżdża. W momencie gdy znika chłopcu z oczu, postanawia on opuścić trzymany od dwóch dni posterunek. Jego siostra przecież znów jest w domu.



– Grupa lecznicza porfiryków nie istnieje. To znaczy istnieje, ale nie ma jej w rejestrze... To znaczy jest, ale...

Mond łagodnie zerknął na siedzącą obok Allegrę. Dynamicznie i pewnie prowadził potężnego jaguara o pięciolitrowym silniku. Jak zwykle kierownicę trzymał przez skórzane rękawiczki w kolorze mocnego koniaku.

– Uspokój się. Weź kilka oddechów i przeczytaj ze zrozumieniem to, co wydaje się teraz tak skomplikowane.

– To wcale nie jest skomplikowane.

– Ale?

Jechali ulicą Wielicką, w oddali po prawej mając kopiec Kraka i kierując się ku Podgórzu Duchackiemu. To tam, jak sądziła Szmit, miało mieścić się stowarzyszenie czy też grupa, o której słyszała. Tymczasem okazało się, że prawda jest nieco bardziej skomplikowana.

– Niespełna tydzień temu założono jego stronę i puszczono temat do mediów – bąknęła. – Ale, po pierwsze, grupa nadal nie ma siedziby, po drugie, jedynym jego członkiem wydaje się ten wysoki gość z wiecznie obandażowaną głową, a po trzecie... Po trzecie, wszystkie teksty na ten temat stworzył Bonig. To on odpowiada za reportaż, z którego go kojarzyłam.

– W takim razie już widzę ich wiarygodność. Znów może coś kombinować.

– Tylko skąd miałby cynk o wynikach sekcji zwłok? Poza tym myślisz, że mógłby być aż tak cyniczny?

Mond z pobłażaniem zerknął na Szmit.

– Cynizm to jego filozofia życiowa.

Allegra jedynie westchnęła. Maurycy Bonig, już wcześniej w zadziwiający sposób miewał informacje o najbardziej wrażliwych szczegółach śledztw prowadzonych w Krakowie i okolicach. Obdarzony urodą amerykańskiego playboya, z szerokim perlistym uśmiechem oraz rozwichrzoną czupryną, prowadził sensacyjne programy i kanał

internetowy. Chwytlive tematy, prezencja oraz tajne kontakty sprawiły, że cieszył się ogromną popularnością. Mortalista podejrzewał nawet, że dziennikarz mógł mieć konszachty z Kanclerzem – osławionym „geniuszem zła” działającym w odmętach darknetu, który zdawał się kierować wszelkimi zbrodniami świata. Była to teoria spiskowa, ale wiele elementów układanki pasowało do niej aż nazbyt dokładnie. Nigdy nie udało mu się jednak zdobyć dowodów na jej poparcie. Poza tym Kanclerz oficjalnie nie istniał. Jedynie Kuzynka Honoriusza półgębkiem potwierdziła mu prawdziwość jego istnienia. A w jej słowa wierzył bezgranicznie.

– Nie chcę kolejny raz dać się złapać na tę przynętę – mruknął.

– A jeśli coś w tym jest?

– I tak wypłynie na wierzch.

– Co masz na myśli?

Mond zabębnił palcami w kierownicę. Przez chwilę się nad czymś zastanawiał, wreszcie ponownie spojrzął na Szmit.

– Czy mogłabyś ustalić pewien adres? Wykaż się zdolnościami śledczymi i zdobądź mi namiary na jednego człowieka.

Spełnienie prośby Honoriusza zajęło Allegrze tylko kilka minut. Wystarczyły dwa telefony, odwiedzenie paru witryn internetowych i mogła mu podyktować upragniony adres. Po chwili z rykiem silnika mknęli kierowani wskazówkami nawigacji auta. Mortalista nigdy nie przyznałby, że wiodło nim przecucie. Wolał nazwać je instynktem człowieka naznaczonego śmiercią.



– Nikogo nie ma.

– Zaczekaj.

Mond po raz trzeci nacisnął dzwonek zawieszony przy drzwiach rzeźbionych w gotyckie maszkarony. Znajdowali się przed wejściem do jednego z mieszkań w eleganckim szeregowcu. O upodobaniach jego właściciela świadczyły nie tylko rzeźbienia, ale również dzwonek w kształcie koziej głowy oraz zawieszona ponad nim surowa, wiktoriańska latarnia.

Gdy już się mieli wycofać, szczęknęła zasuwka i drzwi lekko się uchyliły. Pojawiła się w nich blada, pociągła twarz około trzydziestoletniego mężczyzny. Spojrzał na nich spode łba, po czym przeczesał zmierzwione, ciemne włosy.

– Niczego nie chcę, nikogo nie oczekuję – warknął zirytowany.

– Słusznie – mruknął Mond. – Właściwa postawa, ale...

– Pan Cyprian Wotler? – Szmit musiała ratować sytuację. Szeroko uśmiechnięta, wyciągnęła dłoń, po czym zrobiła krok ku mężczyźnie. Ten obrzucił ją niepewnym spojrzeniem, ale po chwili otworzył szerzej drzwi i odwzajemnił delikatny, przelotny uścisk. – Felicja... To znaczy Allegra Szmit. Proszę mówić do mnie Allegra.

Allegra była imieniem synonimicznym do otrzymanego przez Szmit na chrzcie. Poza kwestiami chrześcijańskich patronów włoska wersja wydawała się jej znacznie atrakcyjniejsza. I zapewne lepiej odpowiadała jej charakterowi.

– To jest Honoriusz Mond. Może pan o nim słyszał. Zwią go często Mortalistą, ale... – Szmit, ściskając dłoń Wotlera, zrobiła ruch w stronę jego mieszkania, jednocześnie nie przestawała mówić. – Chcielibyśmy porozmawiać, właściwie skonsultować się ze specjalistą, bo nie ukrywajmy, jest pan kimś wyjątkowym, kto mógłby nam bardzo pomóc... Niemal jak bóstwo opatrnościowe albo zrządzenie losu, choć mój przyjaciel nie wierzy w zrządzenia losu.

Przez całą tę przemowę Szmit mową ciała, krok po kroku, nakłaniała Wotlera, by wpuścił ich do środka. Ten wreszcie ustąpił, cofnął się do przedpokojku, ale najwyraźniej nie zamierzał iść nigdzie dalej.

– W czym mogę pomóc? – zapytał znużony.

– Piękne wnętrze. – Mond z nieukrywaniem uznaniem powiódł wzrokiem po mahoniowych płytach ściennych, zamontowanym nad dwuskrzydłowymi drzwiami witrażu oraz kolekcji oprawionych w biedermeierowskie ramy czarno-białych grafikach. Mrok wnętrza rozjaśniała zawieszona na łańcuchu latarnia z miodowymi szklami.

– Nie przyszlście tu chyba oglądać staroci...

– Owszem. – Mond, nie zdejmując kapelusza, zsunął go nieco do tyłu. – Jesteśmy tu nieoficjalnie, choć współpracujemy z policją.

– Mam wam wierzyć na słowo?

– Nie. Ale słowa rzeczywiście mają w tej sprawie ogromną rolę.

– Co ma pan na myśli?

Honoriusz spojrział na Wotlera z góry. Zmrużył oczy, po czym odezwał się zimnym, surowym tonem:

– Wie pan, że w ostatnich dniach dokonano morderstw dokładnie w taki sposób, w jaki opisywał je pan w książkach? Słowa mają ogromną moc...

Gospodarz pochylił głowę, przyglądając się mu z zaciekawieniem. Po chwili naciągnął rękawy czerwonego swetra i zerknął na Allegrę. Widząc, jak bardzo jest teraz poważna, zacisnął usta, po czym ciężko westchnął:

– Zapraszam. – Wskazał ku dwuskrzydłowemu drzwiom. – Jeśli jesteście kolejnymi, którzy sądzą, że kogoś zabiłem, to się mylicie.

– Kolejnymi?

Wotler nie odpowiedział. Ciężkim krokiem skierował się do salonu.

## 39



– Kolejnymi?

Szmit powtórzyła swoje pytanie, gdy usiedli przy okrągłym, hebanowym stole. Mond z przyjemnością pogładził go dłonią, jakby

napawał się wyjątkową fakturą drewna. Ukradkiem zerknął na leżący stosik dokumentów, zdjęć i wydruków. Dostrzegł skany fotografii wykonanych na miejscach zbrodni Kuby Rozpruwacza, kopie przypisywanych mu listów oraz fragmenty akt policyjnych z tamtego czasu. Na jednej ze ścian wisiała ogromna mapa dziewiętnastowiecznego Londynu, a obok niej sporych rozmiarów karykatura mordercy drukowana w jakimś dawnym periodyku. Miał na niej zamazaną twarz, zaklejone plastrem usta oraz czerwone oczy. Przez czubek jego głowy biegła krwawa linia z igłą oraz nitką, nad którymi zamieszczono podpis: „Rozpruty Kuba”. Ciekawa gra słów.

Wotler powiódł wzrokiem za spojrzeniem Monda, wreszcie odchylił się w fotelu. Splótł dłonie i podparł nimi wystający podbródek.

– Przed dwoma dniami był tu jakiś dziennikarz – parsknął. – Wyrzuciłem go na zbity pysk. Nawet nie chciałem słuchać tych insynuacji. Jeśli tylko podajecie się za współpracowników policji, a tak naprawdę...

– Jesteśmy nimi – weszła mu w słowo Szmit. Jednocześnie wymieniała z Honoriuszem porozumiewawcze spojrzenia. – Przysięgam na wszystkich bogów we wszystkich panteonach.

– Z wyjątkiem Lokiego – cicho wtrącił Mond. Nim gospodarz okazał konfuzję, zmienił ton na niemal poufny i zwrócił się właśnie do niego. – Wiemy, że napisał pan powieść niejako z perspektywy Kuby Rozpruwacza. I że ta powieść stała się bestsellerem.

– Trzysta trzydzieści tysięcy sprzedanych egzemplarzy – sprecyzował Wotler. – W pierwszym kwartale.

– Piękna liczba.

– Ano. Ale do czego zmierzacie?

– Po prostu. Chciałem zobaczyć człowieka, który w tak wyjątkowy sposób wciela się w dewiantów. Do tego potrzeba wyjątkowej empatii oraz sprawnego intelektu. Nie wspominając nawet o ogromnej kwerendzie, której ślady widzę wszędzie wokół.

Allegra z rozbawieniem przysłuchiwała się perorze Monda. Honoriusz zazwyczaj był małomówny, a wypowiedzenie przez niego tylu pochlebstw



za jednym razem stanowiło przypadek wart odnotowania w księgach pamiętkowych.

– Wobec tego wie pan już zapewne od pana Boniga... Tak nazywał się ten dziennikarz?

Wotler wzruszył ramionami.

– Nie pamiętam... Być może, chyba tak. Skojarzyłem jego nazwisko z Cieśniną Beringa i pięć sekund później byłem gotów wymierzyć mu kopniaka w dupsko.

– Właśnie. Przynajmniej w tym mamy jasność. – Mond westchnął. – Dlatego zapewne wie pan o charakterze popełnionych mordów?

– Owszem, jest mi znany. Czy chcecie ode mnie alibi, czy mam stawić się z adwokatem?

Szmit dostrzegła na twarzy pisarza konsternację. Spoglądał to na nią, to na Monda, przez cały czas nerwowo bawiąc się srebrną łyżeczką, która leżała na stole.

– Jesteśmy tu bardziej nieoficjalnie niż Amerykanie w Ukrainie. – Allegra usiłowała dowcipkować, by rozluźnić atmosferę. – Ale jeśli się nas oszukuje, bywamy gorszym problemem niż stopy procentowe.

Honoriusz nie zamierzał brnąć w te wywody.

– A ma pan takie alibi? – zagadnął ponuro.

– Owszem – przytaknął hardo pisarz. – Ale zostawiam je na oficjalne przesłuchanie.

– Pańskie prawo. Chyba że zdaje pan sobie sprawę, że nie musiał pan nikogo zamordować swoimi rękoma.

– Co takiego? Czy pan chce mnie zastraszyć, panie...

– Mond.

– A tak, panie Mond?

Honoriusz wciąż wpatrywał się prosto w oczy Wotlera, jakby chciał przejrzeć go na wylot. Jego świdrujące spojrzenie niemal wżynało się w mózgi rozmówców.

– To pan jest od straszenia i pisania budzących grozę historii – stwierdził poważnie. – A te przekładają się na pewne reakcje.

– Chyba nie rozumiem.

– Mówiąc wprost... – Mond przyciągnął jeden z egzemplarzy książek leżących obok sterty dokumentów i zerknął na okładkę. Wymowny tytuł: „Kuba Rozpruwacz. Spojrzenie bestii”, umieszczono na czerwonym tle z zarysem londyńskiego Tower w tle. – Po lekturze tej powieści ktoś mógł poczuć się zainspirowany. Nie sądzi pan?

Wotler zmarszczył brwi i odłożył łyżeczkę na stół.

– Dostaję rozmaite listy od fanów, ale... – zawiesił drżący głos i powtarzając nerwowy gest, przeczesał palcami włosy. – Mój Boże, nie... To niemożliwe. Chyba że...

## 40



– Sprzedaż mówi sama za siebie. Naśladowców nie brakuje.

– Gdyby ludzie mordowali po przeczytaniu kryminałów, mielibyśmy tu Gotham City.

– Kryminałów nie. Ale powieść napisana niejako z perspektywy mordercy potrafi drażnić mózg. Poza tym nie brakuje nam rozmaitych degeneratów, prawda?

Mond wykonał gest przypominający ruch tancerza prezentującego się przed widzami na scenie. Po chwili obrócił się i skierował do zaparkowanego nieopodal jaguara. Znajdowali się kilkadziesiąt metrów od domu Wotlera. Wiatr niósł po chodniku opadłe liście drzew oraz drobinki kurzu. Panująca od dawna susza nie pozwoliła drzewom ładnie się wybarwić, lecz ich liście opadały, tworząc szarobrązowy dywan.

Honoriusz uniósł kciuk i wymownie wskazał za siebie.

– Co jest? – Allegra założyła za ucho pukiel włosów. – We Włoszech to jeden z najbardziej obraźliwych gestów...

– W Polsce znaczy po prostu „odwróć się”. Tylko ukradkiem.

– No i?

– Ten pisarzyna jest cholernie ciekawski. Przez cały czas obserwował nas z okna, ale przy zgaszonym świetle. – Mond minął jaguara i skierował się w boczną uliczkę.

– Halo? Nie jedziemy?

– Na wszelki wypadek odczekajmy tu chwilę. Lepiej, żeby nie wiedział o nas zbyt wiele. Nawet tego, jakim autem jeździmy.

– Robisz się przewrażliwiony.

– Ja? – Honoriusz spojrzał na Szmit i delikatnie się uśmiechnął. – To ty, zbierając się do wyjścia, nawet nie podałaś mu ręki. Niemal uciekłaś.

– Jest w nim coś dziwnego.

– A jeszcze dziwniejszego może być w jego czytelnikach. Słyszałaś o fanach wystających pod oknami swoich ulubionych autorów?

Allegra przewróciła oczami.

– O wystających pod oknami może i tak. Ale nie mordujących według schematu z książki.

– Schematu z życia – sprecyzował Mond. – Psychologicznie bardzo atrakcyjnego, bo raz przetestowanego. Jeśli naśladować jakiegoś mordercę, to kto byłby lepszym kandydatem od tego, który przeszedł do historii, a do tego nie został ujęty?

– Po co w ogóle kogoś naśladować?

Honoriusz westchnął. Poprawił węzeł krawata i zawrócił w stronę samochodu.

– Modląc się, naśladujesz sto pokoleń swoich poprzedników, robisz to również, mieszkając w murowanym domu, a nie w szałasie...

– Nie przyrównuj morderstw do wygody mieszkania.

– To tylko kwestia wyborów i perspektywy. Ktoś kogoś przekonał, że osiedlenie się w jednym miejscu jest lepsze od podążania za dziką zwierzyną, a teraz naśladuje go dziewięćdziesiąt pięć procent ludzkości. Dlaczego by nie naśladować seryjnego mordercy i to wedle opisu współczesnego pisarza?

– A dlaczego by nie zrealizować tego, o czym się napisało książkę?

Szmit wreszcie sformułowała swoją myśl. Zdziornie spojrzała na Monda, ale ten jakby zbagatelizował jej pytanie. Sięgnął do kieszeni, po

czym wyciągnął z niej telefon.

– Wielce szanowny doktor Pudwel... – wymamrotał. – Telefon od niego jest jak najgorsza wróżba. I to mająca całkowicie naukowe uzasadnienie.

Honoriusz z ostentacyjną niechęcią nacisnął jeden z klawiszy, po czym przytknął telefon do ucha.

– Halo, doktorze? Jak miło pana słyszeć...

## 41



– Czy pana ulubionym zajęciem jest ściąganie mnie do prosektorium? – Mond łypnął na Pudwela z ukosa. – Nie wystarczy komunikat telefoniczny? Jak go nazywają – esemes, albo krótka rozmowa.

Patolog uśmiechnął się szeroko i położył swoje wielkie łapsko na ramieniu Mortalisty. Spojrzał mu prosto w oczy, a następnie przeniósł wzrok na Szmit.

– Bóg mi świadkiem, że nie kazałem wam przyjeżdżać. Tym razem to pan, panie Mond, rwałeś się do odwiedzin.

– Panu świadkiem Bóg, a mnie człowiek, doktorze. – Honoriusz również zerknął na Allegrę. – Prawda? Sama słyszałaś tę rozmowę.

– Tak, i...

Szmit zawiesiła głos. Odchrząknęła i ściągnęła beret. Znajdowali się w chłodni, gdzie Pudwel obiecał na nich czekać. W rzeczy samej, gdy kwadrans po odłożeniu przez Honoriusza słuchawki znaleźli się na miejscu, wyglądał na zniecierpliwionego.

– I? – dopytał, pochylając głowę.

– Muszę przyznać, że Honriego nie trzeba było długo namawiać.

– Raczej sam wyszedł z inicjatywą. Rwał się jak podrażniony nerw kulszowy, że tak powiem.

Mond pokręcił głową.

– Wypraszam sobie – syknął, pozostając całkowicie poważny. Zlekceważył porozumiewawcze spojrzenia wymienione przez Szmit oraz lekarza i odwrócił się w stronę szuflad. – Gdzie ona jest?

Pudwel westchnął i podszedł do szeregu metalowych drzwiczek.

– Od śmierci nie można uciec, prawda? – zapytał, gwałtownie wyciągając szufladę. Prowadnice zabrzęczały i pokazał się zarys sylwetki w plastikowym worku na zwłoki. Lekarz otworzył go, nie czekając na reakcję gości. – Panno Szmit, mam nadzieję, że jest panienka przygotowana.

– Już ją widziałam.

Allegra zacisnęła usta. Spoglądała na zwłoki, które widzieli ledwie przed dwiema godzinami. Oblepioną krwią głowę ułożono tak, by znajdowała się nad karkiem, ale na skutek gwałtownego ruchu szufladą nadal poruszała się, jakby kobieta nagle ożyła. Szmit się wzdrygnęła. Odwróciła się i odkaszlnęła.

– Żelu mentolowego? – Pudwel zmarszczył swoje wielkie, płaskie czoło.

– A może wiaderka na wymioty? Często podstawiamy właśnie to, które służy odcedzaniu płynów ustrojowych.

Szmit przełknęła ślinę i spojrzała na niego wyzywająco.

– Takie teksty mnie nie ruszają – wymamrotała. – A świeże zwłoki są o tyle zaskakujące, że raczej obcujemy z ich resztkami pozostałymi na kanapach lub pod parkietem.

– To tylko zbitki tkanek, prawda? Jest w nich tyle człowieka, co ciała Chrystusa w komunii, że tak powiem. Chyba że...

– Z tym głęboko się nie zgodzę. Hostia ma w sobie element mistyczny, wiary. Poza tym...

Tę wymianę zdań przerwało ciche cmoknięcie Monda. Honoriusz podszedł do ciała i swoim zwyczajem poruszył dłonią tuż ponad nim, jakby gładził jakąś niewidzialną powłokę.

– Pokazuje pan te zwłoki przed sekcją – mruknął. – Czyli chodzi o coś, co możemy zobaczyć, będąc bliżej niż na miejscu zdarzenia. Na pierwszy rzut oka.

– Myślenie obdukcyjne, tak to pan nazywa?

– Na wysokości serca ślady krwi są rozłożone nierównomiernie – ciągnął Mond. – Jednak układają się w wyraźny rozbryzg. Jak sądzę, po raz kolejny serce zostało nakłute. Dokładnie tak, jakby ktoś się w nie wessał. Mam rację, panie doktorze?

Pudwel jedynie skinął głową.

## 42



Doktor Pudwel miał starannie zbadać serce denatki, pobrać wycinki, a istotny fragment przekazać do analizy. Laboratorium wciąż nie zwróciło wyników badań poprzednich ofiar. Procesy były długotrwałe, potrzeba było szczegółowych odczynników oraz wielu prób.

– Większość badaczy przypuszcza, że Kuba Rozpruwacz wyrywał serce, aby zobrazować cierpienie oraz emocje ofiar – perorował Mond. – Tymczasem nakłucie serca bezpośrednio zwiększa ból i przyprawia o najczystsze katusze. Uszkodzony mięsień zachowuje się tak, jakby rażono go prądem. Obkurcza się, by zaraz rozluźnić i tak raz po raz. Poza krwotokiem powoduje to ogromny ból. Zna go każdy, komu zaaplikowano nieudolny zastrzyk domięśniowy, tyle że w przypadku serca można mówić o skali makro.

– Sądzisz, że właśnie tego chciał naśladowca? Zamiast wyrywać serce, wbija się w nie, by zwiększyć ból?

– Albo krwawienie. Temat porfiryków został poruszony nie bez przyczyny...

Mond zabębnił palcami w kierownicę. Przejechali właśnie Wisłę i ulicą Dietla kierowali się ku Plantom. Rosnące na poboczu drzewa były już niemal całkowicie pozbawione liści. Aż dziw brał, że zewnętrzny termometr wskazywał piętnaście i pół stopnia Celsjusza, a niebo było niemal całkowicie bezchmurne. Nie trzeba było specjalnej wyobraźni,

aby pomyśleć, że to wyjątkowo uroczy początek maja, a nie środek jesieni.

– Wszystko będzie wiadome, gdy otrzymamy wyniki badań – ciągnął Mond. Mówił cicho, jakby zdawał relacje sam sobie.

– Wtedy gdy dowiemy się, co wbito w serce?

– Raczej czy coś do niego wstrzyknięto... Czy coś wypompowano.

– A jednak ta krew wciąż cię frapuje? – Szmit była blada, co podwójnie uwypuklały jej czerwony beret i róż na policzkach. Mimo to starała się dowcipkować. – Zawsze twierdziłam, że wampiryzm musi cię kręcić. Te twoje surduty wyciągnięte jak z trumny Chopina, dziwne krawaty, nawet kapelusz... Choć zamieniłabym go na cylinder. Do tego...

Allegra umilkła. Na głównym wyświetlaczu auta pojawił się komunikat informujący, że „Berg nawiązuje połączenie”. Po chwili odezwał się dzwonek telefonu Monda. Honoriusz się skrzywił i mocniej zabębnił o kierownicę. Mimo to po chwili odebrał.

– Kazał pan Pudwelowi ściągnąć mnie do swojej pieczary – zawyrokował stanowczo. – Po raz kolejny wysługuje się pan niewinnymi lekarzami. Nie ma pan sumienia.

– Co takiego?

Berg być może rzeczywiście został oskarżony bezpodstawnie, gdyż zaskoczenie w jego głosie brzmiało całkowicie autentycznie. Mimo zawodowego doświadczenia nie potrafiłby go odegrać tak dobrze. Właściwie nie potrafiłby go odegrać w żaden sposób. Potwierdzały to również fakt, że ani chwili nie rozводził się nad sugestią Honoriusza.

– Ustaliłem tożsamość dzisiejszej ofiary. To Anita Kornacka, trzydziestosiedmiolatka, której przyjaciółka twierdzi, że wczoraj umówiła się na randkę. Żadnych narzeczonych, żadnego męża. – Ostatnie zdanie komisarz wypowiedział przyciszonym, poufnym tonem.

– Rozumiesz, co mam na myśli?

– Chyba nie.

– Randka w tym wieku?

– Ludzie mogą randkować, nawet stojąc nad grobem – sentencjonalnie bąknął Mond, po czym zerknął na Allegrę. Ta zdawała się lepiej

odczytywać tok rozumowania komisarza.

– To zapewne nie pierwsza randka wspomniana przez przyjaciółkę? – zagadnęła.

– Tak, właśnie tak! Jestem na głośnomówiącym? Miło cię słyszeć, Felicjo, Allegro, czy jak tam wolisz.

– Chodzi o randki internetowe? – dopytała Szmit.

– Jest pani genialna! Czasem zbyt wiele przypisujemy naszemu Mortaliście! Miód na moje uszy.

– Raczej chicha na mój żołądek.

– Co, proszę?

Szmit potrząsnęła głową. Zerknęła na Monda, który wydawał się autentycznie zagubiony.

– Rzecz w tym, że niektóre aplikacje w tym aparacie, który zastąpił znaki dymne – zaczęła mu pokrętnie wyjaśniać – służą do umawiania spotkań współczesnych prostytutek. Albo kobiet, którym płaci się w wirtualnej walucie, ubraniami, luksusowymi produktami i tak dalej...

Berg głośno gwizdnął.

– Ta poprzednia kobieta była zarejestrowana w tej samej aplikacji! – krzyknął. – Rozumiecie? Mamy do czynienia z naśladowczyniami ofiar Kuby Rozpruwacza! Chciałbyś porozmawiać z ich rodzinami albo bliskimi, Mortalisto?

Mond od kilkudziesięciu sekund nie odezwał się ani słowem. Zacisnął usta i zdawał się coś kalkulować. Nagle pokręcił głową, po czym zwolnił.

– Nie – wycedził. – Mam dość rozmów z martwymi, by rozmawiać z żywymi.

Jednym klawiszem zakończył połączenie, a następnie odwrócił się do Szmit:

– Odwiozę cię do domu i wrócę do hotelu. Muszę zostać sam. I błagam, nie protestuj.





Mond ledwie się trzymał na nogach. Ból całkowicie go sparaliżował i gdy wchodził po schodach hotelu na piętro, musiał uważać, by nie upaść. Zapewne wyglądał, jakby był pijany. Ciężko opierając się o balustradę, wreszcie wdrapał się na górę. Chwiejnym krokiem pomaszerował do pokoju. Zamknął za sobą drzwi, po czym, zataczając się, dowlóknął się do łóżka. Rzucił się na nie, jakby nie spał od wielu dni. Ból nie ustępował najgorszym torturom. Miał jedynie nadzieję, że Allegra niczego nie dostrzegła, gdy byli jeszcze w aucie. Odwiózł ją, a następnie natychmiast skierował się w stronę rynku. Robił wszystko, by tylko nie spowodować wypadku.

Teraz obrócił się i, ciężko dysząc, zsunął się z łóżka. Na czworaka dowlóknął się do okna. Wpadające z zewnątrz światło wżynało się w najgłębsze zakamarki jego mózgu. Sprawiało, że bolały go nie tylko mięśnie, ale nawet paznokcie i włosy. Szarpnął zasłony tak, by się pokryły.

Sapiąc, dowlóknął się do krzesła. Musiał użyć całej siły woli, aby się podnieść i na nim usiąść. Z przymkniętymi oczami pochylił się nad szpinetem niczym pijany w sztok pianista podrzędnego baru. Jego palce zaczęły powoli smagać klawisze. Ledwie je muskał, pobudzając możliwie najcichszy dźwięk. W przypadku szpinetu operowanie siłą nacisku nie miało takiego wpływu jak w pianinie, ale efekt był i tak zauważalny. Harmonia szemrzących dźwięków nieco koła ból.

Sztywne palce powoli się rozluźniały, a po kilku minutach gry Honoriusz mógł wreszcie wyprostować plecy. Grał coraz szybciej i coraz weselsze melodie. Nie robił przerw, kolejne utwory wypływały z poprzednich, jakby stanowiły ich immanentną całość. Każdy, kto by go teraz usłyszał, musiałby być pod wrażeniem. Jednak Mond w ogóle o tym nie myślał. Grał wyłącznie dla siebie i tylko w takich chwilach potrafił robić to tak doskonale. Mimo wrodzonego braku tremy oraz introwertyzmu publika zawsze go drażniła, sprawiając, że niepotrzebnie się spinał. Wtedy gdy był sam, mógł muzyką nie tylko ukoić ból, ale

również wyświetlić niczym z projektora swoją duszę. Choć jednocześnie zaklinałby się, że dusza to jedynie wytwór pracy milionów włókien nerwowych w mózgu.

– Dość... – wyszeptał i nagle przerwał grę.

Ból był słabszy, ale wciąż sprawiał, że jego wzrok kierował się ku zarysowi szafki z opium. Mógłby je skruszyć i o wszystkim zapomnieć. Choćby na chwilę...

Zacisnął zęby i zsunął się z krzesła. Podążając krok za krokiem, skierował się ku tajemnej skrytce. Wystarczyło tak niewiele, by świat oraz jego problemy stały się nieistotne. Jednocześnie jakaś racjonalna część jego umysłu broniła go przed pochopnym sięgnięciem po narkotyki. Hamowała go i odciągała uwagę. Gdzieś w podświadomości zaległa się pewna myśl. Mond próbował ją uchwycić, ale nie mógł się zdobyć na dość koncentracji.

Dokuśtykał do szafki nocnej i zapalił lampkę. Uniósł dłoń, osłaniając się od światła, lecz jednocześnie, jakby na przekór samemu sobie, wbił wzrok prosto w żarówkę. Mając nadal kolorowe mroczki przed oczami, sięgnął po odłożoną na wezglowie łóżka książkę. Niedawna myśl klarowała się coraz mocniej. Fale bólu nie mogły już przeszkodzić, by ją uchwycił. Przerzucał kolejne strony, aż nagle uważnie wczytał się w jeden z opisów. Przeanalizował go dwukrotnie jak dziecko starające się przyswoić szkolny materiał. Nie, nie mógł się pomylić. Wszystko się zgadzało.

Czym prędzej, nie bacząc na ból, zerwał się do rzuconej na podłogę marynarki. W bocznej kieszeni odnalazł komórkę i natychmiast wybrał numer Berga. Musiał mu coś powiedzieć. Być może nie było ani chwili do stracenia. Musiał mieć jednak nadzieję, że jest chociaż ta chwila.



– A jednak nie potrafisz żyć bez śmierci i śledztw, Mortalisto.

Mond odchrząknął. Berg wydawał się wyjątkowo zaspany, choć jednocześnie w jego głosie było wyczuwalne zainteresowanie. Honoriusz zerknął na cyferblat longinesa. Stylizowany na lata trzydzieste zegarek wskazywał kwadrans po dwudziestej trzeciej. Mond nie przypuszczał, że w półletargu spędził prawie sześć godzin. Przez zaciągnięte zasłony nawet nie odnotował, kiedy zapadła całkowita noc.

– To ofiara apokryficzna – stwierdził, rozmasowując palcami lewej ręki skroń. – Całkowicie spoza schematu...

– Co takiego?

– Pamięta pan o ofiarach kanonicznych? Było ich pięć. Poza nimi wymienia się ofiary domniemane oraz apokryficzne.

– Jak z dodatkami Biblii? – Berg parsknął. – Ewangelia według Judasza, według Marii Magdaleny i tak dalej?

– Coś takiego. Te ofiary mają wiele cech wspólnych z ofiarami kanonicznymi, ale badacze doszukiwali się istotnych różnic.

Mówiąc to, Mond założył marynarkę oraz staroświecki płaszcz, który Allegra z przekąsem nazywała surdudem. Starając się trzymać prosto, skierował się do drzwi i wypadł na klatkę schodową. Z całych sił skoncentrował się, by bez pomocy balustrady zbiec na dół. Kiedy mijał portiernię, jego słowa o ofiarach kanonicznych wzbudziły wyraźne zainteresowanie odźwiernego. Ubrany w unowocześnioną liberię męczyzna zmarszczył czoło, ale momentalnie przybrał profesjonalną postawę. Pchnął drzwi, przepuszczając w nich Monda.

– W takim razie nasz naśladowca ma w dupie różnice – sarknął Berg.

– Zresztą biorąc pod uwagę, że szatkuje kobiety na kawałki, nie dziwię się, że niuanse go nie wzruszają.

– A ja owszem.

– He?

Mond wyciągnął z kieszeni kluczyki do auta i skierował się w stronę oddalonego o kilkaset metrów parkingu. By do niego dotrzeć, musiał

przejsć Planty, minąć Barbakan i po drugiej stronie ulicy Basztowej przemknąć wzdłuż eklektycznej fasady Akademii Sztuk Pięknych. Choć przechodził tędy dziesiątki razy tygodniowo, niezmiennie coś go urzekało w tym solidnym, a jednocześnie eleganckim gmachu. Nocą wydawał się jeszcze bardziej dostojny i bajkowy niż w ciągu dnia. Nie mógł tego zmienić ból ani szalenie, lepiej bądź gorzej naśladowający Kubę Rozpruwacza.

– Do tej pory ten człowiek robił wszystko, by trzymać się schematu – odezwał się, gdy Berg dwukrotnie wymamrotał nerwowe „halo”. – Czas, miejsce, sposób dokonania zabójstw, ułożenie zwłok, wiek kobiet... Zadbaj o naprawdę wiele szczegółów.

– A teraz mu się znudziło?

– Nie.

– Można jaśniej i mniej kategorycznie, Mortalisto?

Gwałtowne trąbienie wyrwało Monda z zamyślenia. Przebiegając przez ulicę, nie zauważył pędzącego samochodu. Kierowca musiał wykonać gwałtowny manewr, by go wyminąć.

– Co tam się dzieje?

– Nic takiego, komisarzu. – Honoriusz machnął do parkingowego stróża, który wychylił się z budki. – W katalogach jest odnotowana ofiara przypisywana Rozpruwaczowi, która została zgładzona przez dekapitację. Co więcej, zadarto jej suknię, a organy płciowe zostały dosłownie pocięte na kawałki. Stało się to na północy Whitechapel, co mogłoby odpowiadać naszej orientacji Starego Podgórza. Choć akurat do tego naśladowca przykłada mniejszą wagę...

– Jasny gwint.

– To jednak nie wszystko. Cytując klasyka, martwym się nigdzie nie śpieszy, ale żywym i owszem.

– Nic z tego nie rozumiem...

Mond otworzył auto i pośpiesznie uruchomił silnik.

– Musi mi pan podać pewien adres. Niebawem będziemy mieli kolejną ofiarę. Być może uda się ją jeszcze uratować.



Mężczyzna, który odnalazł zwłoki ostatniej ofiary, nazywał się Hubert Glik i mieszkał raptem kilkadziesiąt metrów od miejsca, gdzie jeden z jego psów natrafił na części ciała. Berg niechętnie wskazał Mortaliście jego adres, gdyż ten, podobnie jak dane wszelkich świadków, stanowił najskrzętniej skrywaną tajemnicę śledztwa. Mimo to przytoczona przez Monda historia zmobilizowała komisarza do działania.

Bez znaczenia było, czy wierzy się w zbiegi okoliczności, czy nazywa się je przypadkami bądź koincydencją czasową zdarzeń. Nomenklatura jak zwykle powodowała jedynie zamieszanie. Zbieżności bez wątpienia było co niemiara. Nie chodziło jedynie o sposób napadnięcia odnalezionej kobiety, zadania jej obrażeń oraz ułożenia ciała. Zgadzał się również odstęp od poprzedniego zabójstwa, które swoją drogą mieściło się przecież w kanonie. Zgadzał się także dobór fizyczny ofiary – jej wiek, orientacyjny wzrost oraz kolor włosów.

Wskazówki co do ewentualnych przyszłych zdarzeń Mond znalazł w wycinkach akt prowadzonych przez londyńską policję. Skrzętne analizy odnotowywały nie tylko podstawowe zabójstwa, ale również wszelkie inne, które miały miejsce na terenie Whitechapel oraz ścisłych okolic. Co więcej, metodologia pracy ówczesnych śledczych wymagała mnóstwo wysiłku, ale przekuła się również w obfitą dokumentację. Liczący niemal setkę osób zespół operacyjny zbadał blisko dwieście morderstw i przesłuchał prawie trzy tysiące osób. W trakcie dochodzenia przeszukano mnóstwo domów oraz zatrzymano licznych podejrzanych. Część z nich zwolniono po kilku godzinach, część po kilku dniach. Należało pamiętać, że za odnalezienie zabójcy wyznaczono nagrodę, co spowodowało pewien chaos. Rządni pieniędzy naciągacze wymyślali coraz to nowe teorie i zalewali Scotland Yard domysłami oraz wcale

nieanonimowymi donosami. Sytuację komplikowały obywatelskie patrole i próby dokonania samosądów na podejrzanych lub po prostu „nietutejszych” osobach. Nic dziwnego, skoro na społeczeństwo padł blady strach. Choć morderstwa w Londynie drugiej połowy dziewiętnastego stulecia nie były niczym nadzwyczajnym, popularność i dostępność prasy brukowej zrobiły swoje. Gdy pojawiły się plotki o wampiryzmie sprawcy oraz usuwanych organach, do paniki nie trzeba było już wiele więcej. Tymczasem władze, jak to władze, obawiały się zamieszek oraz aktów obywatelskiego nieposłuszeństwa.

To właśnie dlatego Mond przypuszczał, że część mordów została kategorycznie zaklasyfikowana jako niepopelnione przez Kubę Rozpruwacza. Policja mogła nie być w stanie pochwycić zabójcy trzech czy czterech osób, ale nie masowego mordercy mającego na sumieniu sto lub więcej ofiar. Na szczęście udało mu się wyłowić owo morderstwo apokryficzne, mające tak wiele cech wspólnych z tym popełnionym poprzedniej nocy. Co więcej, sprawca pierwotnego mordu, jakby w zemście, zaatakował również znalazcę ciała ofiary. Stało się to niemal równą dobę od momentu, gdy pozbawił życia kobietę.

Być może był to jedynie domysł, ale zdaniem Monda należało upewnić się, czy u Huberta Glika i jego zwierzyńca wszystko jest w porządku. Nie wiedział, że w trakcie gdy jechał pod wskazany adres, komisarz Berg raz po raz usiłował dodzwonić się na komórkę mężczyzny. Ten jednak nie odbierał.

Mond zerknął na nawigację i zatrzymał auto. Komisarza nie było jeszcze na miejscu, ale wbrew jego rozkazom postanowił działać sam. Pośpiesznym krokiem ruszył ku kamienicy, gdzie znajdowało się mieszkanie Glika. Już z daleka dobiegł go niesiony nocnym echem rumor. Chwilę po nim w powietrze wzbił się rozpaczliwy skowyt psa.



W momencie, gdy Mond skierował się w stronę wejścia do kamienicy, na poboczu z piskiem opon zatrzymał się nieoznakowany radiowóz. Błysnęły stroboskopy, lecz syrena była wyłączona. Ze środka wypadł komisarz Berg i w pierwszej chwili instynktownie rzucił się ku Mondowi. Gdy go rozpoznał, jego twarz wykrzywił grymas zmieszania. Wymownym gestem zapytał, co się stało, ale nie czekając na odpowiedź, rzucił się do pozbawionej jednego skrzydła bramy.

Wtedy ponownie rozległ się skowyt i trzask.

– Stój! – Komisarz zatrzymał się w pół kroku i sięgnął do pasa. Wyciągnął z kabury pistolet, po czym natychmiast go odblokował. – Powinniśmy zaczekać na posiłki – syknął.

– Zaczekać? Teraz? – Mond rezolutnie pokręcił głową. – To niemożliwe.

– To rozkaz.

– Pan wybaczy, ale mam go w poważaniu.

Honoriusz był gotów wpaść do kamienicy, lecz Berg stanowczo zagroził mu drogę. Przytknął do ucha telefon, po czym rzucił kilka słów, żądając wsparcia.

– Zaczekaj... – nakazał, po czym z pistoletem w wyciągniętej dłoni skierował się w mrok. – Nie utrudniaj tego.

Mond wstrzymał powietrze. Zrobił kilka kroków, podążając za Bergiem, gdy zatrzymali się, starając przyzwyczaić oczy do całkowitej ciemności. Wokół unosił się zapach ekskrementów oraz wilgoci.

– Zaczekaj, to nam pomoże...

Najwyraźniej Berg nie zamierzał się teraz spierać z Honoriuszem. Wyciągnął zza paska latarkę i, nie rozłączając się, wsunął telefon do kieszeni koszuli. Zostawił go w trybie głośnomówiącym. Nie dbał o to, czy ktoś zorientuje się, gdzie są. Z latarką oraz pistoletem posuwał się po drewnianej klatce schodowej. Deski uginały się, przeraźliwie jęcząc pod ich stopami.

Nagle światło latarki omiotło jakiś kształt. Było nim zwinięte, leżące na boku ciało. Dopiero po chwili, pod nieco zmienionym kątem, ukazała

się zakrwawiona twarz mężczyzny, którego wieku nie sposób było teraz ocenić. Wyciekająca z jego nosa i ust krew zdawała się mieć czarny, smolisty kolor.

– Szlag!

Berg z bronią gotową do strzału rzucił się ku leżącemu. Jednocześnie ryczał, wzywając karetkę oraz pośpieszając wsparcie. W tym samym momencie Mond usłyszał dziwny dźwięk dobiegający z dołu. Trzask, podobny do tych słyszanych wcześniej, rozlegał się gdzieś na podwórzu. Berg zagłuszył go własnym wrzaskiem i nawet nie zwrócił na niego uwagi. Nie zwrócił również uwagi na Monda, który czym prędzej popędził na dół. Zapominając o bólu, niczym najlepszy sprinter, wypadł na dwór i się rozejrzał. Obrócił się w stronę zionącego ciemnością wejścia do piwnic. Zrobił ku niemu kilka kroków i w tym samym momencie pusty dźwięk znów się powtórzył. W ledwie rozproszonym mroku przesunął się cień.

## 47



Na suchym, pokrytym pyłem bruku kroki uciekającego brzmiały niczym dudnienie. Niosły się echem i nikły gdzieś między pustostanami oraz chylącymi się ku upadkowi kamienicami. Pojedyncze latarnie rzucały niewiele światła, a część z ich żarówek była zbita. Cienie gięły się i falowały. Na odgłos krzyków oraz nieodległych syren policyjnych w niektórych oknach zapalały się lampy i pojawiali się ludzie. Mimo to ulice były całkowicie puste. Uciekająca przed Honoriuszem postać nie mogła zostać przez nikogo zatrzymana. Nie było też szansy, by z naprzeciwka nadjechał jakikolwiek radiowóz lub pojawił się pieszy patrol.

Wszystko wskazywało, że uciekający doskonale orientuje się w terenie. Początkowo pędził główną ulicą, wzdłuż fasad kamienic. Gnając przed



siebie, wyrzucił dwa kubły ze śmieciami, które wpadły Honoriuszowi prosto pod nogi. Chwilę później, gdy wydawało się, że Mond nadrabia odległość, cień skręcił w jedną z bram. Potencjalny ślepy zaułek sprawił, że Honoriusz nabrał czujności i nieco zwolnił kroku. To mogła być pułapka. Jednak po chwili, kiedy wpadł na podwórze, okazało się, że jest ono otwarte na kwartał ciągnący się za rzędem kamienic.

– Szlag... – syknął, przystanąwszy przy niedziałającej, zabytkowej studni.

Cofnął się w mrok i nasunął niżej rondo fedory, która w trakcie pościgu niebezpiecznie zsunęła mu się na tył głowy. Pochylił się, wstrzymując oddech. Serce łomotało mu z ogromną siłą. Nasłuchiwał, bacznie rozglądając się po okolicy.

Cień rozplątał się lub ukrył gdzieś na klatce schodowej kamienicy. Jednak Mond był pewny, że nie słyszał choćby najcichszego skrzypnięcia drzwi. Nagle wyprostował się i ostentacyjnie ruszył ku głównej bramie. Gdy znalazł się u wylotu na ulicę, na podwórzu rozległo się ujadanie psa. Honoriusz był na to przygotowany. Sądził, że jeśli uciekający skrył się gdzieś tutaj, musiał go obserwować i właśnie teraz postanowił kontynuować ucieczkę.

Momentalnie zawrócił w głąb podwórza i wtedy ponownie dostrzegł umykający cień. Był ledwie kilkanaście metrów od niego. Mond natychmiast rzucił się w pogoń, nie bacząc na wszechobecny ból ani dudnienie krwi w skroniach. Pokonali sprintem ponad sto metrów i nagle wpadli między drzewa. Znajdowali się w parku Bednarskiego, nieopodal części zaadaptowanej niegdyś ze średniowiecznego kamieniołomu. Gdyby uciekający skierował się teraz ścieżką w lewo, mógłby zaszyć się wśród roślinności i nie byłoby szansy go odnaleźć. Na szczęście dla Honoriusza, łoskot kroków dobiegł od strony dróżki prowadzącej ku szerokim schodom.

Uciekający nie zwalniał. Honoriusz również nie pozwalał swoim mięśniom odpocząć i w szaleńczym tempie pokonał kilkadziesiąt stopni, by przeciąć ulicę Zamoyskiego. Na pustym podgórskim kwartale udało mu się zmniejszyć nieco dystans. Uciekający był dziesięć, może

dwanaście metrów przed nim. Gnał przed siebie co sił w nogach, lecz zdawało się, że nie ma prawa uciec. Tym bardziej że Kalwaryjską sunął tramwaj, zmuszając go do zatrzymania się lub skrętu.

Uciekający jednak nie zwolnił ani nie zmienił kierunku biegu. Zdesperowany puścił się na przełaj przez ulicę i rzucił dosłownie przed nos pojazdu szynowego. Tylko ułamek sekundy dzielił go od śmiertelnego potrącenia. Mond widział zbyt wiele ofiar takich spotkań. Obdartych z ubrań, wkręconych w koła, przerobionych dosłownie na mielonkę.

Zamarł w bezruchu. Pęd powietrza wzniesiony przez tramwaj rozwiął połę jego płaszcza, ale Honoriusz zastygł w miejscu. Czubki jego butów niemal dotykały szyny. Wiedział, że tajemnicza postać tym razem mu umknęła. Włożył dłonie do kieszeni i powoli nabrał powietrza. Gdy tramwaj przejechał, Mond z kamienną twarzą rozejrzał się po okolicy. Wtedy rozległ się trzask.

Zaledwie kilka metrów za nim.

## 48



Allegra odłożyła modlitewnik i upiła łyk chichy. Ta mała książeczka towarzyszyła jej od dzieciństwa. Dostała ją na komunię, gdy było już wiadomo, że jej rodzice nie będą dłużej żyć pod jednym dachem. To ona miała stać się obiektem handlu wymiennego, a przez pewien czas również ofiarą masowego, wielokrotnego przekupstwa. Jej matka zawsze była religijna, lecz wtedy stała się najgorszą purytanką, gorliwszą w wykonywaniu nakazów wiary od Savonaroli i Giordana Bruna w jednym. Dla odmiany ojciec interesował się ezoteryką oraz religiami Dalekiego Wschodu. Sprzyjało temu jego wykształcenie. Był profesorem orientalistyki, który przygodę naukową zaczął przed laty na lubelskim KUL-u, gdzie swoją drogą poznał jej matkę.

Ta mieszanka wybuchowa funkcjonowała zaskakująco dobrze przez niemal dekadę, gdy głębokie studia oraz długotrwałe rozmyślenia sprawiły, że profesor Szmit uznał jednożeństwo za niezgodne z prawdziwym duchem człowieczeństwa. Iskra boskości, wzorem religii politeistycznych, niejako zmuszała do swobodnego traktowania związku. Przynajmniej tak starała się to sobie po latach usprawiedliwiać Felicja. Nie miała do ojca żadnych pretensji. Przekupstwa, choć czasem ostentacyjne, płynęły z serca mężczyzny, który niczego jej nie odmawiał. Zabierał ją na egzotyczne wakacje i całymi godzinami opowiadał o niemal nieznanym systemach religijnych. To, co interesowało go czysto naukowo, padło ziarnem w żyznej duszy ówczesnej Felicji. Tak określił to jeden z jej przelotnych partnerów, ale rzeczywiście te słowa oddawały stan rzeczy.

Kolejne lata miały jeszcze bardziej ugruntować jej zagmatwane życie duchowe. Abstrahując od tego, że zawsze doświadczała rozmaitych przeczuć oraz „widzeń”, że swego czasu zasłużyła nawet na miano Spirytystki, gdy nastąpił krach, nie oddaliła się od wiary. Wręcz przeciwnie, by przeżyć i wyrwać się z depresji, czerpała całymi garściami z wierzeń Papuasów, Hindusów czy chrześcijan. W tym szalonym miszmaszu dostrzegała jedność oraz prawdziwą boskość. Talizmany i fetysze dziesiątek wierzeń nie budziły w niej sprzeczności. Przykazanie „Nie będziesz miał cudzych bogów przede Mną” było do pogodzenia z islamskim wyznaniem wiary. W końcu nie było religii „przed” i „za”. Nie było też takich bóstw. Każde z nich, tkwiąc w duszach ludzkości od tysięcy lat, miało taką samą moc. Należało jedynie to zaakceptować i pogodzić się z faktem, że ludzkość to wielka wspólnota, a absurdem jest myślenie, że nad Polinezją czuwają inne istoty niż nad Małopolską. Jednocześnie Allegra nie dopuszczała do głosu tezy podnoszonej przez Monda, że w jednym i drugim przypadku nad światem czuwa jedynie fizyka, a ewentualne bóstwa mają go w serdecznym poważaniu.

Szmit dopiła chichę i sięgnęła po pilota. Włączyła telewizor, po czym wygodnie rozparła się w czerwonym fotelu. Przez kilka minut

bezmyślnie przełączała kanały, aż wreszcie przemknął jej program informacyjny. Podgłośniła i odruchowo pochyliła się w stronę telewizora.

– Boże Śnięty!

Na ekranie przewijał się pasek o prawdopodobnym kolejnym morderstwie dokonanym przez Rozpruwacza z Podgórza. Informowano, że policja odmawia komentarza, choć potwierdza, że toczą się pewne czynności śledcze.

Allegra natychmiast odstawiła szklanekę i schyliła się po odłożoną na szklany stolik komórkę. Pośpiesznie wybrała numer Monda.

## 49



Mond nie zamierzał zwodzić Szmit co do przyczyny swojej zadyszki. Tym bardziej że jego przyjaciółka telefonowała dokładnie kilka sekund po tym, gdy uświadomił sobie, że tajemnicze trzaski rozbrzmiewające za jego plecami wywołał kot. Zwierzę zostało wyrwane ze snu przez ogłuszający klakson tramwaju i czym prędzej uciekało po metalowym daszku pobliskiego budynku.

Kilka zdań wystarczyło, by nakreślić zarys sytuacji. Allegra nie drażyła szczegółów, po czym zrelacjonowała Honoriuszowi to, co podano w dzienniku. Pościg Monda trwał dość długo, by w starej kamienicy zdążyli pojawić się dziennikarze, wśród których prym wiódł oczywiście Maurycy Bonig. Zresztą, wiele wskazywało, że to on mógł powiadomić kolegów reporterów o najnowszych wydarzeniach. Przynajmniej takie wrażenie odniosła Szmit.

– Ten człowiek żyje, ma jedynie powierzchowne obrażenia, ale cudem ocalał...

Mond głęboko nabrał powietrza. Szybkim krokiem maszerował z powrotem w stronę miejsca, gdzie rozpoczął pościg.

– Żyje? – zapytał, nie dowierzając. – Wobec tego udało się spłoszyć sprawcę dosłownie w ostatniej chwili.

– Pewnie tak. A pościg był głupotą.

– Byłem o krok za nim. Gdyby nie ten cholerny tramwaj...

– Mogło ci się coś stać. To morderca! Od pościgów jest policja, a ty...

Allegra przerwała potok słów, zapewne uświadamiając sobie, że nie ma prawa niańczyć Monda. Poza tym dotychczas wszelkie oznaki troski sprawiały, że jedynie się od niej oddalał. Reagował na nie wręcz alergicznie.

– Przepraszam – wyszeptała. – Po prostu się martwię i jestem oszołomiona. Jesteś jak... To bohaterstwo, ale...

Honoriusz mlasnął.

– Przestań. Jeśli masz cokolwiek słodzić, wrzucić kostkę cukru do chichy.

– Co takiego?

– Właśnie ją piłaś, prawda? Zawsze wysusza ci śluzówki i obniża głos o pół tonu.

Allegra parsknęła.

– Jesteś niepoprawny. W takim momencie analizujesz tembr mojego głosu i to, czy popijam chichę?

– Analizuję wszystko. Zawsze. – Honoriusz westchnął i spojrzał w głąb ulicy rozświetlonej stroboskopami radiowozów. – A efektem tych analiz jest wniosek, że muszę kończyć i przeżyć rozmowę z Bergiem. Lepiej zdam mu raport teraz niż jutro na komisariacie... A ty połóż się lepiej spać.

– Ale...

Mond nie zamierzał słuchać protestów Szmit i się rozłączył. Chwilę później w kilku słowach zrelacjonował efekty swojego pościgu Bergowi. Komisarz natychmiast wysłał paru ludzi szlakiem uciekiniera, ale nie miał nadziei na powodzenie akcji. W ogóle zdawał się przybity i zmieszany. Po krótkim rozpytaniu Honoriusza o sedno jego rozumowania pozwolił mu odejść. Sam, ponury, najwyraźniej szykował się do zarwanej nocy.

Tymczasem Mond powrócił do hotelu i wziął długi, ożywczy prysznic. Czuł się znacznie lepiej niż przed dwiema godzinami, gdy wybiegł z pokoju. Ból jedynie ćmił w głębi jego ciała, ale nie rozlewał się po całej jego powierzchni. Mimo to nie miał ochoty ani na grę na szpinecie, ani na lekturę. Otulony szlafrokiem, zerknął na szafkę, gdzie było schowane opium. Przez chwilę się w nią wpatrywał, wreszcie sięgnął po odłożone na blat opakowanie cygaretek. Nabił jedną z nich srebrną lufkę, po czym wyszedł na balkon. Noc była cicha i całkowicie bezwietrzna. Nawet od strony rynku nie niosły się żadne dźwięki.

Honoriusz spojrział na sygnaturkę kościoła pijarów. To, jak działał naśladowca, zdawało się czymś całkowicie niewiarygodnym. A przecież Mond wierzył w fizykę oraz w biologię, ale w nic nadprzyrodzonego. A już na pewno nie w reinkarnację.

## DZIEŃ NASTĘPNY

50



Istotnym źródłem dochodu firmy sprzątającej Szmit były regularne zlecenia pochodzące od stałych klientów. Najlepszym ich przykładem był Boris van Hayden, holenderski inwestor, który zakupił jedną z kamienic w pobliżu krakowskiego rynku i zaadaptował ją na hotel. Szkopuł tkwił w tym, że mężczyzna cierpiał na omamy, zwidy lub chorobę wywołującą pokrewne doznania. Od momentu, gdy miał otrzymać wszelkie pozwolenia na otwarcie inwestycji, utrzymywał, że w jednym z pokoiów załęgło się rozmaite robactwo. Czasem twierdził, że są to chrabąszcze, innym razem, że pchły lub pluskwy. W momentach natchnienia widywał szczury, myszy, a nawet łasice bądź kuny. Szmit i Mond stawiali się we wskazanym pokoju regularnie. Regularnie rozstawiali trutki, rozpylali środki owadobójcze, używali chemii, a nawet specjalnych pułapek elektrycznych. Zawsze bezcelowo, choć van Hayden był bardzo zadowolony z efektów ich pracy.

Z powodu skrupułów Allegra kilkakrotnie tłumaczyła Holendrowi, że jego hotel jest czysty jak sumienie niemowlecia, ten się z nią zgadzał, lecz po kilku dniach ponownie prosił o sprząkanie. Tym razem nękała go rzekoma inwazja termitów, które może i widział w trakcie swoich afrykańskich safari, ale z pewnością nie w Krakowie. Mimo to był całkowicie przekonany o konieczności podjęcia walki z najeżdżcą.

– Masy, całe tłumy termitów! – krzyczał, wchodząc po schodach za Mondem i Szmit. Często używał zabawnych fraz, ale rzadko kiedy była okazja wyprowadzić go z błędu. Jednak tym razem Mond przystanął przed wejściem do trefnego pokoju.

- Mrowie, panie van Hayden. My w Polsce mówimy o mrowiu robaków.
- Na przykład o mrowiu mrówek? – zdziwił się inwestor.
- Z pewnością lepsze mrowie niż tłum.
- Lepsze mrowie niż tłum? – Holender zmarszczył wysokie czoło i bezradnie rozłożył ręce. – Lepsze, lepsze. Ale ja nie rozumiem! Ja nic nie chcę tłumić. Ja chcę niszczyć, zabijać, mordować te okropne insekty!
- Od tego tu jesteśmy.
- Cali na biało – wtrąciła Szmit. Położyła na podłodze walizkę i wyciągnęła z niej strój ochronny. – Właśnie tak.
- Bo morderstwo mrowia mrówek nie budzi wyrzutów sumienia, w przeciwieństwie do morderstwa tłumu.

Szpilka wbita przez Honoriusza w sumienie Allegry sprawiła, że ta się zaraz rozjuszyła.

- Czyńcie sobie Ziemię poddaną – zacytowała Biblię.
- Raczej zabijaj, aby żyć. Ale w przyszłym życiu możesz stać się mrówką lub termitem. Nie zapominaj o tym.
- Dokonuję wyboru, aby wzrastała czystość.
- Hitler też tak mówił.
- Nie porównuj mnie do...

Szmit zamilkła. Sprzeczka, choć dotyczyła wrażliwych tematów, została przez nich zainscenizowana. Zrobili to tylko po to, by van Hayden swoim zwyczajem nie zechciał im towarzyszyć przy pracy. Teraz, gdy skonsternowany inwestor, kręcąc głową, schodził na dół, uśmiechnęli się do siebie.

- Musiałeś wtrącić coś o reinkarnacji? – bąknęła Szmit.

Mond jedynie wzruszył ramionami. Otworzył pokój i wniósł do niego walizkę pełną środków dezynsekcyjnych. Zgodnie z życzeniem Holendra za każdym razem sprząтали pomieszczenie bardzo starannie. Skoro płacił, to bezwzględnie otrzymywał usługę.

Sprawnie, w ciągu kilku minut rozstawili rzeczy, przesunęli meble oraz po raz enty w ciągu miesiąca odkręcili listwy podłogowe. Tego wymagała procedura potencjalnej walki z termitami. Na szczęście posadzka była



ułożona z płytek, a nie parkietu lub paneli, które wymagałyby kompletnego demontażu.

– Co teraz? – zapytała Szmit.

– Przecież to ty tu rządysz. Rozsypujemy proszek i granulaty, a potem...

– Nie o to pytałam.

– Wiem. – Mond spojrzał na nią z całkowitą powagą. Nagle się wyprostował i rozsypał jakiś specyfik, jednocześnie przysłaniając nos chusteczką.

– Kiedyś się zatrujesz – przestrzegła go Szmit. Sama poprawiła maseczkę i cofnęła się o kilka kroków.

– Stężenie jest szkodliwe tylko przez kilka sekund. Wystarczy wstrzymać oddech.

Honoriusz oparł się o wnękę okienną i zerknął na zegarek. Po chwili złożył chusteczkę, po czym schował ją do kieszeni.

– Ten człowiek bezwzględnie wypełnia swój plan – oznajmił lodowatym tonem. – A zgodnie z nim niebawem będziemy mieć pełne ręce roboty. Zapewne już bardzo niedługo. Dlatego warto korzystać z przyjemnych chwil spędzonych na dezynsekcji hotelowych pokoi.

Mówiąc to, zgniótł obcasem maleńkiego owada, który pojawił się obok jego stopy.

## 51



– Pójdziemy do Bull Pubu? Masz ochotę na monstera albo chociaż jamesona?

Mond zamknął drzwi pick-upa Szmit, w którym upchnęli wszelkie narzędzia potrzebne do sprzątania. Dwie walizki, stroje ochronne, kuferek oraz specjalny pojemnik do przechowywania substancji niebezpiecznych zajmowały sporo miejsca, choć zazwyczaj

wykorzystywali tylko część z tych rzeczy. Do tego dochodziła niezliczona ilość ręczników, szmat, gaz oraz szczotek. Nietypowe zlecenia wymagały łomu oraz zestawu narzędzi budowlanych. Słowem, wielki pick-up Allegry bywał zapakowany po sam dach.

– Muszę się przespać. – Szmit stłumiła ziewnięcie i się przeciągnęła. Jednocześnie kątem oka łypała na Monda, jakby oczekując, że ten będzie ją namawiał. – Jestem potwornie zmęczona.

– Przespać w dzień? – Honoriusz z teatralnym zniesmaczeniem pokręcił głową. – A ponoć to ze mną coś jest nie tak. Spanie w trumnie i te sprawy...

– Biorąc pod uwagę, że w nocy uganiałeś się za mordercą, sen byłby wskazany.

– Sen różni się od śmierci tylko tym, że się z niego budzimy.

Szmit nie podłapała tego czarnego humoru.

– Musisz odpocząć... – Wyciągnęła dłoń ku twarzy Monda, ale w pół drogi, zmieszana, ją cofnęła. – Nie możesz tak funkcjonować.

– Zapewniam cię, że miliony studentów żyją bardziej rock'n'rollowo niż ja.

– Ale...

– I nie mają do czynienia z najbardziej pokręconą sprawą seryjnych zabójstw od lat. A to zdecydowanie pobudza.

Tym razem Allegra delikatnie się uśmiechnęła. Przeszła z nogi na nogę, przez chwilę obserwując turystów maszerujących w stronę rynku. Nieopodal nich z turkotem przejechała dorożka.

– Ponoć o tych mordach piszą już gazety na całym świecie – stwierdziła, ponownie spoglądając w bladą, surową twarz Monda. Było w nim coś z jej ojca i matki zarazem. Czy te skojarzenia podpowiadał jej Freud?

– Zapewne. Wczoraj widziałem notkę w „Corriere della Sera”. Jakaś wzmianka była również w „The Sun”.

Nagle Szmit odrzuciła pukiel włosów i poprawiła берет. Bransoletki na jej nadgarstku zabrzęczały metalicznie.

– No tak! A jeśli sprawcy chodzi właśnie o to? O splendor?

– O splendor? – Mond mlasnął. – O ile mi wiadomo, działa anonimowo, a do tego jako naśladowca.

Szmit niedbale machnęła dłonią. Jej oczy błyszczały z entuzjazmu wywołanego przez przełomową, jak sądziła, myśl.

– Kuba Rozpruwacz to też tylko pseudonim. Czasem nie trzeba tworzyć historii pod swoim imieniem, a przechodzi się do niej jako Voltaire, Twain lub Echnaton.

– Nigdy nie rozumiałem występowania pod pseudonimem. – Mond zdawał się całkowicie nieprzekonany. – O ile nie wynikało to z konieczności konspiracji.

– Coś takiego! Mówi to człowiek, który przez lata przedstawiał się jako Mortalista.

– To inna bajka.

– Bajka? Myślałam, że...

Allegra przerwała w pół zdania. Sięgnęła po schowany w kieszeni telefon i zerknęła na wyświetlacz. Gestem przeprosiła Honoriusza, po czym odebrała połączenie. Zamieniła z kimś kilka zdań, następnie przez chwilę słuchała, wreszcie się rozłączyła. Jej twarz pobladła, a na policzki wystąpiły rumieńce zupełnie odmienne od dotychczasowych. Pośpiesznie się przeżegnała, dotknęła jednego z amuletów, po czym, widząc karcące spojrzenie Monda, spokojnie uniosła dłonie.

– Ten człowiek, który odnalazł zwłoki ostatniej ofiary... – odezwała się drżącym głosem.

– Tak? Co z nim?

– Twierdzi, że napadła go upiorna postać w czymś przypominającym pelerynę. Chciała dobrać się do jego klatki piersiowej, kiedy została spłoszona... – Allegra fuknęła. – Matko Włoska! Postać w pelerynie atakująca serce?! Tego dla mnie stanowczo zbyt wiele.

Mond ponuro kiwnął głową. Przypomniawszy sobie cień umykający przed nim poprzedniej nocy. Myślał o nim wielokrotnie, usiłując wydobyć rozmaite szczegóły, lecz nie potrafił. Dzielili ich zbyt duża odległość, a poza tym zdawało się, że ta postać nie posiada żadnych rysów. Czynił to być może jej luźny strój, być może maska na twarzy, lecz gdy Berg

pytał go o szczegóły, nie potrafił zdradzić ani jednego. Był przez to na siebie wściekły. Spojrzał na Szmit i włożył dłonie do kieszeni.

– Ja też widziałem tę postać – stwierdził grobowym tonem. – Choć wolałbym tego nie przyznawać nawet przed samym sobą.

## 52



Allegra nie zdecydowała się pójść z Mondem do Bull Pubu. Honoriusz nie dostrzegł tęsknego spojrzenia, jakie rzuciła, gdy odchodził, ani ponurej rezygnacji na jej twarzy. Obserwowała go, dopóki nie zniknął za rogiem, w nadziei, że się odwróci i chociaż jej pomacha. Jednak Mond nie miał takich zwyczajów.

Sprężystym, szybkim krokiem skierował się prosto do knajpy. Nie miał ochoty samotnie jeść, więc gdy znalazł się w stylowym wnętrzu, pełnym drewna oraz sportowych akcesoriów, poprosił o sok ze świeżo wyciskanej pomarańczy.

Po chwili stanęła przed nim pełna szklanka przyozdobiona plasterkami owoców. Ginger Chuck, barman Bull Pubu, spojrzał na niego z zaciekawieniem. Dwudziestokilkulatek miał rude włosy i porcelanową, delikatną twarz usianą piegami. Przed rokiem przyjechał do Polski z Anglii w pogoni za miłością swojego życia, ale miłość ta szybko kazała mu się odczepić i trzymać łapy przy sobie. Remedium na złamane serce okazała się praca w pubie, gdzie Ginger Chuck przechodził intensywny kurs języka polskiego. Przynajmniej nie był już na tyle naiwny, by uwierzyć, że staropolskim zwyczajem do teściowej zwraca się per „Droga Jędzo” i że nie każde piwo to „szczyny”. Zresztą tego ostatniego słowa nie mógł za żadne skarby wymówić.

– Masz się jak zwykle źle – zagadnął Monda. Nauczony doświadczeniem, już go nie pytał o samopoczucie i nie oczekiwał

perlistego uśmiechu z radosnym „*Great, and you?*”. – A może masz się fatalnie?

– Nawet nie wiem, czy w ogóle się mam – filozoficznie odparł Mond.

– Nie rozumiem. Co się masz?

– Już pewien holenderski imigrus mnie dzisiaj nie rozumiał, więc dał sobie spokój z konwersacją.

Ginger Chuck przetarł szmatką kontuar i ponownie zerknął na Honoriusza.

– Mieć się masz – bąknął.

– Co takiego? – Honoriusz upił łyk soku. – Nie kumamy się.

– Mieć się masz.

– Się mam? O co ci chodzi?

Barman wybuchnął szczerym, radosnym śmiechem. Puścił oko do Monda i wzruszył ramionami.

– Widzisz, teraz obaj się nie rozumieliśmy, a mimo to zamieniliśmy kilka zdań – stwierdził zadowolony. – W Anglii to właśnie mówimy na to *small talk*.

Honoriusz również delikatnie się uśmiechnął i zmiął w kulkę leżącą obok papierową serwetkę. Cisnął nią w Ginger Chucka, który upewniwszy się, że w barze nie ma jeszcze innych klientów, odpowiedział mu salwą orzeszkami ziemnymi. Zaśmiewał się przy tym jak dziecko, które usiłuje rozbawić ojca. Nagle jednak się uspokoił i wyprężył. Sekundę później drzwi Bull Pubu się otworzyły, po czym do środka weszły dwie zgrabne blondynki.

– Coś na suche gardło – rzuciła jedna. – Z bąbelkami.

– Robi się. – Ginger Chuck zasalutował, po czym puścił do Monda oko.

– Suche powietrze, sucha jesień, suche gardła... W takim klimacie nawet Kuba Rozpruwacz musiał od was przenieść się do Londynu, żeby mieć lepsze powietrze do mordowania.

– A teraz wrócił – zripostował Mond.

– A teraz wrócił – zgodził się Ginger Chuck. Przez chwilę mieszał coś przy tylnym blacie, wreszcie odwrócił się i postawił przed przybyłymi

kobietami wysokie kieliszki z drinkami. – Bellini *made in England*.  
Lokalny specjał.

– Chyba specjał lokalu – poprawiła go jedna z blondynek.

Druga z zainteresowaniem przypatrywała się Honoriuszowi. Mond nie zwracał jednak na nią żadnej uwagi. Zamyślony bębnił palcami w drewniany blat, nagle sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej banknot. Następnie bez słowa, szybkim krokiem skierował się do wyjścia.

– On tak ma – usprawiedliwił go Ginger Chuck. – To szalony geniusz. Albo, jeśli wolicie, genialny szaleniec. O ile to robi jakąkolwiek różnicę.

## 53



– Mój drogi, wyrodny kuzynek!

– Kuzyneczko, nie nazywaj mnie drogim, bo wiem, że kłamiesz.

– To tylko eufemizm. I kurtuazja.

Mond, przygarbiony z powodu bólu, maszerował w stronę rynku. Chciał zebrać myśli i tylko przechadzka po świeżym powietrzu mogła mu w tym pomóc. Gdyby skierował się do hotelu, musiałby walczyć z pokusą sięgnięcia po opium. Im był od niego dalej, tym lepiej. Ale jednocześnie musiał mieć rezerwy zachowane na wypadek niespodziewanego pogorszenia samopoczucia. To była kwestia komfortu.

– Z góry proszę, abyś mnie nie analizowała – zastrzegł. – Żadnych wykazów zmian tembru głosu ani nic takiego.

– Nie chcesz usłyszeć, że jesteś ponadprzeciętnie pobudzony, a zapewne odczuwasz również wzmożony ból? Receptory nerwowe sprawiają, że tchawica...

– Przestań.

– Mam słuch absolutny, wiesz o tym. Jeszcze lepszy od twojego.

Mond westchnął. To była prawda. Jego kuzynka miała nie tylko słuch absolutny, ale również poziom IQ, który zadziwiłby każdego badacza,

którego by do siebie dopuściła. Jednak oczywiście nigdy do tego nie doszło, gdyż była jeszcze bardziej introwertyczna niż Honoriusz. Całe dnie spędzała w swojej samotni, ślęcząc przy komputerze i starając się trafić na trop tajemniczego Kanclerza. Właśnie to stało się jej obsesją, a świat darknetu wydawał się jej bardziej realny niż namacalne otoczenie.

– Pracujesz nad sprawą tych krakowskich mordów – odezwała się po chwili.

– Tak wiem, oglądałaś wiadomości, przeczytałaś, że śledztwo nadzoruje komisarz Berg i natychmiast go ze mną połączyłaś.

– Mniej więcej. A kropką nad „i” jest ten telefon.

– W takim razie dzwonię, żeby... No, zaskocz mnie.

Kuzynka Monda głośno mlasnęła. Po chwili zaczęła nucić jakąś melodię, której Honoriusz początkowo nie kojarzył. Dopiero po paru taktach doznał olśnienia. Zacisnął usta i pokręcił głową.

– The Blue Alsatian Mountains – wycedził. – Skomponowana przez Michaela Maybricka.

– Który? – dopytała z emfazą kobieta.

– Jest podejrzewany o bycie Kubą Rozpruwaczem. No dobrze, tego mogłaś się domyślić, mając do dyspozycji podobne dane co ja.

– Gdybym widziała twoją twarz, mogłabym lepiej sprecyzować pytanie. Ale czy na pewno mamy czas na te zabawy?

Mond zatrzymał się i spojrzał na Sukiennice. Wokół gęstniał tłum oczekujący na hejnał. Rząd dorożek stał po jego lewej stronie, a konie kopytami wystukiwały ponury rytm.

– Potrzebuję danych o potomstwie pewnej osoby – stwierdził, stawiając kołnierz.

– To nic trudnego.

– Tyle że ta osoba zmarła ponad sto dwadzieścia lat temu.

Kuzynka Honoriusza zaśmiała się. Jej śmiech zabrzmiał jak zwykle, pusto i sztucznie.

– No tak, mogłam się domyślić! – rzuciła rozbawiona. – Dobrze sobie. Bądź cierpliwy, kuzyneczku, a niebawem cię nawiedzę.

Po tych słowach kobieta się rozłączyła. Nie musiała pytać, kogo Honoriusz miał na myśli.

## 54



Wraz z tłumem turystów oraz nielicznych mieszkańców Mond wysłuchał krakowskiego hejnału, a następnie jeszcze przez kwadrans włóczył się po okolicy. Przeszedł pod kościół Świętych Piotra i Pawła, gdzie się zatrzymał, kontemplując twarze figur apostołów. Współczesne kopie reprezentowały dobry poziom artystyczny, jednak Honoriusz całkiem niedawno widział oryginały. Przechowywane w magazynie trzystuletnie rzeźby z wapienia na skutek kwaśnych deszczy miały niemal nieczytelne, zdeformowane twarze. Wyglądały upiornie niczym częściowo rozłożone zwłoki o zatartych rysach. Ich następców, mimo nieustannych prób konserwacji, czekał taki sam los. „Taki sam los czeka przecież wszystkich” – pomyślał.

Następnie ciąg jego skojarzeń zahaczył o przyczyny upływu czasu oraz rozbił się o filozoficzny, teologiczny sens ruchu obrotowego Ziemi. Ta, wydawać by się mogło, abstrakcyjna myśl musiała wiązać się z faktem, że w kościele Świętych Piotra i Pawła znajdowało się najdłuższe w Polsce wahadło Foucaulta, które w sposób pośredni prezentuje ruch wirowy planety.

Wszelkie te skojarzenia oraz rozważania stanowiły jedynie wymówkę. Mond doskonale to wiedział. Nie lubił się usprawiedliwiać przed samym sobą. Zagłuszanie sumienia zazwyczaj przypominało brnięcie w ślepią uliczkę, na której końcu zawsze był ból.

Zdeterminowany rozejrzał się za hulajnogą. Wciąż zapominał, że zainstalowana na telefonie aplikacja pokazywała mu ich położenie, jednak nie musiał długo szukać. Chwilę później był już w drodze na Podgórze. Powiew wiatru rozwiewał poły jego płaszcza, a suche,



zadymione powietrze pobudzało go do kaszlu. Powstrzymując go, przysłonił usta chusteczką z wyhaftowanym przed laty swoim monogramem. W fedorze i płaszczu o dawnym kroju przypominał postać przeniesioną z innej epoki i nawet we współczesnym, pełnym różnorodności świecie zwracał na siebie uwagę. Sam nie był jednak tego w pełni świadom. Skupiony na rozmyślaniach, ledwie uważał, by z nikim się nie zderzyć.

Do celu dotarł w kilkanaście minut, a pierwszą rzeczą, którą zrobił po odstawieniu elektrycznego pojazdu, było sprawdzenie, czy nie umknął mu telefon od kuzynki. Nie miał jednak żadnych nieodebranych połączeń.

Wolnym, spacerowym krokiem przeszedł nieopodal miejsc, gdzie odnaleziono ciała kolejnych ofiar. Nanosił je na kreślone w pamięci zaułki, w których porzucono zwłoki kobiet zamordowanych przez Kubę Rozpruwacza. Analizował ich rozmieszczenie, porównywał mapy XIX-wiecznego Londynu oraz współczesnego Krakowa, aż wreszcie dotarł w pobliże kwartału, gdzie rozegrały się wydarzenia ostatniej nocy.

Naśladowca zainscenizował wszystko dokładnie tak jak w apokryficznym schemacie. Zaatakował człowieka, który odnalazł zwłoki poprzedniej ofiary i który nie miał z nim żadnego innego związku. Dlaczego? Być może w tamtym przypadku, ów mężczyzna, mógł go rozpoznać? Może nie tylko odnalazł ofiarę, lecz trafił na jakiś ważny trop? Nawet gdyby było to prawdą, naśladowca nie nadstawiłby się przecież na podobne ryzyko. Poza tym do odegrania całej sceny potrzeba by było niesamowicie wielu zmiennych, na które nie mógł mieć wpływu. Podobne zbiegi okoliczności nie istnieją, ale...

Rodzącą się intrygującą myśl przerwał dzwonek telefonu. Mond zamrugał i powoli sięgnął do kieszeni. Przyłożył komórkę do ucha.

– W zamian za swoje przysługi chcę mieć na piśmie twoją deklarację – odezwała się jego kuzynka.

– Na jaki temat?

– Że po mojej śmierci ty otrzymasz prawo do wykonania sekcji mojego mózgu, ale jeśli to ty umrzesz pierwszy...

– Mój mózg jest twój – zgodził się Mond. – A teraz, proszę, mów, co ustaliłaś.

## 55



Kanclerz istniał naprawdę. Siedząc przy komputerze, wpisywał kolejne komendy niczym pianista wygrywający na koncercie dzieło swojego życia. Przerывał tylko na chwilę, by odczytać komunikaty lub spojrzeć na ekrany dwóch rozłożonych z boku laptopów. Co pół godziny budzik informował go, by włączyć wiadomości. Telewizor wyświetlający jednocześnie kilka programów był zamontowany na wysięgniku przymocowanym do sufitu. Całe pomieszczenie przypominało najnowocześniejsze studio nagrań.

Mężczyzna poprawił się w fotelu i przeciągnął. Strzelił palcami, po czym zadowolony cicho zagwizdał.

– Mam was – wyszeptał wreszcie. – Moje zadufane w sobie kuzynostwo popełni wielki błąd. Tak mi przykro...

## 56



– W Polsce żyje tylko dwoje potomków Kościńskiego – oznajmiła kuzynka Honoriusza. – Ale kobitkę możesz sobie darować. Ma prawie siedemdziesiąt lat, mieszka w Kołobrzegu i od trzech dekad jeździ na wózku inwalidzkim.

Mond nie zamierzał wnikać, skąd jego kuzynka posiada te ostatnie dane. Działała po swojemu, a jej praca przynosiła rezultaty – to było najważniejsze.

– A drugi potomek?

- Mam o nim bardzo mało danych, co wydaje się dziwne...
- Zawsze ci powtarzam, że ludzie, którzy nie mają konta w aplikacjach społecznościowych, mogą istnieć w rzeczywistości. Nie są wytworami legend i mitów.

Kobieta parsknęła.

- Naprawdę? Ten człowiek ma trzydzieści siedem lat i żadnych stałych dochodów. Ale nie to jest najbardziej interesujące.
- A? Skończ z tym pogrywaniem. Wiesz, że wbrew pozorom styki mojego mózgu odpowiedzialne za cierpliwość są zaśniedziałe.
- Kiedyś to sprawdzę.
- Trzymam za słowo. Ale nie staraj się w żaden sposób informować mnie o rezultacie pracy. To będzie daremne.
- Ha, ha...

Mond oparł się ramieniem o mur jednej z kamienic i uważnie lustrował okolicę. Właściwie w jego umyśle nakładały się na siebie liczne warstwy analiz oraz skojarzeń. Starał się osadzić w okolicznym anturazie postać historyczną, co być może stanowiło jedynie czysto abstrakcyjną zabawę, a jednak wydawało się nadzwyczaj intrygujące.

Aaron Kościński był jednym z podejrzewanych o bycie Kubą Rozpruwaczem. Jako polski Żyd wyemigrował w latach siedemdziesiątych dziewiętnastego wieku do Londynu. Tam jego początkowe losy były nieznane, jednak jego nazwisko pojawia się kilkanaście lat później na liście pacjentów jednego z zakładów dla obłąkanych. Kościński był zameldowany na Whitechapel, cierpiał na manię prześladowczą oraz miewał halucynacje. Poza tym zdiagnozowano u niego „problemy tożsamościowe”, co zapewne wiązało się z możeszowym wyznaniem. Był to wątek interesujący przede wszystkim w kontekście napisu znalezionej nieopodal ciała Catherine Eddowes. A także ofiary Rozpruwacza z Podgórze.

Mond zwrócił uwagę na fakt, że to graffiti stanowiło jedyny zasadniczy manifest sprawcy. Oczywiście, w rozumieniu psychologicznym, był nim również sposób, w jaki obchodził się z ofiarami, lecz to jedno pokraczne zdanie wydawało się czymś więcej. Skoro naśladowca zdecydował się na

oddanie również tego, dla wielu nieistotnego elementu, mogło to mieć podwójne znaczenie.

– Honri? Tak się do ciebie zwraca panienska Szmit?

Słowa kuzynki wyrwały Monda z zamyślenia. Przytknął telefon mocniej do ucha i ruszył przed siebie.

– Zapomniałeś zapytać, co wydawało mi się najbardziej ciekawe w przypadku drugiego z potomków Koźmińskiego.

– Miejsce zamieszkania – stwierdził Honoriusz.

– Brawo. Właśnie o nim miałam powiedzieć.

– Podaj mi tylko adres.

Gdyby ten był do ustalenia równie łatwo jak adres popularnego autora, Mond w ogóle nie dzwoniłby do kuzynki. Wolałby zawierzyć swój pomysł Allegrze, ale zadanie wymagało dotarcia do danych dostępnych tylko w nielegalnej, niezbadanej przez większość osób części internetu.

– Moim zdaniem obwinianie Koźmińskiego na podstawie markera genetycznego występującego u prawie dwóch procent Europejczyków to farsa – stwierdziła kobieta. – A biorąc pod uwagę, że sekwencja mtDNA...

Mond wszedł jej w zdanie.

– Błagam, podaj mi jego adres.

Chwilę później czym prędzej skierował się do auta.



Allegra, mimo zmęczenia, nie mogła zasnąć. Popołudniowe drzemki zdarzały się jej sporadycznie, ale zazwyczaj czuwała, czekając na ewentualne zlecenia. W ostatnich tygodniach było ich wyraźnie mniej. Mogło to mieć oczywiście kilka powodów. Pierwszy z nich stanowiły niższe temperatury, przy których nawet tygodniowe zwłoki zachowywały się w niezłych stanach. Pod warunkiem, że

w miejscu, gdzie leżały, nie grzano pełną parą, ale... Teraz istotny stawał się drugi czynnik, a właściwie dwa ściśle powiązane czynniki. Barbarzyński wzrost cen za energię oraz inflacja. Ludzie oszczędzali jak mogli, więc średnia temperatura ogrzewanych pomieszczeń, mimo ciepłego miesiąca, obniżyła się o kilka stopni. Dlatego po odnalezieniu nawet niezbyt świeżych zwłok rodziny nie musiały rozwalać połowy pomieszczenia, aby pozbyć się odoru śmierci.

Jednak te rozważania nie przytłaczały Szmit. Rytm pór roku był w jej fachu czymś zupełnie normalnym. Zleceń przybywało wiosną oraz latem, by jesienią oraz zimą ich liczba istotnie spadła. Oczywiście, gdyby decydowała się na klasyczne sprzątaniami, prawdziwe żniwa byłyby w okresie przedświątecznym. Jednak firma Allegry, działająca pod dumnym hasłem „Szmitujemy wszystko na glanc”, nie rozdrabniała się. Brała jedynie najpoważniejsze zlecenia. Zgony, termity i szczury.

Szmit podniosła się z łóżka, po czym zerknęła na twarze spoglądające na nią ze świętych obrazów. Brodate i starannie ogolone, grubsze i chudsze. Świętość oraz natchnienie nie miały nic wspólnego z wyglądem. Mond twierdził, że to uwarunkowania kulturowe i czasowe, ale ona nie zamierzała rozbierać wszystkiego na czynniki pierwsze. Wystarczyła jej jedna z wywołanych przez niego dyskusji, w których utrzymywał, że na pierwszych wizerunkach Jezus Chrystus przedstawiany jest bez zarostu i o klasycznej, rzymskiej urodzie bóstwa lub herosa. Tak naprawdę jego wizerunek nie miał dla Allegry żadnego znaczenia.

Przełożyła stertę rachunków i zerknęła na leżący na samej górze wydruk z potwierdzeniem przelewu. Co miesiąc wpłacała pewną kwotę na rzecz jednej z kilku starannie wybranych organizacji charytatywnych. W zależności od nastroju – a raczej od przecucia – wspierała ludzi lub zwierzęta. Nigdy się z tym nie obnosiła, co więcej, z darowizn nie czyniła nawet odpisu od podatku. Uważała, że nikt nie powinien wiedzieć, na co przeznaczają swoje pieniądze. Szlachetny cel tym bardziej wymagał skrytości. Aby jej dane nie pojawiły się nawet u odbiorców, przelewów dokonywała przez specjalne strony zapewniające anonimowość.

Zamyślona przeszła do kuchni i sięgnęła po odstawioną na wyspie szklanę. Wypiła potężny łyk chichy zmieszanej z kawą oraz likierem wiśniowym. Ten jej autorski drink momentalnie rozbudzał. Przygotowywała go rano, po czym dozowała sobie w kilku sporych shotach. Tym razem również poczuła niemal natychmiastowe pobudzenie. Zmotywowana do działania wzięła leżący na stoliku telefon i wybrała numer Honoriusza. Odczekała kilka sygnałów do momentu, aż włączyła się poczta głosowa.

– Co ty wyczyniasz, Mortalisto? – wyszeptała, spoglądając w okno. – Nie sędzę, by poniosła cię zabawa...

Schowała telefon do kieszeni i oparła czoło o chłodną szybę. Przez chwilę walczyła z myślą, by zadzwonić do Bull Pubu. Mogłaby poprosić, by dano jej do telefonu jednego z klientów. Jednak po co miałyby to robić? Jakie miała do tego prawo? Poza tym od momentu, gdy Mond zaproponował jej lunch, minęły ponad dwie godziny.

Postanowiła jeszcze raz wybrać jego numer. Jednocześnie zastanawiała się nad zgrabnym kłamstwem usprawiedliwiającym jej telefon. Choć wiedziała, że Honoriusz natychmiast domyśli się jej fortelu. Nie przeszkadzało jej to.

Tym razem odpowiedział jej komunikat stwierdzający, że Mond znajduje się poza zasięgiem sieci. Dziwne.



Adres mówił wszystko. Właściwie wszystko mówił fakt, że nie mówił nic. To mogłoby być skomplikowane, lecz Mond szybko zarzucił zabawę skomplikowanymi trybami języka polskiego i skupił się na prowadzeniu. Jaguar pewnie sunął po szutrowej, wąskiej drodze prowadzącej przez podkrakowski las. Znajdował się ledwie dziesięć, może dwanaście kilometrów od centrum miasta, a krajobraz

przypominał miejsce, gdzie diabeł mówi dobranoc. Tak wyrażała się Allegra. Dla niego okolica obrazowała po prostu kompletną dziurę.

Gdyby z naprzeciwka wyjechał jakiś pojazd, nie mieliby szans się minąć. Któryś z kierowców musiałby cofać, a Honoriusz, nawet nie znając przebiegu dalszej trasy, wiedział, że od ostatniej przecinki, w której zmieściłyby się dwa auta, dzieliło go kilkaset metrów. Kilkaset metrów po krętej, wąziutkiej drodze, po której obu stronach na lakier auta czyhały ostre, sztywne gałęzie. Nie należał co prawda do ludzi, którzy dbają o stan auta jako luksusowego produktu, lecz wszelkie odpryski lub zarysowania drażniły jego zmysł estetyczny. Dlatego jaguar prezentował się perfekcyjnie, jakby dopiero wyjechał z salonu.

Przed kilkunastoma minutami Mond zastanawiał się, czy nie zawiadomić o swoim odkryciu komisarza Berga. Z jednej strony sądził, że należało to do obywatelskiego obowiązku, ale... Z drugiej strony odkrycie było wyjątkowo naciągane. Sprowadzało się do faktu, że trafił na potomka jednej z osób podejrzewanych o bycie Kubą Rozpruwaczem. I to akurat tej, którą można było sensownie powiązać z napisem w bramie kamienicy.

Tylko tyle i aż tyle. Berg miał swoje metody i zapewne był teraz dość zajęty, aby podążać jego tropem. A on? Przynajmniej w ten sposób mógł usiłować tłumić ból. Bez względu na rezultat śledztwa oraz spotkania. O ile w ogóle miało do niego dojść.

„Do celu pozostało sto metrów. Cel znajduje się poza drogą utwardzoną”.

Komunikat wyrwał Monda z zamyślenia i pobudził do działania. Chwilę później zatrzymał auto na sporej polanie, w głębi której stała obszerna chata z dachem krytym azbestem. W promieniu kilkudziesięciu metrów znajdowały się jeszcze dwa domy z niemal prasłowiańskimi zagrodami. Fakt, że ta wieś w ogóle została umieszczona na mapach, wydawał się nieprawdopodobieństwem. Niektóre wakacyjne siedliska były kilkukrotnie większe.

Mond nie zamierzał się skradać ani udawać śledczego. Po głowie chodziło mu kilka pomysłów odegrania szopki, lecz ich realizację

pozostawił rozwojowi wydarzeń. Poprawił węzeł krawata, nasunął głębiej fedorę i ruszył w stronę jednej z chat. Posesja nie była ogrodzona. Prowadziła do niej wąska, błotnista ścieżka, po której obu stronach ciągnęły się maleńkie poletka. Do ścian lasu w każdą stronę było mniej niż sto metrów. Aż dziw, że dało się tu cokolwiek uprawiać, a ziemia nie była całkowicie jałowa.

Przed budynkiem, po lewej Monda, coś się poruszyło. Czujnie naprężył mięśnie i dostrzegł ogromnego brytana, który, ujadając, rzucił się w jego stronę. Dopiero po chwili pies zawisł w powietrzu i opadł niczym szmaciana lalka. Jego obronny instynkt został utemperowany przez metalowy łańcuch.

Honoriusz nie przyśpieszył kroku ani o krztynę. Z godnością, skupiony na obserwacji otoczenia, zbliżał się do drzwi obłożonych z zielonej farby. Firanka w jednym z okien poruszyła się i przemknął w nim cień. Z pewnością ktoś był w domu. Przynajmniej nie zjawił się tu na marne.

## 59



Mond raz po raz stukał w ciężkie, drewniane drzwi. Wreszcie ze środka domu dał się słyszeć głośny szmer. Skrzypnęła stara podłoga.

– Niech da mi pan święty spokój. – Słowa zostały wypowiedziane ostrym, wrogim tonem. – Proszę sobie pójść.

Honoriusz nie zamierzał odpuścić. Stał bokiem, niemal przytykając ucho do drzwi.

– Chciałbym zamienić tylko kilka słów. Nie zajmę panu dużo czasu.

– Spieprzaj pan, zanim zadzwonię po policję.

– Obawiam się, że mógłbym zrobić to samo. – Mond odchrząknął. – Ciekawe, jaki miałyby to skutek. Poza tym sąsiedzi... Czy musimy tak krzyczeć?



Z wnętrza domu dało się słyszeć stukot, a po chwili brzęknęła ciężka zasuwka. Drzwi się otworzyły i stanął w nich przysadzisty mężczyzna z rzadkimi włosami zaczesanymi do tyłu na niemal łysą czaszkę, ciemnymi oczami oraz kraciastą koszulą opiętą na szerokich ramionach.

– Nie mieszaj pan w nic sąsiadów – wycedził, przepuszczając Mondę w progu. – Chcę jedynie świętego spokoju. Czego pan chcesz?

– Czy mam przyjemność z Romanem Koźmińskim?

Mężczyzna skinął głową.

– Wie pan, kim był pański pradziadek?

– Był niewinny.

– Czyli pan wie.

– Co z tego?

Mond wymamrotał kilka słów przywitania, po czym bez skrępowania przeszedł obok gospodarza. Zatrzymał się w niewielkiej sieni, w której pachniało pastą polerską oraz drewnem. Nad drzwiami do kuchni wisiała ogromna ikona w złoczonej koszulce. Poza tym uwagę zwracał duży, puchaty chodnik zakrywający niemal całą podłogę oraz okuta metalem skrzynia, jakich niemal nie spotykało się już nawet w starych domach.

– W pewien skomplikowany sposób powiązano pana z toczącym się śledztwem – improwizował Mond, po czym dorzucił znudzonym tonem. – Chciałbym mieć to z głowy.

– Z głowy? Co takiego?

– Tę rozmowę. Wszyscy mamy swoje obowiązki, a mój... Rozumie pan?

– Ta... Chyba tak.

– Czy mogę zapytać, co robił pan w kilku przedziałach czasowych?

Forma pytania wymagała od mężczyzny chwili namysłu, po której kiwnął głową. Honoriusz wymienił kolejne noce, kiedy popełnione zostały morderstwa. Spodziewał się jakiejś oględnej odpowiedzi, tymczasem Koźmiński był zaskakująco konkretny.

– Za każdym razem pracowałem, panie. A co miałem robić?

– Pracował pan? – zagadnął zaskoczony Mond.

– Pewno. Robię za stróża nocnego na jednym z krakowskich osiedli.

– Czy ktoś to potwierdzi?

– Jakieś parę setek mieszkańców, co to wracali do domów i kilkadziesiąt kamer monitoringu.

To wydawało się przesądzać sprawę. Honoriusz jeszcze raz bacznie rozejrzał się po sieni, ukradkiem zastukał palcami w drewniane wieko skrzyni, po czym skierował się do wyjścia.

– To dobre alibi – przyznał. – Bez dwóch zdań.

– Ano. Chcesz pan wiedzieć coś jeszcze?

– Zdaje się, że wszystko jest jasne jak słońce.

– W takim razie...

– Tak. Nie musi mnie pan odprowadzać, sam znam drogę do drzwi.

W tonie Monda nie było ironii. Odwrócił się, ściągnął poły płaszcza, po czym wyciągnął dłoń ku klamce. W momencie, gdy szykował się do wyjścia, usłyszał cichy świst. Coś z ogromną siłą rąbnęło go w głowę.

Osunął się w mrok.

## 60



Allegra po kilku próbach dodzwonienia się do Monda zaczęła się poważnie niepokoić. Honoriusz zazwyczaj dbał o to, by mieć przy sobie telefon, przynajmniej w godzinach, w których mógł spodziewać się od niej zlecenia. Abstrahując od jego niesfornego, niedzisiejszego ducha, był jednocześnie zorganizowany i rzetelny. Wszystko to sprawiło, że Szmit zaczęła się martwić.

Jeszcze będąc w mieszkaniu, zadzwoniła do komisarza Berga, który zbył ją kilkoma nerwowymi słowami. Sprowadzały się do tego, że nie miał pojęcia, gdzie jest Honoriusz i że kompletnie go to nie interesuje. Najwyraźniej był teraz zajęty, a jego wiara we własne umiejętności znalazła się na sinusoidalnej górze.

Szmit założyła swój ulubiony płaszcz z deseniem w wyraziste hortensje, wepchnęła do kieszeni beret i pognała do auta. Dojazd na Kazimierz zajął jej dłużej, niż sądziła. Popołudniowe korki oraz mnóstwo ulic wyłączonych w ostatnim czasie z ruchu skomplikowały sprawę. Zaparkowała ponad sto metrów od pracowni Monda, po czym szybkim krokiem ruszyła w jej stronę.

Przeczucie mówiło jej, że Honoriusza nie ma w hotelu. Jednak od lat nie pokładała specjalnej wiary w owe spirytystyczne zdolności, rzekome „czucie czegoś więcej”, więc maszerując, wybrała numer Hotelu Francuskiego. Recepcjonista odebrał niemal natychmiast.

– Pan Mond wyszedł – poinformował służbowym tonem. – Przed kilkoma godzinami, bez podania celu swojej podróży.

– Mimo to proszę połączyć mnie z jego pokojem – nalegała Szmit.

– Jak pani sobie życzy.

Zgodnie z przypuszczeniami czy też przeczuciem Allegry po kilku sygnałach połączenie zostało zakończone. Honoriusz zniknął.

Mogła zajść do Bull Pubu, ale miała pewność, że ten nawracający trop jest już całkowicie nieistotny. Głośno tupiąc po bruku, minęła mało znany budynek Synagogi Wysokiej, po czym skręciła w ulicę Wąską. Przed zaadaptowanym na knajpę budynkiem Starej Zajezdni stał spory tłumek. Najwyraźniej szykowało się jakaś impreza lub wernisaż. Szmit przeszła obok grupki mężczyzn palących papierosy i poczuła, że ściągnęła ich uwagę. Słyszając umyślnie wypowiedziany donośnym tonem seksistowski komentarz, wyciągnęła w ich stronę dłoń z kciukiem splecionym z palcem serdecznym. Był to brahmiczny znak wyklęcia. Nieokreśloność tego gestu ucięła temat.

Pokonała kolejne kilkanaście metrów i skręciła w bramę sporej kamienicy. Gdy weszła na podwórze, gdzie w sutenerze znajdowała się pracownia Monda, natychmiast znalazł się przy niej pucołowaty młodzieniec.

– Pani Honoriuszowa! – przywitał ją z uśmiechem.

Był to chłopiec przezywany Watażką, nieformalny lider podwórkowej bandy, która dzięki drobnym przekupstwom pozostawała na usługach

Monda. Szmit, nauczona jego doświadczeniem, natychmiast dała mu dwie monety.

– Pan Honoriusz preferuje handel towarowy – oznajmił Watażka. – Nigdy nie daje forsy.

– Tak, wiem. Ale ja nie miałam czasu szukać czipsów octowych.

– Trudno się mówi.

Chłopiec z szerokim uśmiechem sięgnął po monety i schował je do kieszeni. Kątem oka zerknął na stojącego w głębi podwórza towarzysza. Zapewne malcy szykowali jakąś hecę i zajęli bezpieczne pozycje. Szmit nie zamierzała im w niczym przeszkadzać. Spojrzała prosto w oczy Watażki.

– Po pierwsze, nie nazywajcie mnie panią Honoriuszową, rozumiano?

– Kiedy to, jakby pani prosiła, żeby psa nie nazywać psem, a suki...

– Dość, nie bądź ordynarny. Teraz druga sprawa. Widzieliście pana Monda?

Watażka chwilę się zastanowił, ale zaraz pokręcił głową.

– Był tu wczoraj, ale dziś nie. Jesteśmy na czipsowym odwyku.

Szmit z przyganą pokręciła głową i westchnęła.

– Kupicie je sobie.

– Ale...

– Żadnych ale. Negocjacje możecie prowadzić z Mondem, ale nie ze mną. Dla mnie to wszystko jest kompletnie niewychowawcze.

Allegra na pięcie zawróciła w stronę bramy. Wzrastający niepokój sprawił, że jej serce dudniło w przyśpieszonym tempie, i w rozmowie z Watażką stała się bardziej kategoryczna niż kiedykolwiek. Pełna złych przeczuć, wyszła na ulicę, nie mając pojęcia, co robić dalej. W tym momencie poczuła wibrację telefonu. Ta powtórzyła się, co oznaczało, że ktoś usiłuje nawiązać połączenie.



– Nie oglądaj jej. Nie teraz. Domyślasz się chyba, jak to wszystko wygląda po autopsji... Daj mi się nią zająć, a potem się pożegnasz. Potem, nie teraz.

Ojciec chłopca delikatnie odciąga żonę od metalowego łóżka, które wprowadzono do jednego z pomieszczeń na parterze rezydencji. Wokół zapalono gromnice, a także ogromną srebrną kadzielnicę. Zadbala o to matka malca. W ciągu ostatnich kilkunastu godzin przy pomocy zaprzyjaźnionego księdza przemieniła tę salę w ogromną kaplicę. Nie szczędziła na to sił ani środków. Jej dzieła dopełniają wieńce wysokości dorosłego człowieka, które ustawiono po obu stronach drzwi.

Kobieta płacze, a jej mąż nie potrafi jej uspokoić. Stara się ją przytulić, lecz ona go odpycha. Wtedy mężczyzna ciężko sapie i dotyka dłonią skraju czarnego worka. Muska go delikatnie w sposób, w jaki muzyk szykujący się do recitalu muska koniuszek mikrofonu. Nagle się odwraca i spogląda ostro na żonę.

– Wyjdź – nakazuje cierpko. – Dość tego.

– Ale...

– Proszę cię, kochanie, wyjdź.

Surowy ton pierwszej wypowiedzi zostaje złagodzony. Mężczyzna jednak nie potrafi już spojrzeć prosto w twarz żony. Wiedzie wzrokiem po wypełniających salę sprzętach. To jego pracownia. Znajdują się w niej dziesiątki metalowych szafek, ukrytych regałów oraz niewidocznych na pierwszy rzut oka narzędzi. W rogu zamontowano metalową wanienkę, z której woda zostaje odprowadzona do specjalnego zbiornika. Niedaleko znajduje się głęboki zlew, a nieco dalej szafka z ogromnym wyborem kosmetyków. W kolejnej upchnięte są środki do konserwacji zwłok, balsamy oraz specjalne wonne olejki.

Ojciec chłopca jest jednym z najsłynniejszych balsamistów w tej części Europy. Tak jak mężczyźni dziewięciu ostatnich pokoleń jego rodziny zajmuje się pielęgnacją ciał zmarłych. I choć są dość zamożni, by nie

musieć niczego robić, traktuje to jako powołanie. Powołaniem jest również to, by zadbał o ciało własnej córki.

Jednak teraz kieruje się do wyjścia. Wyprowadza z sali żonę i zerkna na stojącego w głębi korytarza syna. Wymieniają porozumiewawcze spojrzenia. Chwilę później mężczyzna starannie zamyka drzwi. W rezydencji nastaje kompletna cisza.

## 62



Wiadomość tekstowa wysłana przez nieznanego nadawcę, który został automatycznie opisany jako „Kuzynka”, nie budziła wątpliwości co do jej autorstwa. Kuzynka Monda w szeregu cyfr podawała pozycję nawigacyjną, gdzie znajduje się Honoriusz. Przynajmniej Szmit dokładnie tak to zinterpretowała.

Biegiem rzuciła się do auta. Drogę, którą w jedną stronę pokonała w dobrych kilka minut, przebiegła sprintem w kilkadziesiąt sekund. Choć obcasy jej butów nie były przesadnie wysokie, jej wyczyn ocierał się o mistrzowskie osiągnięcie sportowe. Niemal w ogóle się przy tym nie zasapała.

Gdy wreszcie usiadła za kierownicą pick-upa, pośpiesznie wstukała lokalizację do systemu. Nawigacja wypluła informację o tym, że dane są zbyt szczegółowe. Nie mając pojęcia, jakim cudem pozycja może być zbyt szczegółowa i dlaczego auto samo z siebie jej nie uogólniło, Szmit wpisała namiar ponownie, tym razem obcinając ze współrzędnych ostatnie cyfry. System zaskoczył i po chwili na ekranie wyświetliła się mapa podglądowa. Allegra zmarszczyła czoło.

– Co, u licha, tam robisz? Przecież...

Nie było czasu na dywagacje. Dynamicznie wyjechała na główną ulicę i podążała za wskazaniem komputera. Tym razem żałowała, że jej auto jest tak wielkie, co utrudniało manewrowanie w szczycie ruchu. Nie

mogła spowodować żadnej stłuczki, nie mogła stracić ani minuty... Złe przecucie zaciskało obręcz na jej szyi i przyprawiało ją o mdłości. Na czole perliły się jej kropelki potu.

Po kilkunastu minutach wypadła na obwodnicę i natychmiast dodała gazu. Auto wyrwało do przodu. Sterta firmowych sprzętów na tylnej kanapie rozsypała się i pospadała na podłogę.

– Cholera...

Allegra nie zamierzała zwalniać. Zerknęła na podkuwkę oraz medalik ze świętym Krzysztofem zawieszony na lusterku. Gdyby oddanie się pod ich opiekę było takie proste... Przeniosła wzrok na ekran nawigacji, po czym gwałtownie zwolniła. Niemal przejechała zjazd prowadzący w stronę lasu. Minutę później pick-up sunął po nierównej, wąskiej drodze, na której Szmit dostrzegła w miarę świeże ślady opon innego dużego auta.

Nie zważając na rysujące lakier gałęzie, jechała niemal na przełaj. Odcinek, który zgodnie z nawigacją miała pokonać w pięć minut, przejechała w niespełna dwie. Nagle przestrzeń otworzyła się i sponad koron drzew wyrzało stalowoszare niebo. Szmit dostrzegła dwie rozpadające się chaty oraz niewielkie gospodarstwo. Na trawie przed nim stał jaguar Monda. Chciała jechać dalej, lecz dokładnie w tej samej chwili otworzyły się drzwi domu, a w progu dostrzegła czyjąś postać. Zahamowała, mając nadzieję, że linia drzew przysłoni jej auto. Wychodzący jednak nawet nie spojrzał w jej stronę. Był zajęty czymś innym.

Włókł, trzymając pod ramiona, bezwładne ciało Monda.



Allegra zdębiała. Obserwowała wszystko jak na filmie wyświetlanym w zwolnionym tempie. Zwalisty, łysawy mężczyzna

ciągnął ciało Monda, a obcasy czarnych lakierków jej przyjaciela zostawiały ślad w wysuszonej ziemi. Gdyby ta scena nie była prawdziwa, uznałaby ją za czystą groteskę.

– Hare Kriszno i Mato Hari...

„I Jerbo Mate” – dopowiadał zawsze Honoriusz, lecz teraz nie mógł jej usłyszeć. Wydawał się martwy, choć nigdzie nie było widać krwi. Jednak żywy nie pozwoliłby zdjąć sobie kapelusza. Jego włosy były zmierzwione, poły płaszcz rozpięte, a krawat zwisał na bok.

Szmit nabrała kilku głębokich oddechów i zmusiła się do działania. Pewna, że mężczyzna z chaty wciąż jej nie widzi, sięgnęła do torebki i wyciągnęła z niej spray z gazem pieprzowym. Była to wzmocniona, specjalna mieszanka z dodatkiem jakichś gryzących, hinduskich olejków. Nigdy dotąd nie miała okazji jej użyć, lecz...

Nie. To było szaleństwo.

Rzucić się z tubką sprayu na kogoś, kto właśnie powalił Monda?

Jej serce biło w nieprawdopodobnym tempie, a po karku spływał pot. Na szczęście nieznamy mężczyzna był obrócony do niej tyłem i właśnie położył Honoriusza na plecach obok zewnętrznego hydrantu. W ogóle się nie rozglądał, jakby pewny, że w okolicy nie może zjawić się nikt niepożądany. Pozostałe domostwa wydawały się całkowicie opustoszałe. Cała rozległa polana zionęła martwą ciszą.

„Chce go dobić” – przemknęło Allegrze przez myśl. – „I chce to zrobić poza swoim domem, aby nie zostawić śladów”.

Te domysły sprawiły, że przez jej nogi przebiegł skurcz. Jakby jej ciało oraz receptory nerwowe ponownie zmuszały ją do działania.

– Weź się w garść – wyszeptała.

Ścisnęła tubkę z gazem, po czym cicho otworzyła drzwi auta. Niemal węzowym ruchem zsunęła się z fotela i pochyłona, przekradła za wysoką maskę pick-upa. Nieznajomy wciąż był przy Mondzie. Szarpnął nim i brutalnie przesunął go po ziemi.

– Dość.

Szmit nie mogła dłużej znieść tego widoku. Upewniła się, że zawleczonego bezpieczeństwa jest wyciągnięta, i rzuciła się ku chacie. Starła się biec



cicho, gdyż najważniejszy był element zaskoczenia. Od oprawcy dzieliło ją ledwie trzydzieści metrów.

Mężczyzna usłyszał ją dopiero w ostatniej chwili. Trzymał w rękach wiadro, którym chlusnął wodą na Monda. W chwili gdy się odwrócił, jego twarz wykrzywił grymas kompletnego zaskoczenia. Momentalnie się zreflektował i zamierzał bronić metalowym kubłem, ale Allegra była szybsza.

– Apage Satanas!

Nie wiedziała, dlaczego z jej ust wyrwały się właśnie te słowa, jednak moc sprayu okazała się powalająca. Wyrzucony ku nieznanemu obłok mokrego gazu momentalnie go powalił. W powietrzu uniósł się gryzący, drażniący zapach. Szmit pochyliła się, by odciągnąć na bok Honoriusza, lecz musiała się zatrzymać. Każdy ruch groził, że również wpadnie w chmurę paralizującego gazu.

Nieznajomy mężczyzna padł na kolana tuż obok Monda. Zwinął się w kłębek, chowając głowę między ramiona. Dopiero wtedy Szmit zobaczyła, że z jego kieszeni wypadł nóż.

## 64



Szmit zmrużyła oczy i zacisnęła usta. Jednocześnie wypuszczała nosem powietrze, by opary gazu nie osiadły w jej nozdrzach. Kopnęła nóż, po czym chwyciła Monda za ramię. Z ogromnym wysiłkiem przeciągnęła go o kilka metrów, wlokąc niczym szmacianą lalkę.

– Matko Boska Resuscytacyjna...

Z trudem powstrzymała radosne piśnięcie, widząc, że Honoriusz mruga i stara się skoncentrować na niej spojrzenie. Nie straciła jednak czujności. Potrząsnęła sprayem, upewniając się, że w tubie wciąż znajduje się co najmniej połowa zawartości. Zapewne dość dużo, by powalić szarżującego słonia lub chociaż sporego nosorożca. A bez

wątpienia tyle, aby poradzić sobie z mocno już podtrutym czterdziestolatkiem.

Mężczyzna wciąż leżał zwinięty w kłębek, dławiąc się i charcząc. Nie miał nawet siły trzeć podrażnionych, czerwonych oczu. Jego ciałem wstrząsały dreszcze. Tymczasem Mond szybko dochodził do siebie. Nie skorzystał z wyciągniętej ręki Allegry i, zataczając się, stanął o własnych siłach. Odkaszał. Raz i kolejny. Skonsternowany rozejrzał się wokół, lecz zdawało się, że szybko przypomniał sobie, co się wydarzyło..

– Powinieneś siedzieć... – Szmit chwyciła go pod ramię, ale natychmiast wywinął się z jej uścisku.

– To nic takiego. Chwilowe zamroczenie. Zdaje się, że moja fedora wreszcie się do czegoś przydała i zamortyzowała uderzenie.

Mond zrobił kilka kroków i sięgnął po leżący w progu chaty kapelusz. Kiedy się schylił, jego twarz wykrzywił grymas bólu. Mimo to niemal natychmiast go stłumił, po czym powoli się wyprostował. Założył fedorę, ale przesunął rondo tak, by otok nie dotykał tyłu głowy.

– Co tu się, do licha, stało? – Allegra wciąż łypała to na niego, to na leżącego mężczyznę. – Gdzie, do cholery, jesteście?

– Poznaj potomka jednej z osób podejrzewanych o bycie Kubą Rozpruwaczem. Oto Roman Kościński we własnej osobie. – Mond wykonał teatralny gest. – Jak sądzę, twój jednoosobowy oddział kawalerii przybył z odsieczą dzięki wskazówkom mojej kuzynki?

– Dokładnie tak się podpisała.

– Cóż...

Mond powoli podszedł do Kościńskiego. Mężczyzna właśnie usiłował się obrócić na bok. Jego twarz była opuchnięta, czerwona i pokryta rosą potu.

– Najpierw chciał mnie pan zabić, a chwilę później ocucić – odezwał się Honoriusz. – Dziwne zwyczaje. Ale, jak sądzę, nie mieliśmy żadnych świadków, cała ta osada, zdaje się, zupełnie wymarła.

– Nikt tu nie mieszka... poza mną – wymamrotał Kościński. Jego głos był charkotliwy i rwany. – Nie chciałem nikogo zabić.

– A po co innego wali się ludzi metalowymi pałkami w głowę?

– To przez tego dziennikarza!

Wypowiedziane głośniejszym, niemal wściekłym tonem zdanie sprawiło, że Mond i Szmit wymienili baczne spojrzenia. Honoriusz już najwyraźniej całkowicie doszedł do siebie. Niedawne wydarzenia pozostawiły jedynie ślady upadku na jego stroju. Teraz sięgnął po leżące obok wiadro i chlusnął resztką jego zawartości na Kościńskiego. Mężczyzna wzdrygnął się, lecz po chwili delikatnie obmył twarz. To go wyraźnie pokrzepiło. Mimo to po chwili zaczął kaszleć jeszcze głośniej niż dotychczas.

– Co z tym dziennikarzem? – dopytał Mond. Odkręcił hydrant i ponownie napełnił wiadro wodą. – Proszę mówić. Woda zmywa ze skóry resztki gazu, ale wzmaga też jego ulatnianie, które intensywnie podrażni pański układ oddechowy.

– Nic... nic... – wybełkotał Kościński.

Honoriusz wylał na jego głowę całą zawartość wiadra i mężczyzna momentalnie ponownie zaczął się dusić. Mond z kamienną twarzą obrócił go na plecy. Stojąc nad nim, spojrzał mu prosto w oczy. Nadepnął na jego lewą rękę.

– Co z nim? A może potrzebuje pan kolejnej cucącej dawki?

Szmit przytknęła dłoń do ust. Kościński wyglądał, jakby zaraz miał eksplodować. Jego twarz przybrała purpurowy odcień, a oczy dosłownie wyszły z orbit. Jednocześnie nie przestawał kaszleć, zasmarkując się i opluwając. Allegra nigdy nie spodziewała się po Mondzie takiej dozy brutalności. Gdy ten po raz kolejny sięgnął do hydrantu, niemo pokręciła głową.

– Co z nim? – powtórzył pytanie Honoriusz.

Kościński głośno pociągnął nosem i kilkakrotnie odkaslnął.

– Przyszedł tu... – wycharczał. – Straszyl mnie, że będę w telewizji, że będą przesłuchiwać... Żeby mi wszystko opowiedział. Nie miałem co... Ale gadałem. A wtedy...

– Zagroził, że zwróci na pana uwagę policji?

– Tak, a ja... Ja nie chcę tu nikogo.

Mond parsknął i rzucił wiadro na bok. Kiwnął głową, dając Allegrze znać, by podążyła za nim.

– Wracajmy. Nic tu po nas – oznajmił ponuro.

– Nie wezwiesz gliniarzy?

Honoriusz jedynie cicho parsknął. Odwrócił się, po czym powoli ruszył do jaguara. Czuł głęboki, przenikliwy wstyd i obrzydzenie do samego siebie.

## 65



– Jak myślisz, dlaczego cię zaatakował? – Szmit zostawiła samochód na tym samym parkingu co Mond i ruszyła za nim. Czy tego chciał, czy nie. W końcu należały się jej jakieś wytłumaczenia.

– Powiedział przecież.

– Nic nie powiedział. Kompletnie nic z tego nie rozumiem!

– Wyraźnie wytłumaczył, że miał dość nachodzenia przez obcych. Wystarczył jeden dziennikarz, zapewne Bonig, a zaraz zjawił się kolejny gość.

Szmit wybuchnęła głośnym, nerwowym śmiechem.

– I ty mu wierzysz?

– A czy mam powód, aby mu nie wierzyć?

– Nigdy nie ufałeś ludziom na słowo. – Allegra pokręciła głową i z powątpiewaniem rozłożyła ręce. – Wszyscy kłamią, wszyscy mają we wszystkim swój interes, wszyscy starają się manipulować... Pamiętasz, kto to powiedział?

– Dalej tak uważam. Choć są pewne wyjątki, a do nich zaliczam człowieka, który jest na skraju uduszenia się własnym śluzem.

– A który wcześniej walił cię po głowie prętem czy co on tam miał pod ręką...

– Obstawiam pogrzebach. Stał na płycie korkowej, a ja nie słyszałem, by Kościński po cokolwiek sięgnął. Żadnego brzęknięcia ani innego podobnego dźwięku.

– Zdążyłeś już to przeanalizować?

– Owszem. Tak jak i to, że działał pod wpływem emocji. Niczego nie zaplanował, tylko po prostu poniosły go nerwy. Morderca działa w całkowicie inny sposób.

Szmit się poddała. Nie sposób było odmówić logiki wywodom Honoriusza, lecz i tak nie była do końca przekonana. Poza tym uważała, że ktoś, kto wali drugą istotę pogrzebachem po głowie, powinien ponieść karę. Nawet jeżeli robił to w afekcie.

– Skoro nie zdecydowałaś się na wspólny obiad, może przekąsimy kolację? – Mond ostrożnie dotknął potylicy i lekko się skrzywił. – Chyba potrzebuję pokrzepienia porcją absyntu.

Allegra z trudem powstrzymała wybuch radości. Jej oczy zabłysły, a usta drgnęły w uśmiechu. Po chwili jednak zmarkotniała.

– Powinien cię zobaczyć lekarz – stwierdziła. – Może warto zrobić prześwietlenie...

– Przecież nic mi nie jest. To tylko stłuczenie.

– Straciłeś przytomność!

– Tracę ją niemal codziennie, gdy nachodzi mnie senność.

– Honri...

Mond nie zareagował. Szedł zamyślony, z całkowicie nieobecny spojrzeniem wbitym daleko przed siebie. Mimo że zbliżali się do CK Browaru, nie zamierzał się zatrzymać.

– Halo, Ziemia do Mortalisty Pierwszego Wspaniałego! – Allegra delikatnie chwyciła go pod ramię. – Czy to odpłynięcie to skutek uderzenia?

– Co takiego? Ach, nie, nie... Ja tylko...

– Co? Wpadłeś na coś?

Honoriusz pokręcił głową. Nagle oprzytomniały, skręcił ku schodom prowadzącym do restauracji. Gdy stanął na ich szczycie, zerknął na Szmit.

– Moja kuzynka... No tak – wybełkotał bezskładnie, jednak po chwili dodał: – Martwiła się. Jaki inny interes mogła mieć w tym, by do ciebie napisać? Rozumiesz? To jest coś całkowicie niezwykłego! Ludzkie osobowości bywają fascynujące nie tylko w przypadku seryjnych morderców. Chyba że uważa, że jestem na tropie Kanclerza i dlatego warto było mnie ratować...

## 66



Mond, nie radząc się Allegry, zamówił „płyte C.K. dla 2 osób”. Składały się na nią żeberka, ogromny wiener schnitzel i golonka z zapiekаныmi ziemniakami oraz kapustą zasmażaną. Nic z tych rzeczy nie było koszerne ani halal, ale zgadzało się ze standardami wspaniałej religii, jaką wyznawali prawdziwi smakosze, religii wybornych, tradycyjnych dań. Słyszając, jak Honoriusz składa zamówienie, Szmít lekko się skrzywiła, lecz po chwili uznała, że właściwie wszystko jej odpowiada. Była głodna, a eksperymenty z wegetarianizmem zarzuciła już jakiś czas temu.

– Do tego absynt, razy dwa – dodał Mond.

– Chcesz zamordować mój żołądek?

– Raczej rozpuścić tłuszcze. Absynt sprzyja trawieniu oraz... Patrz!

Honoriusz wskazał w stronę telewizora zawieszzonego niedaleko baru. Siedzieli w swoim ulubionym zakątku przy kolekcji rozmaitych kufli oraz pokali zwiezionych z terenów całego dawnego cesarstwa i dzieliło ich od ekranu kilkanaście metrów, mimo to materiał nie budził żadnych wątpliwości. Właśnie pokazywano leśną polanę, na której znajdowała się chata rzekomego przodka Kosińskiego.

– Głośniej! – powiedział Mond do przechodzącej obok kelnerki. – Proszę podgłośnić.

– Niestety...

Honoriusz natychmiast wstał i przedarł się do baru, gdzie niezmiennie królował Franc.

– Słońce monarchii! – zwrócił się do Honoriusza. – Czy cokolwiek domówić? Porcja podwójna to dziś zbyt mało jak na wygłodniałe galicyjskie żołądki? Należy się porcja potrójna, a nawet poczwórna? A może w brzuchu szanownej pani...

– Proszę włączyć dźwięk. – Mond skinął na telewizor, po czym błagalnie dodał: – Na chwilę.

– To wbrew regulaminowi...

– Pierwszy punkt regulaminu mówi: „Nasz klient, nasz pan”.

Franc szeroko się uśmiechnął, po czym sięgnął pod kontuar. Po chwili z głośników telewizora popłynęły słowa Maurycego Boniga. Reporter właśnie kończył relację o „ataku na współpracownika policji, którego dokonał potencjalny przodek Kuby Rozpruwacza”.

– Niech go szlag. – To była najcięższa zniewaga, jaka mogła paść z ust Monda, a tym razem wyrzucił ją dwukrotnie. Przyłożył chusteczkę nad górną wargę, po czym przeprosił. – On wszystko widział, a nie zareagował...

Szmit stanęła tuż przy nim i położyła dłoń na jego ramieniu.

– Co widział?

Mond skinął w stronę ekranu, lecz w tym momencie materiał się skończył i oddano głos do studia programu informacyjnego.

– Ta gnida była gdzieś ukryta. Czekwała, aż przyjadę, i obserwowała rozwój wypadków.

– Myślisz, że mógł to wszystko zaaranżować? Tylko dla sprzedawalności?

– Nie byłby to jego pierwszy raz.

Allegra ponuro musiała się z tym zgodzić. Po chwili jednak naszła ją jakaś myśl.

– Ale przecież w tamto miejsce skierowała cię twoja kuzynka, prawda? Domyślam się, że to dzięki niej dotarłeś do tego człowieka?

Mond zdał sobie sprawę, że Szmit nie ma pojęcia o meandrach jego rozumowania, które zaprowadziło go do Kościńskiego. Streścił je

w kilku zdaniach, po czym wrócił do stolika. Odsunął jej krzesło i zaczekał, aż usiądzie. W tym samym momencie Franc przyniósł im absynt. Wbrew zwyczajom, widząc ponurą minę Honoriusza, nawet nie próbował rozładowywać napięcia swoimi oratorskimi popisami.

– Swoją drogą, ten człowiek nie ma żadnych cech antropometrycznych mordercy – dodał Mond. – Kształt jego twarzy wskazywałby nawet na statystycznego półgłówka. Coś jak Szwejk w książce Haška.

– Wierzysz w antropometrię? Przecież to prawie to samo co nazistowska eugenika i...

– Wierzę w statystykę. A ta potwierdza powszechność pewnych cech. – Mond jednym haustem wypił całą zawartość kieliszka, po czym jeszcze raz zerknął na ekran telewizora. Emitowano już całkiem nowy materiał. – Zresztą, mniejsza z tym... Statystyka to nauka o przeciętności.

Machnął ręką i nagle przytknął palce do skroni. Jednak tym razem nawet się nie skrzywił. Zastąpienie jednego bólu, który miał niezrozumiałe podłoże, innym – o wiadomym źródle – nie było wcale tak złe. Mimo to po chwili jego myśli podążyły ku Bonigowi i kuzynce. Przerwała je dopiero ogromna taca pachnących dań, która wylądowała na stole między nim i Allegrą. Aby lepiej je strawić, poprosił o jeszcze dwie dodatkowe porcje absyntu. Marzył o tym, by ten trunek, jak dawniej, uporządkował chaos jego skojarzeń. Zdawało mu się, że jest bliski uchwycenia przełomowego sedna. Po chwili jednak odgradzała go od niego bezlitosna ściana bólu. I tak w kółko. Bez końca.



Jakikolwiek marsz pogrzebowy zagrany na szpinecie brzmi co najmniej zaskakująco. Szczególnie zaskakująco brzmi marsz pogrzebowy Chopina. Lekkie, zdawać by się mogło, wesołe dźwięki niosą mocne, ponure przesłanie. Pozorna sprzeczność jest nadzwyczaj fascynująca,



dzięki niej każda muzyka zyskuje nowe pole do interpretacji oraz improwizacji.

Mond w pełnym skupieniu wsłuchiwał się w melodię. Grał nieco wolniej, niż nakazywało tempo, by jeszcze bardziej podbić charakter utworu. Nie miał tak dobrego słuchu jak jego kuzynka, lecz muzykalność była powszechna w jego rodzinie i właściwie każdy jej członek grywał na jakimś instrumencie. Swego czasu uważano, że Honoriusz ma szansę na prawdziwą karierę pianisty, ale ani on się do niej nie palił, ani nie palili się do jej wspierania jego rodzice. Korepetytorzy musieli zadowolić się prywatnymi koncertami oraz hojnym wynagrodzeniem za swój wkład w rozwój chłopca. Ten bowiem rozwijał się nadzwyczaj sprawnie.

Był krótki okres w życiu młodego Monda, gdy na jego własną prośbę pozwolono mu grywać w cmentarnej kaplicy. Czystość dźwięków oraz powaga malca sprawiły, że asystował w uroczystościach pogrzebowych oraz nabożeństwach. Szybko się jednak tym znudził, a współczesny kanon muzyki sakralnej uznał za emanację piekła na ziemi. Przyczyniały się do tego elektroniczne, współczesne sprzęty oraz fatalna akustyka budynków wznoszonych w ostatnich dekadach. Dlaczego nie grywano prawdziwych requiem? Jeśli nie Mozarta, to chociaż Verdiego lub Faurégo. Poza tym pogrzeby były potwornie nudne i przewidywalne. Znacznie ciekawiej było obserwować ojca przy jego wyjątkowej, artystycznej pracy.

Czy mordercy, tacy jak Kuba Rozpruwacz lub jego naśladowca, uważali swoje zbrodnie za dzieła sztuki? Czy mogli traktować zabójstwa jako przejaw artyzmu? Upozowanie zwłok, wyrwane organy, oszpecone twarze, to wszystko określało jakiś rys twórczy, ale gdyby analizować to w ten sposób, doszłoby się do wniosku, że każde, absolutnie każde działanie jest przejawem artyzmu. Estetyka to przede wszystkim sprawa gustu.

W takim razie, jeśli nawet nie spoglądać na zbrodnie Kuby Rozpruwacza jako na sztukę, to czy mogło nią być naśladownictwo? Wbrew pozorom Mond dostrzegł w tym jakiś niezwykle kontekst, jakiś wkład dodający coś więcej ponad zwykłe, odrażające mordowanie.

Cicho westchnął i ponownie skupił się na muzyce. Nie miał bladego pojęcia, kiedy zaczął grać temat jednej z operetek Arthura Sullivana. Podświadomość potrafiła podsuwać ciekawe rozwiązania, dlatego nie powinno dziwić, że mimowolnie przerzucił się z chopinowskiego marsza na muzykę wiktoriańską, do tego w jej najczystszej postaci.

Z zadumy wyrwało go nagłe stukanie. Gdy zawiesił palce tuż nad klawiszami szpinetu, stukanie powtórzyło się ze zdwojoną siłą. Dochodziło od strony okna wchodzącego na balkon. Mond spojrzał w jego stronę, ale nie dostrzegł nic niezwykłego. Choć zasłony były rozsunięte, odbijał się w nich oświetlony przez dwie świece pokój. Honoriusz dmuchnął, gasząc dwa pełgające płomienie.

Ponownie odwrócił się do okna i zamarł w bezruchu. Spoglądał w demoniczną, upiornie wykrzywioną twarz

## DZIEŃ NASTĘPNY

68



Mond zamrugał i podniósł głowę. Wokół panowała ciemność, a powietrze było przesiąknięte zapachem dopalonych świec oraz rozgrzanego metalu świeczników. Zamrugał raz jeszcze i powoli spłynęła na niego świadomość czasu oraz miejsca. Znajdował się w swoim pokoju, w Hotelu Francuskim, siedząc na stołku przy szpinecie. Zasnął z głową wspartą o dłoń, a tylko jakimś cudem nie spadł na podłogę.

Upiorna twarz musiała być tylko snem. Choć jednocześnie przecież wydawała się tak bardzo realna. Honoriusz powoli wstał i rozmasował skronie. Zerknął na stojącą na okrągłym stoliku szklanę z zielonkawym osadem. Jak przez mgłę pamiętał, że uraczył się solidną porcją absyntu.

Spojrzał na zawieszony nad sekretarzykiem wiedeński zegar latarniowy. Osobiście przeprowadził jego renowację i mógł być dumny z efektu. Blade światło poranka wspaniale mieniło się rozproszone w frezowanym, oryginalnym szkłe. Dochodziła już szósta.

Honoriusz podszedł do drzwi balkonowych i starannie je obejrzał. Ani na nich, ani na tarasie nie było śladów obecności intruza. Choć płytki były całkowicie suche, omiecione przez wiatr z kurzu i pyłu. Gdyby ktokolwiek go obserwował, nie zostawiłby żadnych śladów. Tylko jakim cudem dostałby się na balkon?

Ale przecież ta twarz, choć upiorna, wydawała się taka realna...

Ta myśl prześladowała go raz po raz, nakłaniając do jeszcze staranniejszych oględzin okien oraz drzwi. Jedno ze skrzydeł wydawało się co prawda nienaturalnie odchyłone, jakby z zewnątrz wepchnięto coś między framugę a ramę, ale równie dobrze mogła to być kwestia wieku

oraz wypaczenia drewna. Budynek znajdował się pod opieką konserwatora i stolarka, choć starannie odnowiona, częściowo została zachowana w oryginalnym stanie.

– Bzdury... – wymamrotał Mond. – Ale czasem i bzdury trzeba spróbować zrozumieć.

Starannie zamknął wszystkie okna, po czym udał się do łazienki. W trakcie porannej toalety starał się odtworzyć fragmenty nocnych skojarzeń oraz myśli. Jak to często bywa, nie potrafił choćby w przybliżeniu oszacować pory, o której zasnął. Mankamenty oraz ograniczenia własnego umysłu niezmiennie go irytowały. Chciał wzbic się ponad te zwyczajowe, wydawało się kompletnie trywialne granice, ale nie był w stanie.

Czy ćwiczenia własnego umysłu nie były rodzajem eugeniki? Ta myśl przywiodła mu wspomnienie wczorajszej rozmowy z Allegrą oraz jego koncepcji antropometrycznych. Kuba Rozpruwacz, Rozpruwacz z Podgórze, Kościńscy, Bonig... Czy w ich rysach można było wyczytać wizerunek bezgranicznego zła? A może zamiast cech fizycznych należało skupić się na psychice... Nie. On powinien zrobić to tak, jak to robił zawsze. Zgodnie z metodą obdukcijną, tym bardziej że do dyspozycji miał przecież zwłoki kolejnych ofiar oraz miejsca ich odnalezienia.

Ubrał się i zszedł do restauracji. Właśnie rozpoczynano serwowanie śniadania, a z głośników radia dolatywał cichy szmer melodii rozpoczynającej program informacyjny.

– Tajemniczy list do policji, wysłany prawdopodobnie przez Rozpruwacza z Podgórze – zapowiedział spiker. – Czy morderca zamierza pogrywać ze śledczymi? Czy możemy spodziewać się kolejnych ofiar?

List. Na to słowo Mond drgnął i, rezygnując ze śniadania, skierował się do wyjścia.



W drodze na parking Mond po raz pierwszy tego dnia zerknął na telefon. Wyciszył go poprzedniego dnia po powrocie z CK Browaru i dopiero teraz dostrzegł nieodebrane połączenie od Berga. Komisarz dzwonił przed kilkunastoma minutami, co nie mogło stanowić jedynie zbiegu okoliczności z informacją podaną w radiu.

Gdy Mond ulokował się w aucie, postanowił niezwłocznie oddzwonić. Berg jakby tylko na to czekał. Odebrał natychmiast.

– Przyjedź tu jak najszybciej – wycedził bez jakiegokolwiek powitania.

– Mam nadzieję, że nie zajmujesz się teraz kremowaniem szczonego truchła w jakiejś piwnicy... A nawet jeśli, rzucaj to w diabły i przyjeżdżaj tu natychmiast.

– „Tu” to dość szerokie określenie. Przypuszczam, że chodzi o komisariat.

– Twoja dedukcja jak zawsze mnie powala, Mortalisto.

– Czy zdradzi mi pan coś więcej? Zanim przyjadę, miałbym czas do namysłu...

– Namyślimy się wszyscy razem.

– Ale...

– Dość – ostro uciął Berg. – Nie wiem, czy dobrze robię, angażując cię w tę sprawę, ale zabrnęliśmy już za daleko. Pamiętaj tylko, że na ręce patrzają nam służby połowy Europy. Media zresztą też...

– Zawsze działałam w białych rękawiczkach.

Uwaga Monda sprawiła, że komisarz parsknął i odłożył słuchawkę. Tymczasem Honoriusz, wykorzystując wczesną porę, przedzierał się przez ulice Krakowa w ekspresowym tempie. Intensywnie się zastanawiał, czego może dotyczyć list i jakim cudem już dowiedziały się o nim media. Ostatnie sprawy morderstw stawały się stanowczo zbyt dobrze i zbyt szybko znane dziennikarzom. Teraz to było jednak mało istotne.

W czasach wiktoriańskich listy stanowiły najprostszą formę komunikacji na odległość. Sprowadzały się do niej również wszelkie

anonimy oraz donosy. W czasach obecnych możliwości było znacznie więcej, a jednak ewentualny naśladowca, o ile list pochodził rzeczywiście od niego, postanowił zdać się na tradycyjne metody. Jednak nie to frasowało Honoriusza w sposób szczególny. Jego uwagę przykuwało coś całkowicie innego. Nie chcąc zwlekać z uzyskaniem odpowiedzi, ponownie wybrał numer komisarza.

– Co jest? Nie mów, że nie przyjedziesz albo...

Mond wszedł mu w słowo.

– Proszę mi tylko powiedzieć, jakim kolorem atramentu sporządzono ten list?

– List? A więc już o nim wiesz?

– Zdarza mi się posłuchać wiadomości.

Berg ciężko sapnął.

– Użyto zielonego tuszu – rzucił nerwowo. – A czy ma to jakiegokolwiek znaczenie?

Honoriusz zabębnił palcami w kierownicę i zagryzł usta.

– Być może, komisarzu – stwierdził po chwili. – Będę za kilka minut.

Tym razem to on się rozłączył.

## 70



W sali konferencyjnej poza Bergiem było dwóch policjantów oraz policjantka. Mond minął się w progu ze znaną mu z widzenia laborantką, ukłonił się, po czym wszedł do środka. Spojrzał na ustawioną pośrodku tablicę z kilkoma nakreślonymi hasłami oraz na porozkładane na kilku stołach sterty dokumentów, wydruków i zdjęć. Tu i ówdzie stały puste kubki po kawie oraz kilka opakowań po pizzy.

– Widzę, że mieliście tu wczoraj niezłą pohulanę – skwitował, zerkając po zebranych. Policjanci ponuro się do niego uśmiechnęli.

– Nie na darmo wzywam firmę sprzątającą – odparował Berg. – Nasza wewnętrzna sprzątaczką nie dostała akredytacji.

Mimo kilku wesołych parsknięć Mond nie podłapał tego żartu. Wbił wzrok w komisarza, lecz zatrzymał się kilka kroków od niego.

– Nie sądzę, aby miał pan ochotę, bym sprzątał po panu jakiegokolwiek brudy – stwierdził cierpko. – Ale to może nazbyt osobiste wrażenie.

– Nie obruszaj się, Mortalisto...

– Obruszać się? To nie moja domena, komisarzu. – Mond uśmiechnął się blado, ale zaraz zacisnął usta. Odchrząknął i ponownie łypał na Berga. – Jak sądzę, list był zaadresowany właśnie do pana?

Berg niechętnie skinął głową.

– Ktoś go wrzucił do skrzynki publicznej i listonosz przywłókł to zgniłe jajo razem z wczorajszą pocztą. Nie da się ustalić, gdzie konkretnie list został nadany, ale musiano to zrobić wczoraj. Do moich rąk trafił dziś z samego rana...

– Najlepsze są klasyczne metody.

– Co takiego?

– Mówię, że klasyczne metody nigdy nie zawodzą. – Honoriusz rozpiął płaszcz i wsunął dłonie do kieszeni. – Mail można namierzyć, tak samo eemes albo wiadomość obrazkową, ale list to kompletnie inna bajka. Czy mógłbym go teraz zobaczyć?

– Nie zobaczy go pan. Przynajmniej nie oryginał, bo ten pojechał do laboratorium.

– Rozumiem, że mamy zdjęcia?

– Aż zbyt wiele.

Berg z zaciśniętymi ustami podał mu komplet fotografii. Widniały na nich rozmaite ujęcia wiadomości nakreślonej dziwnym, rozedrganym pismem. Przed wczytaniem się w treść Mond skupił się na szczegółach dotyczących samego nośnika danych, jak określiliby to informatycy.

– Czy użyto normalnego papieru? Wydaje się nadzwyczaj biały, choć może to kwestia użytej lampy błyskowej aparatu lub oświetlenia.

– Jak na mój gust to fragment najzwyklejszego brulionu.

– Ale atrament... – Honoriusz zmarszczył czoło i spojrzał na wydruki pod światło. – Litery są jakby wilgotne, kreski szerokie i nierówne. Ktoś pisał to bardzo wolno, modulując nacisk pióra oraz sprawiając, że tusz się lekko rozlewał. To niemal całkowicie uniemożliwia analizę porównawczą z naturalnym pismem.

Policjanci uważnie przysłuchiwali się wymianie zdań komisarza i Monda. Choć zazwyczaj ich stosunek do zewnętrznych współpracowników był wyjątkowo chłodny, znali dokonania Mortalisty i szanowali go. Być może nawet pokładali w nim istotne nadzieje.

Honoriusz odwrócił się plecami do sali i skupiony przeczytał dwukrotnie treść listu.

*Czasem dobro i zło się równoważą. Mrok miewa swą jasną stronę, a jasność mroczną. Ofiary bywają zabójcami, a zabójcy ofiarami. Wszystko przecież musi wyjść zupełnie na zero. Wszak to, co pod ziemią, nad ziemię wchodzi. A i to tylko po to, by zachowana została niebiańska symetria. Już raz była wieść z dołu, panie Lusk, czas na odbicie. Kiedyś śmierć, dziś jest początkiem, jego monogram – moje lustrzane odbicie.*

W sali panowała niemal kompletna cisza. Słyszał się jedynie brzęczenie starej jarzeniówki oraz cichy cyk kwarcowego zegara. Berg nie mógł opanować ciekawości. Podeszedł do Monda i zerknął mu przez ramię, jakby spodziewał się, że list nagle zmienił treść.

– I co o tym sądzisz, Mortalisto?

– Sądzę, że to bardzo interesujące.

– Ma pan na myśli ofiary wstające z grobów czy ten poetycki fragment o symetrii? – Berg z irytacją pokręcił głową. – To nie jest interesujące, tylko kompletnie pozbawione sensu.

– Mam na myśli coś całkowicie innego – stwierdził Mond. Pstryknął palcami i wskazał na jednego z policjantów stojących w głębi pomieszczenia. – Czy mogę prosić o kartkę i długopis?

– Oczywiście. Chwileczkę...

– A także encyklopedię. Choć równie dobrze może mi pomóc ktoś sprawnie poruszający się w odmętach internetu.

Mond w zadumie zagryzł wargę.





– Fragment o Lusku odnosi się do „Listu z piekieł” przypisywanego Kubie Rozpruwaczowi. Ostemplowany piętnastego sierpnia tysiąc osiemset osiemdziesiątego ósmego roku, został wysłany do George’a Luska, przewodniczącego samowolnych strażników obywatelskich dzielnicy Whitechapel. Gwoli ścisłości, załączono do niego połowę zakonserwowanej ludzkiej nerki.

Mond prosił o wyszukanie w internecie kolejnych haseł, a wyniki skrętnie zapisywał na kartce. Jednocześnie pokrętnie wyjaśniał swój tok rozumowania, choć zdawało się, że nikt za nim nie nadaża.

– List, który pan otrzymał, komisarzu, jest napisany bardzo ładnym językiem. To nie pasuje do nadawcy „Listu z piekieł”, który, abstrahując od tego, że sformułowano go po angielsku, charakteryzował się poziomem niemal analfabetycznym. Słowa pozapisywano fonetycznie, często bez składu i ładu, choć pismo było dość czytelne...

– Chyba nie zamierzamy rozszerzyć kręgu podejrzanych na autorów anonimów sprzed półtora wieku.

Uwaga Berga wywołała nerwowe śmiechy zebranych. Jednak Mond zdawał się jej w ogóle nie słyszeć. Poprosił o telefon z włączoną wyszukiwarką internetową i wertował kolejne hasła. Ze zręcznością zonglera obracał jednocześnie między palcami długopisem. Dostęp do sieci w telefonie wyraźnie mu się podobał. Wreszcie zaczął coś cicho mruzczyć i chodzić to w jedną, to w drugą. Policjanci obserwowali go niczym przybyli do zoo turyści, którzy po raz pierwszy widzą zwierzęce kuriozum.

Nagle Honoriusz się zatrzymał i oddał telefon stojącemu obok policjantowi. Zerknął na kartkę, po czym stanowczym gestem złożył ją

na pół. Jego oczy się rozjaśniły, a na ustach pojawił się delikatny uśmiech.

– Wszystko zdaje się jasne – mruknął.

– Jasne? – Berg parsknął. – No, śmiało, w takim razie rozświetl naszą głupotę, o Wielki Mortalisto.

– Ten list należy czytać niemal dosłownie. Pominąwszy fragmenty samochwalstwa oraz tłumaczenia motywów... Te, przynajmniej na razie, są kompletnie nieistotne.

– Na razie?

– Mamy mało czasu. – Mond poprawił kapelusz i ruszył do wyjścia. – Musimy się śpieszyć, panie komisarzu. Niech pan czym prędzej zorganizuje ludzi gotowych zetknąć się z mordercą, który jest gotowy na wszystko. Ale dla pewności poproszę jeszcze o mapę Krakowa... I to natychmiast. No, chodźcie, chodźcie, panowie!

## 72



– Możesz mi wytłumaczyć, o co w tym wszystkim chodzi?

Berg zerknął na Honoriusza i ukradkiem poprawił pas. Choć jaguar Monda wydawał się bezpieczny, pędzili ponad setkę na bardzo zatłoczonej drodze. Co prawda eskortowały ich radiowozy, ale komisarz żałował, że nie wymusił na Mortaliście, by sami również wsiedli do jednego z aut policyjnych. Mond był jednak nazbyt uparty. Gdy znaleźli się na parkingu i ktoś pokazał mu wielką, turystyczną mapę Krakowa, niemal stracił kontakt ze światem. Osunął się w nieznane krainy własnych myśli, wsiadł do auta i dał znać, by Berg jechał wraz z nim. Nie było czasu na perswazje albo polemikę. Cud, że pośpiesznie wytypowana grupa wyruszyła jednocześnie z nimi. Stawało się to szczególnie istotne w kontekście sugestii Honoriusza, że lada moment mogą się zetknąć z Rozpruwaczem z Podgórze. Tym bardziej jeśli

morderca miałby zostać przyłapany na gorącym uczynku i postawiony pod ścianą.

Mond zerknął na nawigację i jeszcze przyspieszył. Od celu dzieliło ich ledwie dziewięćset metrów, jednak w tym miejscu poranny ruch zasadniczo spowalniał jazdę. Na widok stroboskopów kierowcy usiłowali zjeżdżać na boki, ale metalowe bariery utrudniały znalezienie miejsca przez prowadzących większe pojazdy. Mimo to Honoriusz jakimś cudem przeciskał się o milimetry od zderzaków i lusterek innych aut. Był naprawdę dobrym kierowcą.

Wreszcie, gdy wypadli na nieco mniej zakorkowany fragment ulicy, Mond spokojnie naciągnął koniakowe rękawiczki. Z kamienną twarzą przelotnie zerknął na Berga. W końcu ponownie spojrzął na ekran nawigacji i skupił się na prowadzeniu.

– Wszystko zaczęło się od ostatnich linijek oraz adresu, rozumie pan? – odezwał się wyraźnie, usiłując uporządkować własne myśli. – Jako punkt wyjścia możemy potraktować wers „jego monogram – moje lustrzane odbicie”. Skoro mamy Kubę Rozpruwacza, pomyślałem o inicjałach RK.

– Przychodzi mi na myśl Robert Kubica albo Roman Kluska...

– Patrzy pan na to ze złej perspektywy. Naśladowca chce widzieć ciągłość z Kubą Rozpruwaczem we wszystkim, co robi. To obsesja.

– Chyba nie nadażam.

– Dlatego trzeba się skupić na innym wersie. „Kiedyś śmierć, dziś jest początkiem”. To pewna metafora, chyba że Kuba Rozpruwacz rzeczywiście zmarł w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym pierwszym, ale za śmierć można uznać również koniec jego zbrodniczej działalności.

Berg westchnął i zacisnął dłonie na kolanach.

– I dlatego za początek uznał pan datę czyichś urodzin? Wtedy wystarczyło nanieść inicjały na konkretne lata i w ten sposób trafił pan na Rudolfa Ksandra urodzonego w roku, w którym Rozpruwacz popełnił ostatni mord. Stąd adres z nawigacji...

– Zgadza się, to chyba całkiem jasne, prawda? Ksander był wojskowym, komendantem komendy uzupełnień, o którym czytałem jakiś czas temu... Wtedy wystarczyło zweryfikować dalsze informacje.

– Za pomocą mapy?

– I spisu ulic. – Mond gwałtownie zahamował. Przed nimi utworzył się kompletnie nieprzejezdny korek. – Co jest, u licha?

– Wypadek... – dobiegło z nadajnika przypiętego do pasa Berga. – Nie mamy jak go objechać. Musimy wycofać.

– Kurwa! – zaklął komisarz. – Niech to diabli!

Mond bez słowa komentacza powoli zawrócił i zaczął mozolnie lawirować między pojazdami. Zabrało to niemal kwadrans, po którym znaleźli się na alternatywnej drodze do celu.

– Szybciej by było pójść na piechotę... – zauważył, objeżdżając duży plac i pokonując kilkadziesiąt metrów po chodniku. – Ale oto... jesteśmy na miejscu.

– Ulica Rudolfa Ksandra.

– „Wszak to, co pod ziemią, nad ziemię wchodzi”.

Te ostatnie słowa Mond wypowiedział, wyskakując z jaguara. Po chwili rzucił się ku metalowej bramie. Kilkoro policjantów podążyło za nim.

## 73



– Chryste...

Berg wyprzedził Monda i wyciągnął z kabury pistolet. Dał znać, by Honoriusz trzymał się z tyłu. Sam przepuścił trzech policjantów z ekipy uderzeniowej, nie tylko ciężiej zabezpieczonych, ale również wyposażonych w krótkie, półautomatyczne karabinki. A należało spodziewać się wszystkiego.

– Teraz to jasne. Ten psychol dosłownie słowo po słowie zdradził, co zamierza zrobić...

– I gdzie – dodał Mond. – W przeciwnym razie ten list nie miałby sensu.

Przed kilkoma sekundami weszli na teren nieczynnego poza sezonem Górskiego Parku Rozrywki. Został on założony na wydzielonej przestrzeni, pośród drzew. Łączyły je liny oraz wyciągi pozwalające cieszyć się jazdą na tak zwanych „tyrolkach”. Poza tym tu i ówdzie znajdowały się drabinki linowe oraz ścianki do wspinaczki. Park musiał zostać zamknięty całkiem niedawno, gdyż drewniana budka, służąca za kasę, obklejona była jeszcze całkiem świeżymi plakatami informującymi o najnowszych atrakcjach oraz promocjach.

Miejsce wydawało się doskonałe z punktu widzenia zbrodniarza. Znajdowało się nieco na uboczu, główna brama prowadziła od wąskiej, niemal nieuczęszczanej uliczki i to tam policjanci odkryli wyłamana kłódkę. Poza tym poza sezonem okolica była całkowicie odludna. Można było działać powoli i mając pewność, że nie pojawi się tu żaden niepożądany gość.

– „Wszak to, co pod ziemią, nad ziemię wchodzi. A i to tylko po to, by zachowana została niebiańska symetria. Już raz była wieść z dołu, panie Lusk, czas na odbicie”.

Zacytowane przez Monda słowa sprawiły, że Berg mimowolnie się wzdrygnął.

– Nie każ mi tego interpretować – bąknął.

– Te słowa również wydają się oczywiste. Zero miejsca dla wyobraźni.

Mond miał ponurą minę. Podniósł rondo kapelusza i powoli rozglądał się po okolicy. Lustrował kolejne sprzęty rozpięte pomiędzy koronami drzew oraz pojedyncze maty asekuracyjne. Większość z nich musiała zostać zebrana i schowana na zimę. Zostały tylko te przytwierdzone do podłoża i odporne na warunki atmosferyczne. Jednak również z nich w znacznej części spuszczone powietrze lub wypełniający je gaz.

– Chryste... – powtórzył Berg. – Co teraz?

– Za moment wszystko stanie się jasne. Jednak obawiam się, że...

Mond nie dokończył. Przerwał mu krzyk dobiegający z radioodbiornika Berga.

– Mamy ją! Teren czysty... O Boże!



Mond, nie zważając na Berga, pędził ku miejscu, gdzie przed niespełną minutą między drzewami znikli policjanci. Gnał ile sił w nogach. Przeskoczył rów wypełniony wodą, który najwyraźniej miał amortyzować ewentualne upadki z liny. Teraz wypełniały go opadnięte, zgniłe liście oraz szlam. Honoriusz zaczerpnął tchu i się rozejrzał. Po chwili dostrzegł ruch pomiędzy kilkoma świerkami. Ich zimozielone igły stanowiły doskonałą osłonę, przez którą trudno było cokolwiek dojrzeć. W momencie, gdy skierował się w ich stronę, Berg znalazł się tuż przy nim.

– Stój, do diabła! – nakazał, usiłując chwycić go za ramię, lecz Mond sprytnie uskokczył.

– Słyszał pan, że teren jest czysty.

– I słyszałem ton, jakim wypowiedzieli kolejne słowa. Halo? Halo?

Komisarz dwukrotnie odezwał się do nadajnika, ale nikt mu nie odpowiedział. Zrezygnowany podążył za Mondem w stronę świerków. Po chwili znaleźli się na niewielkiej polanie, ponad którą rozpostarte były liny oraz rozciągnięte w poziomie sznurowe drabinki.

– No to pięknie...

Berg powiódł wzrokiem za spojrzeniem Honoriusza. Niedaleko od nich stali trzech funkcjonariusze. W górze nad nimi znajdował się drewniany podest, z którego zwieszała się jedna z tyrolek. Rozpięta na kołowrotku lina prowadziła dalej, ku... Prosto ku szyi skrępowanej, zakneblowanej kobiety. Szczupła brunetka ubrana była w jeansy oraz luźną kurtkę, a jej włosy rozwiewał wiatr. Znajdowała się około dwudziestu metrów nad ziemią, mniej więcej na wysokości siódmego piętra budynku. Punkt zjazdowy stanowił najwyższą położoną atrakcją całego parku rozrywki, oznakowano go czerwoną taśmą oraz tabliczką z informacją: „Tylko za specjalnym pozwoleniem”.

– Dlaczego jej nie ściągniecie? – Berg ruszył w stronę policjantów. – Co jest?

Mond zacisnął usta i również podbiegł w ich stronę. Momentalnie zrozumiał, o co chodzi. Dwóch funkcjonariuszy szamotało się z przedmiotem przypominającym budzik. Został on przytwierdzony do naprężonej liny, ciągnącej się dalej ku tyrolce, do której przywiązano kobietę.

– To odmierza czas – wyszeptał jeden z policjantów. – Mamy...

– Pół minuty – dokończył za niego drugi.

Mond momentalnie znalazł się przy budziku. Nie trzeba mu było tłumaczyć, do czego służy mechanizm czasowy. Natychmiast zrozumiał intencje sprawcy i pojął, że nie mają czasu do stracenia.

– Szybciej! – krzyknął, wykonując niedbały ruch. – Przesuńcie tamten materac! Pod drzewo!

Nie trzeba było tego dłużej tłumaczyć. Policjanci w ułamku sekundy dopadli do wielkiego materaca, z którego spuszczone większość powietrza. Niestety, zgodnie z obawami Monda był on przytwierdzony do gruntu specjalnymi kotwami.

Dziesięć sekund.

Honoriusz błyskawicznie rozglądał się wokół. Zerknął na przerażoną, płaczącą kobietę. Knebel tłumiał jej krzyk, ale mimo wysokości Mond miał wrażenie, że słyszy jej szloch.

Zniszczenie budzika stanowiło jedyny sposób, aby ją uratować. Jednak przedmiot przygotowano starannie, chałupniczo zamykając go w specjalnej metalowej ramie. Nie było miejsca, aby próbować cokolwiek działać nawet wystrzałami z karabinu. Poza tym uszkodzenie mogło przynieść skutek odwrotny do...

Trzy sekundy.

Mond nie miał złudzeń. Wszystko zostało zaplanowane tak, by nie zdążyli. Chyba że... Tej myśli nie dokończył.

Sekunda.

Metalowa zapadka ze szczękiem oznajmiła upływ czasu. Tyrolka została zwolniona, a zawieszona na linie kobieta runęła w przepaść.



W pierwszym odruchu Mond rzucił się w stronę kobiety. Znajdował się kilkanaście metrów niżej, ale i tak postanowił spróbować ją złapać. Jego ciało mogłoby przynajmniej zamortyzować upadek. Połamanie kończyn dwóch osób i tak byłoby lepsze niż śmierć jednej z nich. Kalkulacja wydawała się prosta, ale po chwili pojawiły się nowe okoliczności.

Honoriusz spodziewał się, że pętla oplatająca szyję kobiety pęknie. Choć nie miał żadnych konkretnych przesłanek, że tak będzie, po prostu był o tym przekonany. Być może wynikało to z kalkulacji, że ani Kuba Rozpruwacz, ani jego naśladowca nigdy nie pozwalali, by śmierć ich ofiar była zbyt szybka i mało spektakularna. Dlatego Mond przez kilka sekund ze zdziwieniem obserwował, że skrępowana trzydziestolatka rzuca się, usiłując zaczerpnąć tchu. Tyrolka sunęła do przodu, przesuwając jej ciało ponad szczytami kolejnych niższych drzew. Honoriusz nie miał szansy za nią nadążyć ani choćby przewidzieć, gdzie znajdzie się za chwilę. To okazało się jednak całkowicie zbędne.

W momencie, gdy pokonał kilkadziesiąt metrów ze wzrokiem wbitym w górę, wydało mu się, że zwieszona kobieca sylwetka nagle się wydłużyła. Natychmiast uświadomił sobie, co się dzieje. Zatrzymał się i gwałtownie uniósł dłoń.

– Stójcie... – wycedził, zatrzymując policjantów. – To bez sensu...

Dopiero wtedy wszyscy zrozumieli, o co chodzi. Stalowa linka oplatająca szyję kobiety naprężyła się, ciężar ciała przeważył nad oporem stawianym przez skórę i pętla zadziałała niczym gilotyna. Rozległ się krótki, rżący krzyk, chlusnęła krew, po czym ułamek sekundy później na ziemię runęło oddzielnie ciało, a oddzielnie głowa kobiety. Ta ostatnia, niczym piłka, uderzyła o podłoże, odbiła się



i potoczyła jeszcze o kilka kroków po niewielkim zboczu. Ciemne włosy owinęły się dokoła niej niczym upiorna plecionka.

To wystarczyło, by jeden z wielkich, uzbrojonych po zęby policjantów zatrzymał się w pół ruchu i ledwie zdążywszy podnieść przyłbicę kasku, zwymiotował.

– Jasna cholera... – przekleństwo Berga również miało dziwny, szorstki wydźwięk.

Tymczasem Mond jak zwykle wydawał się niemal nieporuszony. Przez jego twarz przemknął ledwie zauważalny grymas bardziej wskazujący na zaniepokojenie i rozgniewanie niż zniesmaczenie. Ściągnął kapelusz, po czym cicho coś wymamrotał. Powolnym krokiem ruszył w stronę odciętej głowy. Ukłął o kilka metrów od niej i ciężko westchnął. Z irytacją zabębnił palcami o kolana, a następnie szybko się podniósł.

Zerknął na leżące nieopodal zakrwawione ciało, na rozrzucone na boki nogi oraz skrepowane za plecami ręce. Następnie przeniósł wzrok na Berga, który starał się dojść do siebie. Schował pistolet do kabury i blade jak kartka papieru szukał dłonią radiodbiornika.

– Halo? Potrzebuję wsparcia – wyszeptał. – I techników...

– Co się stało? – wyskrzecztał głośnik.

Mond wyprostował się i ponownie nałożył kapelusz.

– Tragiczne skutki korzystania z parku linowego poza sezonem – stwierdził całkowicie poważnie.

## 76



Mond przechadzał się to w jedną, to w drugą. Przyglądał się pracy kryminalistów, wreszcie zaczął zataczać kolejne koła i zatrzymywać się kilkanaście metrów dalej niż poprzednio, by objąć wzrokiem cały teren z nieco innej perspektywy. Cały proceder powtórzył kilkanaście razy. Ubrany był w kombinezon ochronny, co stanowiło bezwzględny

warunek, by mógł się poruszać po miejscu zbrodni przed zakończeniem pracy techników.

Berg, mimo usiłowań, nie mógł z niego wydobyć ani słowa. Dopiero gdy zwłoki zostały starannie obfotografowane, Honoriusz zaczął coś cicho mamrotać. Nagle spojrzał na komisarza i poprawił kaptur niedbale zarzucony na kapelusz. Z powodu jego uporu przynajmniej nikt nie kazał mu go zakładać.

– A jeśli to ktoś inny? – zapytał z błyskiem w oczach. Błysk ten jednak momentalnie zgasł i Mond zawrócił na pięcie. Po chwili odezwał się do kryminalistyków: – Mogę już podejść do ciała?

Pracująca na miejscu kobieta wstała z klęczek i uniosła w jego stronę kciuk. Honoriusz nie czekał ani chwili. Jeszcze szybszym niż zwykle krokiem ruszył w jej stronę.

– Tylko uważaj! – przestrzegł go szpakowaty mężczyzna w kombinezonie zapiętym pod samą szyję oraz z całym arsenałem masek chroniących twarz.

– Wiem, co robię.

Mond swoim zwyczajem wyciągnął dłoń i, nie zważając na przerażone spojrzenia techników, przeciągnął nią kilka centymetrów nad pozbawionym głowy korpusem. Przymknął oczy i głęboko się zamyślił. Analizował ostatnie chwile życia kobiety. Sposób, w jaki skrupowano jej ręce oraz przymocowano aktywator czasowy. To wszystko doskonale do siebie pasowało. A jednak wyłamywało się z dotychczasowego schematu działalności Rozpruwacza z Podgórza.

– Sprawca uciekł tuż przed naszym przybyciem – odezwał się nagle. – Regulator czasowy przewidywał rezerwę zaledwie dziesięciu minut. Przybyliśmy o pięć minut za późno.

– Pięć minut? – Berg parsknął. – Skąd wiesz?

– Morderca niemal pozwolił się złapać. Nie po to wysłał list, aby mieć nad nami nieosiągalną przewagę. Czekał tu... A może...

Mond nagle otworzył oczy i przesunął się o pół kroku. Spojrzał na okolice klatki piersiowej kobiety. Na jasnej kurtce widoczny był ślad krwi o nieco innym odcieniu niż ogromne rozbryzgi wokół kołnierza.

– Wkłucie w serce – wyszeptał. – A więc to na pewno on.

– Możesz jaśniej?

– Chciał, żebyśmy mieli szansę go złapać.

Berg odkaszlnął i powiódł wzrokiem po stojących w pobliżu funkcjonariuszach.

– Słyszycie go? Mortalista Pierwszy Wspaniały wyciąga cudowne wnioski...

Honoriusz wrzucił ramionami i zdjął kaptur.

– Może mi pan wierzyć lub nie, komisarzu – stwierdził. – Gdyby nie wypadek, który nas zatrzymał w drodze do parku rozrywki, być może już byśmy go mieli. Przeszkodził nam jedynie przypadek... Choć zdaje się, że każde jego następstwo zostało starannie zaplanowane.

## 77



– Nie wzywaj teraz Boga Śniętego ani nie zaczynaj snuć swoich filozofii. Chciałaś wiedzieć, co się wydarzyło, proszę bardzo. Ale ja znacznie staranniej niż Poncki Piłat umyłam dłonie od twoich inwokacji do bóstw. Bogowie nie mają z tym nic wspólnego, czy tego chcesz, czy nie. Napij się chichy, zmów paciorek, ale nie wciągaj mnie w swoje gusła.

Mond zakończył tę tyradę cichym chrząknięciem. Allegra domagała się od niego jakichkolwiek wyjaśnień, więc jej ich dostarczył. Chciała wiedzieć, co wydarzyło się w parku rozrywki, proszę bardzo. Zdradził jej znacznie więcej, niż w swoich relacjach przekazał światu Maurycy Bonig. Najwyraźniej w tym przypadku dziennikarz nie miał specjalnego, ponadprzeciętnego przecieku. Oczywiście spłynęła do niego struzka informacji, ale te nie były ani przesadnie sensacyjne, ani szczegółowe. Tym razem przeciek sączył się jedynie gęstymi kroplami, co oczywiście zwróciło uwagę Honoriusza.

– Kuba Rozpruwacz nie popełnił takiego mordu – zauważyła Szmit. – I, jak sądzę, nie znajdzie się go wśród tych... jak to nazywałeś...

– Apokryfów.

– Właśnie. Swoją drogą, specjalnie zrobiłeś tę aluzję biblijną?

– Jeśli chcesz, możesz to zrzucić na karb podświadomości.

Allegra teatralnie westchnęła.

– Twoja podświadomość bywa wobec mnie wyjątkowo złośliwa.

– Mam naturę chochlika. – Mond wypowiedział te słowa, spoglądając prosto w oczy hotelowego portiera. Mężczyzna jedynie zmarszczył czoło, ale nie dał po sobie poznać ani zaskoczenia, ani rozbawienia. Tymczasem Honoriusz mocniej przycisnął telefon do ucha i pośpiesznie wbiegł po schodach. Otworzył drzwi do pokoju, po czym zdjął płaszcz. – I owszem, nie znam żadnego podobnego mordu. Nie widzę nawet konkretnych odniesień. Kilka powieści wchodziło w rachubę, jednak tu powinniśmy mówić raczej o dekapitacji.

– Jak ścięcie toporem?

– Albo poderżnięcie gardła.

– Pewnie znajdzie się kilku wiktoriańskich fascynatów brzytwy. Czy sam się nią golisz? Czy w twoim świecie pojawiły się już żyletki?

Mond nie odpowiedział. Natychmiast skierował się ku biblioteczce i sięgnął po jedną z książek. Miał w niej od paru dni założone rozdziały dotyczące zbrodni Kuby Rozpruwacza oraz tych przypisywanych jego ówczesnym naśladowcom.

– Sedno w tym, że zrównoważenie nieba i piekła, czy też podziemi oraz linii koron drzew, stało się ważniejsze od odwzorowywania dawnych zabójstw – wymamrotał, przerzucając kolejne strony. – Do tego ten list...

– Co z nim? Honri, ziemscy grzesznicy do Honriego? Halo, halo! Nie wyłączaj się.

– Jestem...

– W innej galaktyce.

Pozornie niedbały, ironizujący ton Szmit był jej sposobem zamaskowania wrażenia, jakie wywarła na niej relacja Monda. Honoriusz poznał ją już dość dobrze, by wiedzieć, że mimo całego

swojego ekstrawertyzmu w momentach wzburzenia przestawiała się na puste dowcipkowanie. Mogła to być tak samo kwestia reakcji psychicznej, co dobrego wychowania. W końcu lepsze były naiwne żarty niż przekleństwa i wyrazy niedowierzania. I nadaremne przywoływanie Boga, rzecz jasna.

Mond przebiegł wzrokiem kolejną stronę. Odwrócił się ku balkonowi, by uchwycić więcej światła. Wtedy jego spojrzenie padło na niewielki przedmiot.

– A to ciekawe... – wyszeptał, po czym odłożył telefon na parapet.

Nie słyszał pełnych bezgranicznego zdumienia, wyrafinowanych obelg rzucanych przez Allegrę

## 78



Mond przez rękaw koszuli sięgnął po zawieszoną na czerwono-niebiesko-białym sznurku kopertę. Chwycił ją bardzo ostrożnie, po czym rozejrzał się po ulicy. Znajdował się na balkonie swojego pokoju, a zawiniątko zostało zahaczone o wystający fragment gzymsu.

– Hm – bąknął zdumiony.

W dole kręciły się pojedyncze osoby, na kogoś czekał bus bagażowy, a przed kościołem pijarów żywo rozmawiała grupka starszych kobiet. Mimo to nikt nie zwrócił szczególnej uwagi Honoriusza.

– A to ciekawe... – powtórzył, zwracając do pokoju.

Wszedł do środka i starannie zamknął drzwi. Zrobił krok w stronę biurka, ale zawrócił, po czym zaciągnął jedną z zasłon. Cicho do siebie szepcząc, minął szpinet i odłożył kopertę na blat.

Z jednej z szuflad wyciągnął białe rękawiczki służące mu zazwyczaj przy polerowaniu metalowych przedmiotów, założył je, a następnie ponownie chwycił kopertę. Nie wahając się, rozciął ją eleganckim nożem do papieru z wygrawerowanymi na ostrzu swoimi inicjałami. Ostrożnie

rozwarł papierowe brzegi i zajrzał do środka. Odruchowo na chwilę wstrzymał powietrze. Widząc całą zawartość, ponownie odłożył kopertę na blat, po czym chwycił metalowe szczypczyki. Za ich pomocą wyciągnął złożoną na pół kartkę.

– Nie zaskoczyłeś mnie... – wymamrotał, lekko się uśmiechając. Sięgnął po srebrną lufkę, wsunął do niej cygaretkę i zapalił. Dopiero po wypuszczeniu gęstego kłębu dymu ponownie zainteresował się listem. – Spodziewałem się tego.

Z nieukrywaną satysfakcją rozprostował krawędzie, po czym rzucił okiem na całą kartkę. Przy użyciu pióra nabitego zielonym atramentem nakreślono na niej kilka linijek. Krój liter przypominał te, które Mond widział w liście skierowanym do komisarza Berga. Swoją drogą z lekkim rozczarowaniem przyjął fakt, że charakter pisma odbiegał od tego przypisywanego Kubie Rozpruwaczowi. I nie miało znaczenia, że szereg listów jego rzekomego autorstwa napisano bardzo odmiennie. Autor tej wiadomości nie silił się na naśladowanie żadnego z nich.

A może właśnie to było najciekawsze? Czy można się było doszukiwać w tym jakiegokolwiek sensu lub podtekstu? Mond pochylił się nad biurkiem i oparł o nie zaciśniętymi w pięści dłońmi. Analizował kolejne szczegóły, popadając w coraz głębszą zadumę. Słynny „zielony list” miał więcej cech wspólnych z wiadomością leżącą na blacie, niż mogło się wydawać na pierwszy rzut oka. Choć charakter pisma znacząco się różnił, autorzy kreślili litery wolno, robiąc długie przerwy. Brak rozmazań świadczył, że byli praworęczni, a rzucającym się w oczy elementem były spore przecinki. Poza tym istniało całe mnóstwo różnic. Począwszy od rodzaju papieru, kształtu większości liter, języka treści...

Mond drgnął. Z zamyślenia wyrwało go powtarzające się dudnienie do drzwi. Z niechęcią przesunął list w głąb biurka, po czym się wyprostował.

– Kie lichy? – zagadnął, kierując się do przedpokoju.



– Kie lichy? Kie lichy?!

Gdy tylko Mond otworzył drzwi, Allegra wpadła do środka. Nie bacząc na jego reakcję, uważnie rozejrzała się po wnętrzu pokoju.

– Myślisz, że dzięki wygłuszeniu drzwi na zewnątrz nie słyhać twojego mamrotania? – Szmit zdjęła beret i wepchnęła go do kieszeni. – Nie lichy, tylko ja. A ty mógłbyś czasem użyć mózgu i pomyśleć, że jeśli rozłączasz się w środku rozmowy, inni mogą się martwić.

– Przyjechałaś tu bolidem wyścigowym?

– Co takiego?

– Skończyliśmy rozmawiać jakieś siedemnaście minut temu. Chyba że... Byłaś w biurze albo odbębniałaś jakieś zlecenie w pobliżu rynku. – Mond uważnie przyjrzał się Allegrze, po czym kiwnął głową. – Zlecenie. Masz jeszcze ślady rękawów kombinezonu odbite na nadgarstkach, talk z rękawiczek i pachniesz środkiem dezynfekującym. Dlaczego mi nie powiedziałaś?

Szmit przewróciła oczami.

– Musisz wszystko tak skrzętnie analizować? To bywa irytujące.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Dlaczego się rozłączyłaś?

– Nie płacę ci za rozmawianie ze mną.

– Pieniądze to nie wszystko. Dzięki mnie znowu zajmujesz się tym, w czym jesteś najlepszy... Słonie nie starają się zrywać liści palcami, skoro mają do tego trąby.

Mond bacznie przyjrzał się Szmit. Nadal nie do końca odkrył jej zamiary. Analizował je na wiele sposobów, postawił nawet sporo teorii i wysnuł kilka wniosków, lecz kobieca natura okazywała się zbyt złożona nawet jak dla jego logicznego umysłu. A może właśnie do jej zrozumienia potrzeba było pierwiastka abstrakcyjności, który wykraczał poza jego percepcję. Teraz Allegra podeszła do biurka i nachyliła się nad leżącym na nim listem. Wyciągnęła ku niemu dłoń, lecz Mond chwycił ją

w ostatniej chwili za nadgarstek. Szmit odwróciła się, wbijając w niego zaskoczone spojrzenie.

– To od niego?

Honoriusz zdawkowo kiwnął głową.

– Przed świtem miałem wrażenie, że z okolic balkonu dobiegł mnie jakiś dźwięk – wyjaśnił. – Potem uznałem, że się przesłyszałem, ale chyba właśnie wtedy ktoś próbował mi przekazać wiadomość po raz pierwszy. Nie udało mu się, więc wrócił później z tym...

Rozchylił kopertę, na której dnie znajdowały się metalowe kuleczki podobne do tych stosowanych w amunicji śrutowej.

– Co to? – Szmit założyła za ucho kosmyk włosów. – To może być trujące...

– Nie. To tylko obciążenie.

– Obciążenie?

– W nocy nie udało się wrzucić listu na balkon tak, by nie zdmuchnął go wiatr. Dlatego nadawca postanowił go obciążyć metalowymi kulkami, a do tego przyczepił ten sznurek. – Mond pociągnął za czerwono-niebiesko-białą tasiemkę. – Dzięki temu autor miał pewność, że dostanie tę wiadomość. A kolorystyka to już chyba czysto żartobliwe nawiązanie do Zjednoczonego Królestwa.

– Mnie kojarzy się z zakładami fryzjerskimi. Albo z flagą USA.

– Konteksty należy dopasować do sytuacji. To pierwsza zasada dynamiki Newtona.

Allegra skrzywiła się i zmrużyła oczy.

– Zielony atrament, jak w liście o zmartwychwstaniu. – Zagryzła usta i wydeła policzki. Po chwili cicho wypuściła powietrze. – A treść?

– Przeczytaj sama.

Honoriusz przesunął list tak, by Szmit mogła go z łatwością przeczytać bez dotykania papieru. W momencie gdy Allegra nachyliła się nad biurkiem, pełną napięcia ciszę przerwał dźwięk telefonu Monda. Złowieszcze brzmienie sprawiło, że oboje wymienili spojrzenia.

– Odbierz – ponagliła go Allegra. – Złe wieści mają ostatnio ton dzwonka twojego telefonu... Jako melodię powinienesz ustawić trąby



jerychońskie.

– Chyba trąby Pudwela... – sprecyzował Honoriusz.

## 80



– Chodźcie do stołówki.

– Chce nas pan uraczyć jakimś ponurym dowcipem czy naprawdę serwujecie tam części ciał osób, których zwłok nikt nie chce odebrać?

Doktor Pudwel zerknął na Szmit i z konsternacją zatarł ręce. Przez chwilę się jej przypatrywał, starając się wyczytać z twarzy Allegry, czy pyta poważnie. Być może miesiące znajomości z Mondem zrobiły swoje, gdyż żaden mięsień nie zdradził, by żartowała.

– Istnieją kultury, w których zjadało się zmarłych – skwitowała po chwili. – Czas przeszły to tylko ukłon w stronę poprawności politycznej.

– Owszem, i skończyli z uśmiechem kuru na ustach – wtrącił Mond. – Większość przedstawicieli plemion kanibali to ludzie roześmiani od ucha do ucha.

– Co takiego? – zdziwiła się Allegra. W tej chwili po raz pierwszy załamała się jej teatralna maska. – O czym ty mówisz?

– Kuru to encefalopatia gąbczasta – wyjaśnił Pudwel. – Przyczyną choroby są priony znajdujące się w spożywanych mózgach.

– Bum tarara bum.

– Hm?

– Mówicie do mnie po chińsku. – Szmit machnęła ręką i skierowała się ku sali oznaczonej jako „stołówka akademicka”. Przed drzwiami tłoczyło się kilkunastu rozentuzjasmowanych studentów, najwidoczniej wciąż wahających się, czy zjeść posiłek w zakładzie medycyny.

Po telefonie Pudwela Allegra i Mond zjawili się na miejscu w ciągu niespełna kwadransa. Oczywiście patolog nie chciał niczego zdradzić na odległość i koniecznie miał zamiar spotkać się w swojej pracowni. Gdy

tylko do niej dotarli, niemal zderzyli się z lekarzem w drzwiach. Zgodnie ze swoim upodobaniem musiał obserwować ich na monitoringu budynku, po czym zdecydował się wyjść im naprzeciw. Propozycja zjedzenia wspólnego obiadu bądź lunchu nie wywołała euforii Szmit, lecz Mond jak zwykle pozostał niewzruszony. Wciąż przesuwiał moment, gdy z pełnym spokojem zasiądzie do analizy listu. Często odkładał pewne fragmenty zagadek na później, delektując się tym, że w razie marazmu i tak będzie wiedział, co robić. Tymczasem spotkanie z patologiem gwarantowało dostarczenie nowych wrażeń.

– Ten się śmieje, kto się śmieje ostatni, że tak powiem. – Lekarz wyszczerzył zęby i, niezgrabnie się pochylając, przepuścił ich w progę. – Swoją drogą to ciekawe, że to właśnie plemienne zwyczaje doprowadziły do ich wyginięcia. Ironia losu.

– Choroby zabijały prawie całe populacje – dodał Mond. – To wbrew zasadzie naturalnego instynktu. Matka Ziemia zadziałała na przekór swoim dzieciom.

– A może wcale nie?

– Sugeruje pan, że śmierć po spożyciu mózgu członka swojej rodziny może stanowić element zamknięcia koła życia?

– Stawiano taką tezę...

Allegra odchrząknęła i wymownie wskazała na pusty stolik w rogu sali. Mężczyźni przerwali wymianę zdań, po czym wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Dyskusja została przełożona na później.

– Zupa dnia to flaki, a główne danie pulpety z ryżem – obwieściła Szmit. – Ja chyba podziękuję.

– Lepsze to niż mózdzek, że tak powiem.

Widząc jej karcące spojrzenie, lekarz poddańczo uniósł dłonie.

– Przepraszam. Już więcej nie będę...

– Mam nadzieję. Możecie mi zamówić herbatę. Zieloną, ale bez żadnych dodatków.

– Oczywiście.

– A skoro zakończyliśmy ten jakże uroczy small talk...

Mond usiadł obok Allegry i poważnie spojrzał na lekarza.

- Jedzenie może poczekać – zawyrokował. – Proszę powiedzieć, po co nas pan wezwał, doktorze. Obawiam się, że znów ucieka czyjś czas.
- Jeśli nie wiesz, komu bije dzwon, bije on tobie, że tak powiem.
- Wypowiadając ten cytat, Pudwel pozostał całkowicie poważny.

## 81



– Dobrze, w takim razie czas przejść do rzeczy.

Pudwel wrócił do stolika z talerzem pełnym ryżu oraz mięsnych pulpetów w szarozielonym sosie. Mimo że danie nie wyglądało apetycznie, musiał poprosić co najmniej o podwójną porcję. Biorąc pod uwagę jego gabaryty, i tak należało się spodziewać, że całość przypadnie w odmętach jego układu trawiennego niczym piłeczka w dołku golfowym.

– Mamy wyniki z laboratorium.

Uwaga doktora sprawiła, że Mond pochylił się nad stolikiem, a jego oczy błysnęły. Allegra zamarła z filiżanką herbaty w pół drogi do ust.

– No, mówże pan! – ponagliła go po chwili. – Zachowuje się pan jak w tanim dreszczowcu.

– Myślałem, że nigdzie się wam nie śpieszy i lubicie moje towarzystwo.

– Lubimy je wtedy, gdy mamy w nim interes – bezlitośnie skwitował Honoriusz. – Miłość, przyjaźń to wszystko relacje oparte na chęci uzyskania odpowiedzi na pytania stawiane umysłem lub sercem.

– Pierwszorzędnie sformułowane!

– Tak jak wyniki z laboratorium?

Pudwel dostrzegł irytację na twarzach rozmówców, wobec czego pośpiesznie pochłoniął kilka kęsów, co spowodowało się do ogołocenia niemal połowy talerza. Otarł usta chusteczką, po czym starannie złożył ją na pół.

– Zweryfikowano te diabelne wkłucia do serc ofiar. Badanie tej materii było szczególnie utrudnione ze względu na obrażenia...

– Trudności nas nie interesują, doktorze. Ważne są rezultaty.

Cierpka uwaga Mortalisty sprawiła, że Pudwel całkowicie stracił dotychczasowy humor. Przełknął na raz cały pulpet i westchnął.

– To były iniekcje – oznajmił. – Ktoś wbił w mięśnie sercowe ofiar igłę, przez którą wtłoczył specjalny roztwór.

– Wiemy, co to za koktajl?

– Tak.

– Czy mam tu przynieść tablicę Mendelejewa, czy wskoczyć na stół i zatańczyć kankana, żeby mówił pan szybciej?

– To groziłoby moim zachłyśnięciem. – Pudwel wydał usta w ponurym uśmiechu. Odsunął talerz i niemal haustem wypił szklanekę kompotu. – Morderca w ten sposób usypiał swoje ofiary. Używał środka znieczulającego w takim stężeniu, które momentalnie uspiłoby niedźwiedzia.

Mond nagle drgnął. Jego umysł wychwycił słowo klucz, które jednocześnie uruchomiło całą lawinę skojarzeń. Zagryzł usta i ukradkiem zacisnął dłoń na udzie. Poczuł ostry ból rozlewający się po całym ciele, lecz niemal nie zwrócił na niego uwagi. Zmienił pozycję, po czym odruchowo przytknął palec do skroni. Musiał skupić się na tym jednym, kluczowym słowie. Musiał, musiał...

– Środek znieczulający? – Bacznie spojrział na Pudwela. – Przecież mógł zastosować mnóstwo innych specyfików służących stricte uspieniu.

– Mógł.

– Dlaczego więc tego nie zrobił?

Lekarz wzruszył potężnymi ramionami.

– Niech mnie pan o to nie pyta, Mortalisto. Sam pan powiedział, że ode mnie zależą jedynie pewne rezultaty. Wnioski to domena wasza oraz policji.

– A jeśli zależało mu właśnie na znieczuleniu? – Mond gwałtownie wstał od stolika i kuśtykając, skierował się do wyjścia. Skupił na sobie uwagę zebranych w pobliżu osób, lecz całkowicie na nie nie zważał.

Maszerując, mamrotał sam do siebie. – Nikt nie zadaje sobie trudu dla samego komplikowania własnego życia... To sprzeczne z naturą. To sprzeczne z logiką. A przecież... Tak... W tym szaleństwie od początku była metoda...

Honoriusz nie zareagował nawet na to, że Allegra chwyciła go za ramię. Cicho bełkocząc, wyszedł na podwórze zakładu medycyny. Znajdował się całkowicie w swoim świecie, choć jego ciemne, mądre oczy błyskały z podekscytowania. Nagle skupił spojrzenie na jakiejś postaci stojącej kilkadziesiąt metrów dalej. Bez zastanowienia rzucił się za nią w pogoń.

## 82



– Stój! Co się stało?

Allegra, nie nadążając, pędziła za Mondem. Nie spodziewała się, że Honoriusz jest tak dobrym biegaczem. Nie tylko w zaskakującym tempie pokonywał kolejne metry, ale również nie sprawiał wrażenia zmęczonego pościgiem. Nie wiedziała tylko, kogo i dlaczego ścigają.

W ciągu dwóch lub trzech minut pokonali kilkaset metrów, zbliżając się do krakowskiego Urzędu Miasta przy ulicy Stachowicza. Obskurny, peerelowski budynek przypominał najgorsze czasy socjalizmu. Wyrastał potworną plombą w nieuporządkowanej, chaotycznej okolicy. Jednak tym razem Mond nawet nie zwrócił uwagi na architektoniczne detale. Pędził za postacią ubraną w taki sam płaszcz jak ta, która uciekła mu, przebiegając tuż przed tramwajem. Rzucił się w jej stronę zupełnie odruchowo, a skoro ktoś zaczął uciekać, nie zamierzał się zatrzymać. Mogło to być czyste szaleństwo, jednak statystyka nie dopuszczała zbiegów okoliczności.

Nagle uciekający zniknął Mondowi z oczu za szeregiem zaparkowanych na poboczu aut. Musiał się schylić lub gdzieś przycupnąć. Honoriusz

zwolnić i bacznie rozejrzał się wokół.

– Skręca w plac na Stawach! – Szmit wychrypiała, starając się nabrać tchu. – Tam!

Rzeczywiście, sylwetka okutana w charakterystyczny, rozwiany płaszcz pędziła w stronę Wisły. Najwyraźniej uciekający nie zdawał sobie sprawy, że uliczka kończy się szeregiem garaży oraz bardzo wysokim ogrodzeniem.

– To ślepy zaułek... – Mond zwolnić, wiedząc, że nawet gdyby próbować uciekać przez ogrodzenie, zajęłoby to wiele czasu. Wystarczająco, by chociaż...

Tę myśl natychmiast zarzucił. Tajemnicza postać właśnie wspięła się na siatkę. Robiła to z zaskakującą sprawnością, przypominając ruchami jakieś dzikie zwierzę. Mimo to i tak jedynie traciła czas.

– Stój! Złaż! – Kategorie nakazy Monda nie zadziałały. – Mamy broń!

Jakby w reakcji na te ostatnie słowa uciekający zarzucił na twarz rant płaszcza i wspiął się na sam szczyt ogrodzenia. Honoriusz zdołałby do niego dopaść, lecz nagle dostrzegł lufę pistoletu wymierzoną prosto w biegnącą za nim Allegrę.

– Nie! Uważaj...

Momentalnie rzucił się w bok, stając na linii strzału. Szmit nie wiedziała, co się dzieje. Wciąż pędziła w ich stronę, gotowa wesprzeć Honoriusza w ewentualnej walce. Wtedy huknął strzał.



Mond momentalnie znalazł się przy Allegrze. Kobieta leżała na bruku z przymkniętymi oczami oraz szeroko rozłożonymi dłońmi. Kiedy tylko przy niej uklęknął, zamrugła.

– Matko Boska Rozstrzelana! – wykrzyknęła, pośpiesznie dotykając klatki piersiowej i podbrzusza.

– Jesteś cała?

– Caluteńka. Przynajmniej wszystko na to wskazuje.

– Dzięki Bogu.

– Chybił, jak bum cyk cyk, chybił z paru metrów.

Mond przygryzł wargę i pomógł Allegrze się podnieść. Otrzepał jej płaszcz w kwieciste wzory, po czym podał leżący na bruku берет. Szmit miała zaczerwienione policzki i ciężko oddychała. Gdy tylko pewniej stanęła na nogach, zaczęła systematycznie sprawdzać kolejne bransoletki, fetysze i amulety. Wszystko było na swoim miejscu.

– To dzięki nim... – wyszeptała. – Magiczna moc skarabeusza albo anielskiego pyłu. Chyba że to po prostu dar losu... Cud...

– Przestań – bąknął Mond. – Ten człowiek nam uciekł.

– Ale żyjemy.

– Bo mieliśmy żyć.

Honoriusz z zaciętym wyrazem twarzy spojrzął na Allegrę. Po chwili odwrócił się i jeszcze raz uważnie zbadał miejsce przy ogrodzeniu.

– Mieliśmy żyć? – Szmit również zaczęła przypatrywać się zarośłom oraz ziemi. – Bo tak kazał Bóg?

– Bo tak zdecydował ten psychol.

– Strzelając na wiwat, ot tak?

Mond kiwnął głową. Schylił się i roztarł pomiędzy palcami kawałek tekturki.

– Nie wiem, po co i jak strzelał – odezwał się po chwili. – Jednak użył rewolweru starego typu, a to są resztki przybitki. Można na niej dostrzec ślady prochu, ale nigdzie nie widać kuli. Ani przy tobie, ani tutaj.

– Nie rozumiem. Sugerujesz, że...

– Że chciał nas tylko zatrzymać albo nastraszyć. Gdyby zamierzał nas zabić, z tej odległości wystarczyłaby mu porządna proca, a on miał rewolwer, z którego kula mogła urwać głowę.

– Brzmi obiecująco... – Szmit odkaszlęła i przysłoniła usta rękawem. Wyprostowała się, po czym nabrała głęboko powietrza. – To szaleństwo.

– Chodź.

Mond zawrócił w stronę, z której przybiegli. Poprawił kapelusz i włożył dłonie do kieszeni.

– Nie wezwiemy policji?

– Nie. I tak nic tu nie znajdą, a nawet jeśli, nie mamy pojęcia, kim był ten człowiek.

– To był ten sam mężczyzna, który uciekał przed tobą w nocy?

Honoriusz, milcząc, przyśpieszył kroku. Zadumany przebiegł przez ulicę, po czym skręcił w boczny zaułek. Szmit dzielnie dotrzymywała mu tempa. Na jej twarz powoli wracały kolory, ale dalej szła niepewnie, na miękkich nogach. Do tego raz po raz muskała kolejne bransoletki.

– Co teraz? – zapytała, gdy wreszcie udało się jej zrównać z Mondem. – Masz jakiś pomysł?

– Właściwie to tak.

Honoriusz ponownie zaczął do siebie niezrozumiale bełkotać. Szmit domyśliła się, że powtarza pojedyncze wersy ostatniego listu. Musiał je zapamiętać co do słowa. Teraz odtwarzał je i skupiał się na poszczególnych zwrotach. Wypowiadał je ze zmienną intonacją, kładąc nacisk na rozmaite fragmenty oraz głoski. Jednocześnie, mamrocząc, kilkakrotnie się odwracał, jakby niedawne wydarzenia odcisnęły na nim niezwykle ślad. Jakby obawiał się, że tajemnicza postać może zawrócić, a ich role zamienić miejscami. Teraz oni byliby zwierzyną, a on myśliwym.

– Jeden minus jeden to zawsze zero... – wycedził nagle.

– Co takiego?

Zamiast odpowiedzieć na pełne wątpliwości spojrzenie Szmit, Honoriusz zaczął głośno recytować otrzymany przed paroma godzinami list.





*Każda historia musi mieć swój ciąg dalszy. Wszyscy stajemy się jej częścią, wszyscy tworzymy jej kontynuację. A może to całkiem nowa opowieść? Elżbieta kroczy ku rozwiązaniu sprawy, ku kolejnej ofercie znalazcy Ulicznej Handlary. Przyszłość jest lustrzanym odbiciem przeszłości, noc dniem, a terażniejszość to czas zgonu.*

– Rozumiesz coś z tego? – Szmit starała się nadążyć za niemal biegnącym w stronę auta Mondem. – Dla mnie to nawet nie jest czarna magia. To chicha doprawiona wymiocinami po ucztowaniu przy hotelowym szwedzkim stole. I to gościa mającego wykupione pełne all inclusive.

– Może ponownie napisano tu znacznie więcej, niż zdaje się na pierwszy rzut oka.

– Więc widzisz tu cokolwiek?

– Może...

Mond otworzył samochód i skinieniem głowy dał znać, by Allegra wsiadła razem z nim. Gdy znaleźli się w środku, założył rękawiczki, po czym uruchomił silnik. Nie ruszając z miejsca, przymknął oczy i oparł się o zagłówek. Owca

– Zamierzasz teraz przyciąć komara? Przespać się? Śmiało, przecież mamy mnóstwo czasu!

– Zbieram myśli.

– Po tym, jak do mnie strzelano, nie zdrzemnę się przez najbliższe parę tygodni.

Mond, nie otwierając oczu, delikatnie się uśmiechnął.

– Elżbieta kroczy ku rozwiązaniu sprawy... – wyrecytował. – Czy nie wydaje ci się to dziwne?

– W tym liście nic nie wydaje mi się normalne – skwitowała Szmit. – To kompletna aberracja. Gdybym nie była świadkiem tych wszystkich

pochrzanionych zdarzeń, mogłabym się założyć, że ktoś robi ci głupi dowcip.

– Raczej postarał się ułożyć całkiem zgrabną zagadkę.

– Wolałabym, żeby zajął się czymś bardziej konstruktywnym. Na przykład palnął sobie w łeb.

Honoriusz nagle otworzył oczy i odwrócił się w stronę Szmit. Zmarszczył czoło, po czym poprawił przekrzywioną fedorę.

– Teraźniejszość to czas zgonu... – wyszeptał. – Uliczna Handlara, Elżbieta...

– Co takiego?

– Głośno myślę. A ty w ciągu ostatnich paru godzin stałaś się zwolenniczką samobójstw? Perspektywa wypacza zabobon, co nie?

– Nie nazywaj wiary zabobonem. Poza tym... – Nagle oczy Allegry błysnęły. Zdjęła beret i zaczęła go nerwowo obracać w dłoniach. – Każda historia musi mieć swój ciąg dalszy – bąknęła, spoglądając na Monda. – A jeśli wcale nie chodzi o historię sprzed stu pięćdziesięciu lat? Jeśli nasza teraźniejszość to właśnie jest jej przyszłość?

– Interpretacja jako słowo klucz? – Honoriusz wymownie zagryzł usta. Pstryknął palcami i ponownie chwycił kierownicę. – Możesz mieć rację, tylko...

Na głównym ekranie wyświetlił się komunikat informujący, że komisarz Berg próbuje nawiązać połączenie z telefonem Monda. Honoriusz westchnął, lecz niemal natychmiast odebrał.

– Dostałem kolejny list, Mortalisto... – Policjant odezwał się tonem wisielca. – Przesłałem go do badania, ale chyba powinniśmy się nad nim wspólnie pochylić.

– Czy ten list nie zaczyna się od słów: „Każda historia musi mieć swój ciąg dalszy”? – uprzejmie zapytał Mond.

– Taa... Skąd, do diabła, wiedziałeś?

Honoriusz dodał gazu i z rykiem silnika wyjechał z parkingu.

– Za chwilę będziemy w komendzie – oznajmił beznamiętnie. – Proszę się nigdzie nie wybierać i zebrać ludzi gotowych do akcji. I to jak najszybciej.



– Załatwię formalności z policją, a kiedy wrócę, zajmę się nią. Kiedy ją zobaczysz, będzie wyglądała, jakby dopiero wyszła z domu. Jakby spała...

Trzaskają drzwi, ojciec zbiega po zewnętrznych schodach, a chwilę później słycać dźwięk silnika samochodu oraz chrzęst kół na podjeździe. Chłopiec przypatruje się teraz matce. Waha się, czy do niej podejść i czy próbować ją pocieszać. Nie wie, czy potrafiłby to zrobić i czy w ogóle powinien zdradzić, że widział ją w takim stanie. Jego matka jest potargana, blada i ma puste spojrzenie. Stoi, wpatrując się ni to w drzwi, którymi przed chwilą wyszedł jej mąż, ni to w jakiś punkt na ścianie. Nagle odwraca się i rusza korytarzem. Jej kroki są chwiejne, przypominają ruchy rannego zwierzęcia. Nagle zatrzymuje się nieopodal wejścia do ogromnej pracowni męża, a zarazem kaplicy, w której odbywa się ostatnie pożegnanie ich dziecka.

Chłopiec obserwuje to wszystko z odległości. Skrada się i przemyka. Czuje wstyd, że podgląda matkę, ale wie również, że nie może pozwolić, by teraz zobaczyła ciało swojej córeczki. Nie teraz. Jeszcze nie...

Kobieta sięga ku klamce i kładzie na niej dłoń. W momencie, gdy ma ją nacisnąć, chłopiec wychodzi zza załomu korytarza.

– Mamo... – szepcze, po czym dodaje głośniejszym głosem: – Mamo.

Kobieta zamiera w bezruchu jak dziecko przyłapanie na złym uczynku. Po chwili powoli się odwraca i wbija wzrok w chłopca.

– Przyszłam tu, żeby... – Wzrusza ramionami i pociąga nosem. – Chcę ją zobaczyć. Jak najszybciej... Nie mogę czekać, aż tata się nią zajmie.

– Musisz. Proszę, mamo, musisz być silna.

– Nie potrafię. Przepraszam...

Kobieta ponownie kieruje dłoń ku klamce, lecz wtedy chłopiec do niej podbiega i się mocno przytula. Chwyta matkę za rękę.

– Chodź, mamusiu, zaczekajmy na tatę. Prześpij się.

– Nie umiem już spać.

– Musisz.

Chłopiec odciąga matkę od drzwi i prowadzi ją w głąb korytarza. Kobieta, choć opornie, kroczy obok syna. Wspiera się na jego kruchym, dziecięcym ramieniu. Nie płacze. Z jej ust dobywa się cichy, żalony jęk. Gdy wchodzi do sypialni, niemal upada, jednak chłopcu udaje się ją podtrzymać.

– Połóż się, mamo.

Ojciec przewidział, że kobieta może za wszelką cenę chcieć zobaczyć ciało córki. Wiedział też, że teraz, po postrzyżynach, jego syn jest wystarczająco dorosły, by być nie tylko potomkiem, ale również współnikiem. Dlatego przed wyjściem naszykował szklanekę, w której rozpuścił w wodzie środki nasenne. Ustawił ją na szafce nocnej i poinstruował syna, co ten powinien zrobić.

– Mamo, proszę. Napij się. To zrobi ci lepiej...

Kobieta bez zastanowienia sięga po podane przez syna naczynie i wychyla duszkiem jego zawartość. Siada na łóżku, po czym chowa twarz w dłoniach. Chłopiec przytula się do niej, ukradkiem nakłaniając ją, by się położyła. Podkłada pod jej głowę poduszkę i w tej samej chwili nasuwa mu się okropna myśl. Jego siostra również ma pod głową poduszkę, która być może chroni jej mózg przed wypłynięciem z rozpiłowanej czaszki.



– A tu zapewne mamy oryginał.

Mond sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej zawiniętą w foliową torebkę kopertę. Po drodze do komendy wpadł do pokoju hotelowego, by wziąć ją ze sobą. Berg z niedowierzaniem pokręcił głową. Jeden z policjantów niczym służący tureckiego paszy natychmiast podał mu rękawiczki. Komisarz z namaszczeniem godnym najdelikatniejszego skarbu rozpakował zawiniątko. Rozłożył kartkę i pośpiesznie przebiegł po niej wzrokiem.

– Niech to! To ten sam list...

– Oryginał.

– Albo wydruk. Specjalnie po to, aby ukryć ewentualne ślady i...

– Oryginał – powtórzył z naciskiem Mond. – Na papierze są mikrorozbryzgi atramentu oraz lekkie zagięcia powstałe w trakcie pisania. Poza tym widać zagłębienie powstałe pod naciskiem stalówki.

Berg chrząknął, złożył kartkę i ponownie wsunął ją do koperty.

– Obstawiam, że wyciągnąłeś więcej konkretnych wniosków, Mortalisto?

– Wyciągnęliśmy – poprawił go Honoriusz. Zrobił krok do tyłu i porozumiewawczo zerknął na Szmit. – Allegra ma swoją koncepcję, która w porównaniu z moją... Powiedzmy, że układa się w sensowną całość.

– Taa?

Szmit usiadła na blacie jednego ze stołów i wbiła wzrok w Berga. Zebrała myśli, aby wyrażać się jak najbardziej klarownie.

– Słyszał pan o najnowszej książce Cypriana Wotlera? – zaczęła od pytania, lecz zaraz sama na nie odpowiedziała. – Opisuje życie Kuby Rozpruwacza z perspektywy pierwszoosobowej. To coś niezwykłego. Czytając zanurzamy się w psychice mordercy i...

– Panienska wybaczy, ale gdybym chciał rozmawiać o literaturze zapisałbym się do kącika czytelniczego.

– Może pan powinien.

Cierpka uwaga Szmit sprawiła, że z twarzy Berga zniknął kpiący uśmieszek. Tym bardziej że towarzyszący mu policjanci słuchali

w pełnym skupieniu.

– „Każda historia musi mieć swój ciąg dalszy. Wszyscy stajemy się jej częścią, wszyscy tworzymy jej kontynuację” – zacytowała Allegra. – Potem jest to zdanie o nowej historii. Czy nie macie wrażenia, że to wprost nawiązuje do książki? W końcu jej narracja zakończyła się wraz z ostatnim znanym zabójstwem dokonany przez Kubę Rozpruwacza.

– A poprzedni list odnosił się do bezpośredniej kontynuacji – uzupełnił Mond. – Mów dalej, Allegro.

– Właściwie zwróciłam uwagę na Wotlera. Jego motywacje mogą wydawać się oczywiste, wzięwszy pod uwagę fakt, że pisanie takich książek musi ryc banie bardziej niż opium.

Berg ciężko sapnął i przeczesał palcami włosy. Wymienił bezradne spojrzenia z podwładnymi, po czym przestąpił z nogi na nogę.

– Ten Wotler mieszka w Krakowie? – bąknął ni to pytając, ni to stwierdzając fakt. – Wobec tego musimy z nim porozmawiać...

– Obawiam się, że nie będzie na to czasu. – Szmit zwróciła się do Honoriusza, by ten wreszcie zabrał głos.

Mond założył ręce za plecy i ponuro spojrzął na Berga.

– W liście napisano, że dojdzie do kolejnego mordu. Wskazano nawet godzinę.

## 87



– Widzę, że żarty się ciebie trzymają, Mortalisto. – Berg fuknął i wydał usta. Przeszedł kilka kroków wzdłuż pomieszczenia, po czym nagle się zatrzymał. Rozłożył ręce i błagalnie wznosił je w górę. – Oświeć mnie, błagam, kiedy i gdzie ktoś zostanie zamordowany.

Mond pokręcił głową. Przez ostatnie pół godziny starał się przeanalizować list na wszelkie możliwe sposoby. Nie mogli popełnić błędu, a jednak działali nieco po omacku. Co prawda kolejne elementy

do siebie pasowały, lecz wciąż miał wrażenie, że jakaś istotna prawda im umyka. Myląc się, mogli wydać na kogoś wyrok śmierci. Błędne wnioski byłyby takim samym elementem schematu jak wypadek, który spowodował, że zbyt późno dotarli do poprzedniej ofiary. A przecież mogli ją uratować... Odpowiedzialność była ogromna. Honoriusz wiedział jednak, że nikt poza nim nie uchwycił sedna wiadomości.

– To zbyt proste – stwierdził zadumany.

– Co, do licha, jest zbyt proste? – Berg aż się zagotował. – Mów, że wsiadamy do wozów i jedziemy zapuszkować kogo trzeba. Chodzi o pisarza? Mam znaleźć jego namiar?

– Może...

– Jezus Maria, dopiero sami trąbiliście wszem wobec, że to nie czas na filozofowanie.

– I nie na błędy.

Honoriusz powiódł wzrokiem po zmęczonych, pełnych napięcia twarzach policjantów. Wysilek ostatnich dni odcisnął piętno na każdej z nich. Odwrócił się i, nie starając się ukryć, zaczął rozmasowywać swój bark. Ból nasilał się z minuty na minutę, choć dotąd robił wszystko, by go zlekceważyć. Allegra ukradkiem musnęła jego dłoń i tym razem się nie cofnął. Spojrzał na nią z wdzięcznością. Po chwili jednak drgnął, a następnie zrobił kilka kroków ku tablicy, na której Berg sukcesywnie notował najważniejsze fakty ostatnich dni.

– Elżbieta kroczy ku rozwiązaniu sprawy... – wyszeptał nagle. – Chodzi o Elisabeth Stride. *Stride* to po angielsku „kroczyć”. A Uliczna Handlara to Annie Chapman. To całkowicie jasne!

– Zaraz, zaraz, twierdzisz, że ten czubek zabawia się tłumaczeniami nazwisk? – Berg nie nadązał. – Przecież to bez sensu...

– On się nie zabawia. On podsuwa nam trop.

– Czego?

Mond pstryknął palcami i rezolutnie pokiwał głową. Wreszcie kolejne elementy dopasowywały się do całości. Miał coraz mniej wątpliwości, a głośno wypowiadając myśli, udawało mu się porządkować obraz całej sprawy.

– „Przyszłość jest lustrzanym odbiciem przeszłości”. Chapmann zginęła po piątej rano, więc podejrzewam, że mamy czas do siedemnastej, maksymalnie osiemnastej.

– Myślałem, że już dokonano morderstwa naśladowanego tamto. – Berg z konsternacją przekrzywił głowę. – Sam tak mówiłeś...

– Owszem. Ale sprawca chce, aby historia miała ciąg dalszy. Ona zatoczyła koło... Na podstawie tamtej zbrodni nakierowuje nas na kolejną.

– Możesz mówić jaśniej?

Mond nagle odwrócił się do Berga i ze skrzącymi oczami położył dłoń na jego wielkim barku. W zamyśleniu kilkakrotnie go klepnął.

– Kto zgłosił morderstwo tamtej kobiety? – zapytał.

– No... Ten facet, którego potem napadnięto...

– Właśnie! To on jest ogniwem łączącym nas ze sprawą. Nie musimy czytać żadnych cholernych ksiązek, bo to właśnie postać przypominająca narratora... Jedną z ofiar Rozpruwacza również odnalazł uliczny tragarz, który miał psy i koty. Opisywano nawet, że jego pies nadgryzł ciało. Natomiast na zwłoki Elisabeth Stride natrafił policjant ze Scotland Yardu, co by odpowiadało anonimowi, który naprowadził nas na trop...

Berg założył ręce za głowę i wytrzeszczył oczy. Na jego czoło wystąpiły kropelki potu.

– Masz jakąś koncepcję?

– Tak, tak. – Mond zacisnął pięść wsuniętą do kieszeni. – Musimy jechać do Huberta Glika. Obawiam się, że jego pies nie tylko odnalazł ofiarę...



– Przecież Glik sam został napadnięty i solidnie oberwał. Sądziś, że to on jest mordercą, Mortalisto?



– Nie.

– Nie?

– Nie robię żadnych zakładów. Jak mawiają politycy, na stole mam wiele opcji. Albo nawet wszystkie, co brzmi zawsze znacznie bardziej tajemniczo i złowróźnie.

Berg bez zbędnych polemik usadowił się w jaguarze na przednim fotelu pasażera. Dwa radiowozy asysty już były gotowe do drogi. Znajdowało się w nich łącznie sześciu funkcjonariuszy, choć przeprowadzenie akcji ich siłami nie do końca było zgodne z procedurami stosowanymi wobec seryjnych morderców. Jednak z drugiej strony komisarz wciąż nie wydusił z Honoriusza, dokąd jadą i czy ten w ogóle wytypował podejrzanego. Teraz zerknął przez ramię na lokującą się na tyle auta Allegrę. Ta jedynie wzruszyła ramionami.

– Honoriusz brzmi dla mnie równie tajemniczo, co dla pana – odparła.

– Ale dzielę z wami poczucie złowróźbności...

– Tylko jeśli Glik nie jest podejrzanym, to po co do niego jedziemy? Przecież nic na niego nie wskazuje, dopiero mówiliśmy o tym Wotlerze czy jak mu tam...

– Cisza, to skomplikowane... – Syknięcie Monda ucięło dywagacje Berga. – Dajcie mi się skupić. Komisarzu, niech pańscy ludzie jadą za nami.

– Dokąd?

– Do Glika.

Berg z niedowierzaniem rozłożył ręce. Mało przy tym nie stłukł bocznej szyby.

– Pozwalam ci z nami współpracować i zdaję się na twoje fanaberie, ale błagam, nie rób ze mnie kompletnego idioty. Czuję się jak debil, któremu kazano zrozumieć całki.

– Jest nas dwoje. – Szmit uśmiechnęła się pokrzepiająco. – Z tym że mimo wszelkich spirytystycznych przeczuć straciłam ochotę na jakiegokolwiek domysły...

– Przestańcie. – Mond wyjechał z parkingu i upewnił się w lusterku, że nieoznakowane radiowozy jadą za nim. – Opieram się na jedynej

logicznej nieścisłości dotychczasowych zdarzeń.

– Mówisz równie oględnie, co ksiądz na pogrzebie.

– Ale nie obiecuję rajy ani rychłych surm anielskich.

– Tym gorzej. Więc co to za... – Berg nabrał powietrza i splótł ręce na klatce piersiowej. Odwrócił się do Allegrы. – Jak on je nazwał? Logiczne konsekwencje zdarzenia? Nie...

– Logiczne nieścisłości dotychczasowych zdarzeń – podpowiedziała Szmit. Zamyślona mamlała w dłoniach beret. Nagle niemal wyrwała się z pasów i wycelowała w Monda palec. – Chodzi o metodę obdukcijną?

– Zgadza się – przytaknął Honoriusz.

– Postawiłeś wszystkie pytania, jakie należy skierować do zwłok i...

– Nie otrzymałem odpowiedzi. Nie ma pewnego związku.

Berg z konfuzją złapał się za głowę.

– O czym wy, do diabła, gadacie?

– Honoriusz stosuje metodę obdukcijną – wyjaśniła pośpiesznie Szmit.

– Jako punkt wyjścia traktuje zwłoki i kieruje do nich konkretne pytania. Jeśli w sprawie są luki, zmarły nie może udzielić na nie odpowiedzi.

– Chyba kumam jeszcze mniej niż przed chwilą.

– Glik, jako współczesne nawiązanie do owego tragarza z psami i kotami, który odnalazł zwłoki ofiary Kuby Rozpruwacza, nie mógł pojawić się przypadkowo. – Szmit spotkała w lusterku wzrok Monda. Od razu zrozumiała, że podążyła jego tokiem rozumowania. Podekscytowana mówiła dalej: – Wobec tego, o ile to nie był zbieg okoliczności, a te Honoriusz zdecydowanie odrzuca, Glik musiał zostać jakoś skierowany ku zwłokom. Zadając im konkretne pytania, nie otrzymujemy odpowiedzi na to najważniejsze – o istnienie jakiegokolwiek związku z tym mężczyzną. A ten związek musi mieć miejsce, skoro naśladowca usiłował odtworzyć sytuację sprzed stu pięćdziesięciu lat.

– W sensie, że ktoś musiał naprowadzić na zwłoki właśnie jego?

– Albo jego psa – skwitował Mond. – Tak jak anonim naprowadził śledczych na zwłoki ofiary imitującej Elisabeth Stride. Niech pańscy

przyjaciele lepiej włączą syreny.

## 89



Mond rozejrzał się po okolicy. Ten fragment Podgórze już na zawsze miał utkwić w powszechnej świadomości jako miejsce działania mordercy naśladowującego Kubę Rozpruwacza. Kilka tygodni musiało nakreślić charakter dzielnicy na całe dekady. Cień jednej osoby padał na dziesiątki tysięcy mieszkańców niczym stygmat. Ta myśl przeszła mu po głowie, gdy pchnął drzwi i wysiadł z jaguara.

– Powinieneś tu zostać razem z panienką Szmit – mruknął Berg. Jednak nawet nie skomentował faktu, że Mortalista nie zatrzymał się choćby na ułamek sekundy. Po prostu podążył za nim i dał znać, by jego ludzie uczynili to samo. – Bądźcie czujni!

Mond przed wejściem na podwórze kamienicy odruchowo zerknął w niebo. Od zachodu zbierały się ciężkie, szare chmury, zwiastujące pierwszy od dawna deszcz. Porywy wiatru stawały się coraz mocniejsze, miotając tumanami kurzu oraz opadniętych liści.

– Teraz nic nam nie grozi. – Allegra podążyła tuż za Bergiem. – Czuję to.

– A ty co, wróżka?

– Tak jakby.

Berg był bliski wybuchnięcia głośnym, nerwowym śmiechem. W ostatniej chwili się opanował i splunął. Przynajmniej udało mu się przepchnąć przed Szmit. Razem z policjantami i Mondem, dudniąc, wbiegali po drewnianych schodach. Echo ich kroków niesło się po całej, prawdopodobnie zamieszkałej tylko przez Glika kamienicy. Odpowiedziało na nie nagłe ujadanie psów.

– Otwierać! – Berg z impetem walnął w drzwi. – Otwierać, policja!

Mond łypnął na niego spode łba i się wyprostował. Taktownie założył ręce za plecy, jakby oczekiwał, że zaraz drzwi się otworzą, stanie w nich odzwierciedlenie z kandelabrem, po czym zaprosi ich na wykwinną kolację. Jednak były to tylko pozory. W rzeczywistości w tym momencie analizował wydarzenia sprzed paru dni, kiedy skończył wspinaczkę po schodach o piętro niżej.

– Policja!

– Może wyszedł na spacer z psem... – bąknęła stojąca z tyłu Allegra.

Jednak w tym samym momencie drzwi się otworzyły i pojawił się w nich Hubert Glik. Mężczyzna miał owiązany wokół głowy bandaż i napuchnięte prawy policzek. Sprawiał wrażenie zaskoczonego. Z trudem powstrzymywał dwa psy usiłujące wybiec na korytarz.

– Bezimienny, uspokój się... Panowie... Co się dzieje?

– Proszę nas wpuścić.

– Ale ja... O co chodzi?

Glik uspokoił wreszcie psy i zrobił miejsce, aby można było wejść do jego mieszkania. Mond od razu wyczuł zapach kociego moczu oraz odchodów. Po podłodze poniewierały się również okruszki żwirku używanego w kuwetach.

– W jaki sposób natrafił pan na tamte zwłoki? – pytanie Berga przecięło skomlenie psów.

– Przecież mówiłem...

– Mówił pan, ale oględnie. Jak się pan tam znalazł? Chyba nie chodzi pan z psami na spacer po chaszczach...

– Nie. – Glik nerwowo oblizał usta i pokręcił głową. – Oczywiście, że nie. Tamten człowiek, na którego wpadłem powiedział, że widział tam kulejącego psa... A ludzie wiedzą, że zajmuję się wszystkimi chorymi zwierzętami. To moja życiowa misja i...

Berg z jego wypowiedzi wychwycił tylko jedną frazę.

– Tamten człowiek? – warknął, ledwie zaznaczając pytanie



– Nie wspomniałem o nim? – Glik podrapał się w głowę i wzruszył ramionami. – Pewnie uznałem to za nieistotne. Jakie to mogło mieć znaczenie?

– Istotne czy nie, to my powinniśmy to ocenić.

– Nie miałem zamiaru niczego ukryć ani...

Berg machnął ręką, ukrócając tłumaczenia mężczyzny. Mond zrobił krok do tyłu, pozwalając komisarzowi w pełnej krasie rozwinąć swoje umiejętności śledcze. Berg wyglądał na zachwyconego, gdyż unosząc głos na Glika, wyrzucał dłonie, jakby dyrygował, wytrzeszczał oczy i mało brakowało, by teatralnie zaczął się łapać za serce.

– Co to był za człowiek? – wysapał. – Nie zna go pan?

– Nie. Podszedł do mnie na ulicy i popatrzył na Nienazwanego. Nienazwany to ten kudłaty pies... Ciągle nie mogę wymyślić dla niego dobrego imienia, więc...

– Do rzeczy!

– Tak, przepraszam... Ten człowiek powiedział o kulejącym kundlu, którego niby widział na pobliskiej parceli. Powiedział, że bardzo się śpieszy, ale może ja będę miał czas mu pomóc.

– I wtedy pan poszedł w tamtą stronę.

– Dokładnie.

Berg klasnął i wymownie spojrzął na Monda. Ten wraz z Allegrą stali na uboczu, niemo przypatrując się temu nieformalnemu przesłuchaniu. Honoriusz zagryzł wargę i w zadumie od czasu do czasu lekko kiwał głową.

– Jak wyglądał ten człowiek? – odezwał się wreszcie, widząc, że Berg stracił impet. – Proszę go opisać.

– Przeciętnego wzrostu, dość drobny, około trzydziestu, może niespełna czterdziestu lat. – Glik się zamyślił i zmarszczył brwi. – Nie pamiętam dokładnie.

– A kolor włosów?

– Chyba ciemny... Wydaje mi się, że miał czapkę. Tak, na pewno. Włosy wychodziły mu chyba na uszy.

– Kształt twarzy?

– To znaczy?

– Pociągła, okrągła, kwadratowa, mocna szczęka?

Glik położył dłoń na łbie jednego z psów, jakby to mogło poprawić jego pamięć. Przystąpił z nogi na nogę i zerknął gdzieś ponad ramieniem Monda.

– Co to za pieprzone luki pamięci. – Berg ciężko sapnął. – Pamiętasz pan to, co chcesz...

– Nie jest łatwo zapamiętać szczegóły twarzy, na którą nie zwraca się uwagi. – Mond usprawiedliwił Glika. – Niech pan spróbuje sobie przypomnieć twarz ekspedientki ze sklepu, w którym po raz ostatni robił pan zakupy.

– Sądzę, że...

– To był tylko eksperyment, panie komisarzu. Niech go przeprowadzi pan później. A teraz...

Honoriusz skinął, by Berg odszedł z nim na bok. Po chwili przyciszonym głosem zamienił z nim kilka słów, po czym stanął obok drzwi. Tymczasem komisarz przywołał jednego z policjantów, który natychmiast wyszukał coś na telefonie. Cała operacja przykuła uwagę Glika, który milcząc, obserwował wydarzenia. Stojący obok niego pies cicho warknął, jakby wyczuwał coś złego. Nagle funkcjonariusz wyciągnął dłoń z telefonem i obrócił ekran w stronę właściciela mieszkania.

– Czy to ten człowiek? – zapytał, zerkając na komisarza. – Rozpoznaje go pan?

Glik zmrużył oczy i bezwiednie przeciągnął dłonią po policzku.

– To właśnie on! – krzyknął podekscytowany. – Kto to jest? Czy podejrzewacie go o coś? Czy to on mnie potem napadł?

Berg nie odpowiedział. Na czele podwładnych czym prędzej zawrócił do wyjścia. Chwilę później łoskot kroków ponownie poniósł się echem po

starej klatce schodowej. Tym razem były jeszcze szybsze. Nikomu nie trzeba było przypominać o upływie czasu.

## 91



Tym razem Berg wsiadł do jednego z radiowozów. Nie nakazał Mondowi pozostać na miejscu, ale jego mina mówiła wszystko. Honoriusz oczywiście całkowicie ją zlekceważył i gdy tylko Allegra wsiadła do jaguara, z rykiem silnika ruszył z miejsca. Zapadł już zmierzch, a coraz mocniejszy wiatr miotał po ulicy nie tylko liśćmi, ale również rozmaitymi śmieciami. Zapowiadała się jesienna, solidna nawałnica.

– A jednak to Wotler? – Szmit zdawała się kompletnie skonfundowana.  
– Mieliśmy go na widelcu od samego początku.

– Bez krzty dowodów.

– Ale teraz już się nie wywinie. Jestem pewna, że znajdą się ślady mikrobiologiczne, odciski palców czy czego tam trzeba, by udowodnić winę...

Mond oderwał wzrok od drogi i obrzucił ją krótkim, ale przenikliwym spojrzeniem.

– Jesteś pewna? – zapytał, ponownie skupiając się na prowadzeniu. – Tak właśnie czujesz?

– Nagle zaczęły cię interesować moje uczucia?

– Raczej przecucia. Choć zazwyczaj stanowczo je lekceważę.

Allegra przez chwilę milczała. Zdawało się, że odpowiedź miała gotową natychmiast, jednak nie chciała odezwać się nazbyt pochopnie. Gdy Honoriusz ponownie na nią zerknął, uśmiechnęła się nieznacznie.

– Jestem kompletnie nieprzekonana – odezwała się ponuro. – Mamy zeznania zdziwaczałego właściciela minizoo i nic więcej. Przy żadnym z miejsc zbrodni ani żadnym z trupów nie czułam jakiegokolwiek aury

Wotlera. Mógł nie zostawić najdrobniejszych śladów albo przebywałam tam za krótko... Swoją drogą, jest już prawie piąta.

Mond zabębnił palcami w kierownicę i zerknął na ekran nawigacji. Drogę przed nimi rozświetlały policyjne stroboskopy, więc pędzili, całkowicie nie bacząc na przepisy, ale do celu pozostał im nadal ponad kilometr.

– W najlepszym razie mamy jakąś godzinę – stwierdził Honoriusz. – A potem zginie czyjaś córka, siostra lub żona...

– Musimy coś zrobić.

– Robimy, co możemy, nie widzisz? To o wiele więcej niż modlitwa.

– Jak zwykle zaczynasz być opryskliwy.

Mond przeciągnął dłoń po twarzy i bąknął ciche słowa przeprosin. W tym samym momencie rozbrzmiał dzwonek jego komórki.

– Halo, komisarzu? – odezwał się, zerkając na ekran z informacją, kto dzwoni. – Co się dzieje?

– Nie ma go w domu. Wezwałem patrol, który był bliżej niż my. – Berg wściekle parsknął. – Rozumiesz, Mortalisto? Spóźniliśmy się. Twój pisarzyna już wyszedł na łowy.



## NOC

92



Allegra odchyliła głowę i głęboko wciągnęła powietrze. Z irytacją uderzyła dłońmi w kolana. Obróciła się do szyby, ale po chwili ponownie zerknęła na Monda.

– Co teraz? Co zrobimy?

Honoriusz zwolnił i nagle gwałtownie skręcił. Przeciął drogę przed dwoma autami, zbaczając z toru wyznaczonego przez pędzące prosto radiowozy.

– Jedźmy na Podgórze – rzucił, gdy jaguar wyszedł z zakrętu. Na szczęście komisarz nadal nie zakończył połączenia. – Niech pan skieruje tam wszystkie patrole, umundurowane i nieumundurowane, piesze, konne, jakie tylko są w tym mieście. Proszę ściągnąć tam ludzi z za biurków oraz z urlopów. I to natychmiast.

– Myślisz, że on będzie właśnie tam? – Berg najwyraźniej nie był przekonany. – Akurat na Podgórzu?

– Oczywiście. *Modus operandi* Kuby Rozpruwacza polegało na działaniu w konkretnym obszarze i nasz naśladowca doskonale to wie.

– Nawet jeśli masz rację, wysyłając tam tabuny policjantów, jedynie go spłoszymy. Nie wejdziemy do każdego mieszkania i domu...

– Czy spłoszenie to byłoby zbyt mało? – Mortalista parsknął. – Czy płosząc zabójcę, nie ratujemy czyjegoś życia?

– Tak, ale...

– Mamy szansę go złapać. Rozumie pan, komisarzu? On zrobi wszystko, aby właśnie dziś, i to w ciągu najbliższej godziny, zamordować kolejną osobę. Ucieknie tylko w ostateczności. Wiem to.

– Obyś miał rację. – Berg wymownie mlasnął. – Dobrze, skieruję wszystkich wolnych ludzi na Podgórze. A potem... Niech szukają wiatru w polu.

Komisarz się rozłączył i w aucie na moment zapanowała cisza. Niebo nad kamienicami niespodziewanie przecięła biała, oślepiająca błyskawica. Chwilę później powiew wiatru rozrzucił po ulicy zawartość przewróconego śmietnika. Zapowiadała się ogromna ulewa. Pojedynczy przechodnie przezornie przyspieszyli kroku lub rozkładali parasole.

– A my? Nie jedziemy na Podgórze? – Allegra zerknęła na Monda. – Masz inny plan?

– Chwilowo. Muszę zorganizować posiłki.

– O czym mówisz?

Honoriusz nie odpowiedział. Zatrzymał się przed wjazdem na podwórze kamienicy, gdzie mieściła się jego pracownia. Pchnął drzwi i wysiadł z samochodu. Musiał przytrzymać kapelusz, aby nie porwał go powiew wichury.

## 93



Banda Watażki była dumna z powierzonego zadania. Mond nakazał im szczególną ostrożność i niezapuszczanie się poza główne ulice. Mieli poruszać się co najmniej parami, nadstawiać uszu i wyteżać wzrok. Allegra przesłała na telefony komórkowe dwóch dzieciaków zdjęcie Cypriana Wotlera. Stanowiło jego oficjalny portret zamieszczany na okładkach książek.

– Gdyby ich rodzice wiedzieli, co robimy...

Słyszając tę uwagę, Mond głośno się zaśmiał.

– Ich rodzice nie zwróciliby uwagi, gdyby biegali po podwórku z kałasznikowami i bawili się w berka przy użyciu ostrej amunicji.

– Nie doceniasz instynktu rodzicielskiego. Tylko ci się zdaje, że to wyrzutki.

– Czyżby? Kiedyś przyłapałem ich na ostrzeliwaniu przechodniów z procy. Któreś z nich dostało ją od ojca, a Watażka pochwalił się, że jego stary, jak sam to powiedział, gwizdnął z lombardu kuszę sportową. Nie muszę ci tłumaczyć, co to jest.

– Nie musisz, ale domyślam się, że nie jest zbyt bezpieczna.

– Abstrahując od tego, że ze stu metrów zabije się nią człowieka, to mało wychowawczym jest chwalenie się „gwizdnięciem” czegoś.

– Kwestia perspektyw...

– Albo ich braku. Widziałaś, co najbardziej zmotywowało Watażkę do działania? – Mond zwolnił i zaparkował na chodniku nieopodal miejsca, gdzie Glik odnalazł zwłoki. – Czipsy octowe. Wie, że jeśli mu je obiecuję, z pewnością je dostanie. Dotrzymywanie słowa to podstawa w stosunkach z dziećmi.

– Mówisz jak profesor pedagogiki.

– Raczej jak czyjś syn. Pamiętam obietnice, które składali mi rodzice.

– I dotrzymywali ich?

– Nie zawsze. – Mond zamilkł, gdyż wieczorną ciszę przeciął trzask grzmotu. Wichura potęgowała się z sekundy na sekundę, lecz nadal nie padało. Z ulic zniknęła większość przechodniów, a ci, co pozostali, z dużym prawdopodobieństwem byli nieumundurowanymi funkcjonariuszami. Dziesiątki śledczych zostało skierowanych na Podgórze z nakazem przeczesywania podwórzy, pustostanów oraz trudno dostępnych zakamarków.

Kilka minut wcześniej Mond wypuścił czteroosobową bandę Watażki z auta. Aby zaoszczędzić czas, podwiózł trzech urwisów oraz dziewczynkę za Wisłę. Teraz jednak zaczynał tego żałować. W pobliżu czaił się nie tylko morderca, ale pogoda również stawała się coraz bardziej niebezpieczna. Po dwóch miesiącach suszy wszystko zwiastowało nadejście nawałnicy niewidzianej od lat.

Pozornie luźna rozmowa prowadzona z Allegrą kontrastowała z wyrazem skupienia na twarzy Honoriusza. Co chwilę pochylali się,

walcząc z porywami wiatru, i przytrzymywali nakrycia głowy. Mimo to brnęli od bramy do bramy, rozglądając się za Wotlerem lub czymkolwiek podejrzanym.

Mond powoli zaczynał się zrezygnowany. Zastanawiał się, czy nie popełnił jakiegoś błędu. Jego myśli meandrowały wokół obu listów i raz po raz kierowały się na tory dywagacji. Co sugerowała metoda obdukcyjna? Jakich odpowiedzi nie mogły udzielić zwłoki? Brak związku przyczynowo-skutkowego doprowadził ich na trop Wotlera. Ale jeszcze ważniejsze było trafić na trop kolejnej ofiary.

– Nie zawsze? – Allegra wycofała się z cuchnącego, pustego podwórza. Zamierzała drążyć poruszony przez niego temat. – Chcesz powiedzieć, że staruszkowie cię zawiedli? Ponieśli porażkę wychowawczą?

– Nie.

Mond nie dodał, że w oczach Szmit porażką wychowawczą musiało być pozwolenie kilkuletniemu chłopcu na uczestnictwo przy balsamowaniu zwłok lub ich rekonstruowaniu. Zapalił latarkę w telefonie, by oświetlić niewielki zaułek pomiędzy ciągiem garaży oraz pustostanem. W tym samym momencie z głębi ulicy dobiegł niski pisk gwizdka. Powtórzył się trzykrotnie w krótkich odstępach.

– To ktoś od Watażki! Chłopcy trafili na Wotlera.

Honoriusz czym prędzej rzucił się w stronę, skąd dobiegało wezwanie pomocy.



Matka śpi, więc chłopiec wychodzi z jej sypialni. Gdy jest już w progu, odwraca się i po chwili namysłu zawraca, by poprawić skraj kołdry. W końcu opuszcza pokój, po czym kieruje się korytarzem do pracowni ojca i jednocześnie miejsca obecnego spoczynku zwłok swojej

siostry. Nie ma w nim lęku. Kroczy pewnie, choć jego twarz jest bledsza niż zwykle, a spojrzenie czujniejsze.

Zerka na ogromny stojący zegar i stwierdza, że ma co najmniej godzinę. To dużo, a zarazem bardzo niewiele. Wszystko zależy od perspektywy.

Naciska klamkę i bez zastanowienia wchodzi do wielkiej sali. Wciąga zapach wieńców pogrzebowych oraz środków czyszczących. Odkasłuje, po czym powoli kieruje się w stronę metalowych drzwiczek umieszczonych w ścianie po lewej. Odryglowuje pierwsze z nich i natychmiast wyciąga szufladę. W umieszczonym na niej czarnym worku znajduje się ciało jego siostry.

Chłopiec działa niemal mechanicznie. Wielokrotnie podglądał, jak te czynności wykonywał ojciec. Kilka razy nawet mu przy nich pomagał. Jednak przeniesienie worka na metalowy wózek z hydraulicznym podnośnikiem stanowi dla niego wyzwanie. Męczy się, za wszelką cenę starając nie upuścić zwłok. Wreszcie mu się udaje. Z ulgą wypuszcza powietrze.

Teraz wystarczy przetransportować wózek do stołu i po prostu przeciągnąć worek z blatu na blat. To zajmuje mu ledwie kilkanaście sekund. Chłopiec wyciąga dłoń ku zamkowi, ale go nie otwiera. Po raz pierwszy delikatnie drży mu ręka. Przęłyka ślinę i zaciska zęby. Bierze dwa, trzy głębokie wdechy i przestępuje z nogi na nogę. Już czas. Nie może przecież zwlekać. Chce, by jego mama mogła zobaczyć małą Sofię taką, jakby spała. I żeby ojciec był z niego dumny. Zawsze tego pragnął, lecz najwidoczniej nigdy nie zasłużył na słowa pochwały.

Pociąga zamek, a poły worka powoli się rozchylają. Chłopiec zerka do środka. Serce bije mu coraz szybciej i na policzkach pojawiają się wypieki. Nagle zamiera w bezruchu.

– To nie są jej włosy – szepcze do siebie. – To nie jest ich kolor...



– Stójcie, koniec zabawy! Wasza rola jest skończona. Wiecie, na co się umawialiśmy...

Rudy chłopiec z bandy Watażki był bardziej posłuszny poleceniom Honoriusza niż ten dyspozycjom Berga. Momentalnie się zatrzymał i wypuścił z ust gwizdek. Zapewne wiedział, że jedynie bezwzględne podporządkowanie się umowie z Mondem przekuje się na obiecaną przez niego nagrodę.

– Tam! – Wskazał z zaczerwienionymi policzkami. – Tam, to na pewno on!

– Tam! – Wskazał z zaczerwienionymi policzkami. – Tam, to na pewno on!

Mond dostrzegł uciekającego mężczyznę. Nie przypominał postaci, którą ścigali z Allegrą przy budynku urzędu miasta, poruszał się inaczej, był wyższy i nieco bardziej nieporadny. Jednak nie było czasu na zastanawianie. Z jednej z bram wyszło dwóch umundurowanych policjantów, którzy dostrzegli uciekiniera, a następnie skierowali spojrzenia na Monda. Nie musiały paść żadne słowa. Rozpoczęła się szaleńcza gonitwa. Honoriusz nie zamierzał zostać na uboczu wydarzeń. Nie miał wątpliwości, że chłopiec rozpoznał właściwego człowieka. Uliczne łobuzy już kilkakrotnie udowodniły mu swoją spostrzegawczość oraz czujność. Do tego wypełniali zadania z nadgorliwością godną posługi misyjnej, jak określała ją Szmit.

– Stój, bo strzelam!

Ostra, zdecydowana komenda wybrzmiała ponad świstem wiatru. Najwyraźniej Berg nakazał zatrzymanie poszukiwanego wszelkimi sposobami i nadał sprawie najwyższy priorytet. Widząc rozwój wydarzeń, Mond się zatrzymał. Nie chciał wejść w linię strzału, a do tego ból nagle niemal go sparaliżował. Narastające napięcie, nawał pytań oraz wątpliwości sprawiły, że zaatakował go z siłą nadchodzącej nawałnicy.

– Co się dzieje? – Allegra w ostatniej chwili podtrzymała go, powstrzymując przed upadkiem. – Co jest?

– Nic... Nieważne.

Mond oparł się o pozbawiony tynku mur kamienicy. Podniósł wzrok, obserwując uciekającego. Mężczyzna, mimo wezwania, nie zatrzymał się.

– On może prysnąć w boczne podwórze...

– Złapią go.

– A jeśli nie?

Honoriusz całą siłą woli zmusił się do zrobienia kilku kroków. Sprawiał wrażenie, jakby chciał rzucić się w pościg, ale nogi niemal się pod nim uginały. Z rezygnacją zwiesił głowę i ciężko dyszał.

– Tam jest przejście na tyły kolejnych kamienic! – przestrzegł stojących wokół. – Strzelajcie, do cholery. W nogi...

Błyskawica przecięła niebo i przez chwilę zrobiło się jasno jak w dzień. Biegający mężczyzna rozejrzał się, szukając najlepszej drogi ucieczki. Jednak w tym samym momencie z bocznej uliczki wybiegło dwóch policjantów.

– Stój!

Mężczyzna nie posłuchał i rzucił się w bok. Mond z rezygnacją zacisnął pięści, gdy strzał ostrzegawczy zlał się z łoskotem grzmotu. Drugi policjant również wystrzelił w powietrze.

Uciekający zatrzymał się i uniósł ręce. Mimo dużej odległości Honoriusz miał wrażenie, że słyszał jego szpetne przekleństwo. Przeklinał siebie, świat i Boga.



Cyprian Wotler ciężko dyszał. Po jego policzkach spływał pot, który zbierał się na krótkim zaroście i skapywał na ziemię. Stojący obok niego policjanci byli podekscytowani, a w dłoniach wciąż ściskali pistolety.

Dwóch z nich mierzyło do niego, niczym myśliwi podchodzący do rannego zwierzęcia. Wszyscy zerkali po sobie, niepewni, czy potwór za chwilę się nie poderwie i nie spróbuje ich zaatakować. Jednak potwór jedynie zwiesił łeb i rozwarł nozdrza.

– Przeszukać go! – nakazał Berg.

Komisarz zjawił się przy zatrzymanym niemal jednocześnie z Mondem, który wraz ze Szmit nadbiegł od drugiej strony ulicy. Honoriusz z zaciśniętymi ustami przypatrywał się Wotlerowi. Na jego twarzy niezmiennie rysował się wyraz bezgranicznej koncentracji, niezmacony choćby delikatnym rozprężeniem.

– Mamy go – obwieścił tryumfalnie Berg. – Udało się!

– Jego z pewnością – zgodził się Mond. – I na razie, tylko jego.

– Zawsze musisz filozofować?

Berg uśmiechnął się z pobłażaniem i odwrócił do Wotlera. Jeden z policjantów zaczął go przeszukiwać dokładnie w momencie, gdy błyskawica rozdarła niebo. Chwilę później powiew wiatru rozwiał połę kurtki pisarza. Funkcjonariusz działał szybko i sprawnie. Po chwili cisnął na ziemię woreczek z białym proszkiem. Poza nim przy Wotlerze znalazł pokaźny plik banknotów i nic więcej. Mężczyzna nie miał nawet portfela.

– Co to jest? – Berg wskazał na zawiniątko i zrobił krok ku zatrzymanemu. – To tym paraliżowałeś ofiary?

– Ofiary? O czym pan gada?

– Dostałeś rozdwojenia jaźni?

– Nic nie wiem o żadnych ofiarach.

– Patrzcie na niego! – Berg teatralnie rozłożył ręce. – Prawdziwy doktor Jekyll i pan Hyde. Nic nie wie o ofiarach!

– Chcecie mnie zrobić. – Wotler pokręcił głową i spojrzał na Monda. – Od razu wiedziałem, że coś jest z wami nie tak. Dlaczego interesowała was moja książka? Po co były te wszystkie pytania?

Jeden z policjantów włożył worek z białym proszkiem do torebki dowodowej i zakleił ją specjalną taśmą.



– Zdaje się, że to kokaina – mruknął ze znużeniem. – Ale kto go tam wie. Pewnie zaraz będzie twierdził, że to cukier.

– Dlatego uciekałem. – Pisarz hardo spojrział w oczy Berga. – Chcieliście mnie zrobić, to macie. Ale nic wam nie powiem o żadnych ofiarach.

– Nie powiesz? O tym jeszcze się przekonamy.

Berg chwycił Wotlera za kołnierz i postawił go na nogi. Sięgnął po podane przez jednego z podwładnych kajdanki, po czym brutalnie zakuł ręce pisarza. Pchnął go w stronę auta.

## 97



– Kiedy chciałeś dokonać kolejnego mordu? Czekając na konkretną godzinę, co?

– O czym pan gada? – Wotler zaczął się nerwowo telepać. – Jakiś człowiek zapłacił mi za przechowanie tego woreczka... Potrzebowałem forsy, a kiedyś poznałem paru dilerów... To wy go podstawiliście?

– Jakiś człowiek. – Berg odwrócił się i puścił oko do Monda. Wyraźnie się uspokoił. – Już słyszeliśmy tę gadkę, no nie? Ale nic nie zdarza się dwa razy. Przynajmniej nie jednego wieczoru.

– Może...

Mond podszedł do policjanta, który trzymał woreczek na dowody, i bez pytania po niego sięgnął. Cieszył się na tyle dużym szacunkiem, że zdębiały funkcjonariusz się temu nie sprzeciwił. Nie zaprotestował nawet, gdy Honoriusz rozdarł zabezpieczenie i włożył do środka zaśliniony palec.

– Czyś ty zwariował?!

Berg ryknął, przekrzykując łoskot toczących się po chodniku puszek. W tle zaakompaniował im pomruk grzmotu. Jednocześnie spadły pierwsze, wielkie krople deszczu.

Mond wsunął palec do ust i opuszką palca roztarł nabrany proszek po dźwięśle. Następnie je oblizał. Przez jego twarz przebiegł dziwny, nerwowy tik.

– To mąka. – Uśmiechnął się blado. – Ten człowiek mówi prawdę. Nie ma pojęcia o ofiarach...

Berg zdębiał. Sprawiał wrażenie, jakby chciał się przekonać, że czegoś nie dosłyszał. Roześmiał się i niedbale machnął ręką.

– To nie on – wycedził Mond.

– Ta, jasne! A trafiliśmy na niego przez czysty przypadek?

– Tego nie powiedziałem.

– Daj spokój, Mortalisto. – Komisarz wepchnął Wotlera do radiowozu i wsiadł za nim do środka. Po chwili wyjrzał na zewnątrz. – Za dużo myślisz. Czasem niepotrzebnie komplikujesz sprawy. Lepiej wracajcie do domu, nim kompletnie zmokniecie.

Drzwi się zatrzasnęły, a Honoriusz zerknął na Allegrę. Szmit z zaciekawieniem przekrzywiła głowę.

– Nie staraj mi się niczego tłumaczyć, tylko mów, co mamy robić – odezwała się zdecydowanie. – To nie było tylko puste przeczucie. Ten człowiek ma dobrą aurę, nie wierzę, żeby kogokolwiek zabił...

Te słowa jakby wlały w Monda nową energię. Chwycił klamkę radiowozu i z całej siły za nią szarpnął. W szybie pojawiła się wściekła twarz Berga. Tymczasem ulewa z sekundy na sekundę nabierała na sile.

– Czego chcesz?

Słowa komisarza można było bez problemu wyczytać z ruchu jego warg.



– Proszę mi wierzyć, komisarzu. Nie ma czasu na tłumaczenia.

– A jednak jeśli chcesz cokolwiek zdziałać, masz minutę, żeby mi się wytłumaczyć. Za kwadrans chcę być w komendzie, a za godzinę mieć załatwione papiery z przyznaniem się przez tego gnojka do winy. Dzięki temu zdążę do domu na kolację, a uwierz, moja żona świetnie gotuje, więc mam po co wracać.

Berg najwyraźniej był już myślami przy rodzinnym stole, przed miską Kartoffelsalat albo białej kiełbasy z musztardą, a zapewne jeszcze bardziej przy kuflu z bawarskim piwem. Jednak Mond również nie zamierzał tracić czasu.

– W tej sprawie wszystko dzieje się z nadzwyczajną precyzją – odezwał się, wyciągnąwszy z kieszeni opakowanie cygaretek. – To wyklucza jakikolwiek zbieg okoliczności, ale też sprawia, że wszelkie odstępstwa muszą mieć swój powód.

– Ja jestem takim odstępstwem! – Z radiowozu wrzasnął Wotler.

Berg uciszył go szturchnięciem pod żebra.

– Zamknij się. A ty, Mortalisto, mów szybciej, bo masz już tylko pół minuty.

– Zostałem dwukrotnie napadnięty – ciągnął Mond. – Raz zapewne przypadkowo, gdy przyjechałem na posesję krewnego jednego z dawnych podejrzanych o bycie Kubą Rozpruwaczem, natomiast drugi raz z pełnym rozmysłem. A mimo to, choć sprawca miał mnie na muszce, wystrzelił ślepym nabojem.

– O czym ty mówisz? Chyba nie byłeś ze mną w tej sprawie szczerzy, Mortalisto...

– Proszę mi nie przerywać. Niech pan pomyśli o tych listach. Jeden naprowadza na trop Glika, drugi na trop Wotlera. Mamy trzy możliwości. Albo to dwa fałszywe ślady, albo jeden z nich wskazuje mordercę, albo robią to oba. Jednak w tym przypadku wszystko musi wyjść na zero.

Berg słuchał Honoriusza z coraz bardziej wytrzeszczonymi oczami. Wychylił się z radiowozu i oparł dłońią o drzwi. Stojąca obok Allegra również, całkowicie niemo, starała się nadażyć za tokiem rozumowania

Mortalisty. Tymczasem Mond mówił coraz szybciej, jakby z każdym słowem sam coraz lepiej rozumiał sytuację.

– Jeden minus jeden daje zero, zero, czyli wieczność, stabilność, trwałość... – Obliznął usta i schował dopiero co wyciągnięte cygaretki. – Gdyby nie czysty przypadek, udałoby się nam złapać mordercę w parku rozrywki. On sam się nam podłożył. Potem zrobił to ponownie...

– Co ty bredzisz? Myślisz, że on chciał, żebyśmy go złapali?

– Tak. A przynajmniej jakaś część jego osobowości. Cały czas kotłuje się w nim dobro i zło, co również w rozrachunku daje zero.

– Oszalałeś, Mortalisto. Starasz się dokonać kwadratury koła.

– Nie! „Czasem dobro i zło się równoważą. Mrok musi mieć jasną stronę, a jasność mroczną. Ofiary bywają zabójcami, a zabójcy ofiarami”. Czy to nie jest całkowicie jasne? A kolejne zdania listu brzmiały jeszcze wymowniej: „Wszystko przecież musi wyjść zupełnie na zero. Wszak to, co pod ziemią, nad ziemię wchodzi. A i to tylko po to, by zachowana została niebiańska symetria”.

– Pięknie cytujesz z pamięci, ale dalej mam poczucie, że morderca siedzi tu przy mnie. To wszystko można odnieść właśnie do niego. Weź coś na uspokojenie i wracaj do hotelu.

Berg ze zniecierpliwieniem dał znać siedząc

– Zgadza się liczba zgonów oraz sposób śmierci! – wrzeszczał Mond. – Miejsca, liczby, odległości. Ale mimo to wszystko jest inaczej, rozumie pan? Ktoś wrobiony w morderstwo równoważę trop rzucony przez sprawcę na samego siebie...

Komisarz z dezaprobatą pokręcił głową i strzepnął z nogawki mokre krople. Z rozbawieniem zaskłutował Mondowi, po czym zamknął drzwi. Gdy radiowóz ruszył, otworzył szybę.

– Za dużo kombinujesz, Mortalisto! – krzyknął. – Mam tu mordercę i niedługo dowiem się od niego wszystkiego. Może ci o tym opowiem, ale...

Kolejne słowa zagłuszył ryk wichury oraz szum deszczu. Allegra chwyciła Monda pod ramię i uniosła ponad nich parasol. W tej samej chwili niebo przecięła kolejna błyskawica.

– To koniec... – stwierdziła. – Chodźmy gdzieś się osuszyć.  
Honoriusz potrząsnął głową jak pies otrzepujący się po wyjściu z rzeki.

## 99



– Dokąd idziesz?

Allegra z trudem nadążała za Mondem, starając się ukryć ich pod parasolem. Jej akrobacje dodatkowo utrudniały huraganowe porywy wiatru. Jeden z nich wywinął parasol na drugą stronę i połamał druty.

– Cholera, Honri!

Szmit wściekle sapnęła i naciągnęła mocniej берет. Wyrzuciła parasol do kosza, z którego wiatr wywiewał śmieci. Pobliska studzienka kanalizacyjna wylała i po bruku płynął wartki potok brudnej wody.

– On nam podstawił Wotlera. Od początku podrzucał fałszywe tropy, mieszając do sprawy nieistotne osoby i wątki. Robił dokładnie to samo, co Kuba Rozpruwacz, pisząc listy i obwiniając a to Żydów, a to wyższe sfery...

– Tylko że wiele wskazuje na winę tego pisarza. Starasz się kopać z koniem i przekonać, że jest niewinny.

– Nie. To fakty nie pasują mi do teorii, a nie teoria do faktów.

– Tak mówił Giordano Bruno, zanim spalili go na stosie.

– Na szczęście czasy się istotnie zmieniły...

Mond zatrzymał się tak gwałtownie, że Allegra na niego wpadła. Nie bacząc na deszcz spływający strugami z ronda kapelusza, Honoriusz zaczął przebierać dłońmi w kieszeniach płaszcza, a potem marynarki.

– Czyś ty zwariował? – Allegra pchnęła go ku pobliskiej bramie. Ulewa zacinała do środka, ale przynajmniej nie musieli krzyczeć, by się usłyszeć.

– To nie mógł być przypadek. Miejsca mają większe znaczenie, niż sądziłem...

– Jakie miejsca?

– Parki, zaułki, podwórza...

Mond rozgorączkowanym ruchem wyjął z jednej z kieszeni złożoną w kostkę turystyczną mapę Krakowa. Rozłożył ją i, nie zważając na spływającą z jego ubrania wodę, zaczął ją analizować. Przesunął się ku ścianie, by padło na nią więcej światła z zawieszanej w bramie latarni.

– Każde działanie sprzeczne ze schematem musi zostać zrównoważone przez ścisłe trzymanie się norm – odezwał się pobudzonym tonem. – Dlatego morderca zaczął sobie utrudniać zadanie, skupiając się na apokryfach. Zamiast zabijać niczym sztampowy Rozpruwacz, musiał zdać się na komplikacje. Wtedy miał poczucie wyjścia na zero...

– To szalone.

– Musimy myśleć jak szalowiec, rozumiesz? Jak człowiek z nerwicą natręctw, który jest przekonany, że jeżeli nie cofnie się po nadeptnięciu na łączenie płyt chodnikowych, świat nagle się skończy.

– Nawet jeśli to prawda... Do czego zmierzasz?

– Przeczytałem o niemal wszystkich zbrodniach przypisywanych Kubie Rozpruwaczowi oraz osobom z jego czasów. Zdanie „To, co pod ziemią, nad ziemię wchodzi” było sugestią nie tylko co do tego, że ofiarę umieści w koronach drzew, w tamtym parku.

Allegra bez przekonania kiwnęła głową.

– Ale również co do tego, gdzie znajduje się inna? Biorąc pod uwagę, że resztę znaleziono po prostu na ziemi, równaniu brakuje przeciwwagi.

– Właśnie. Tyle że niektóre zabójstwa apokryficzne również popełniono, wieszając ofiarę na jednym z dźwigów przy Tamizie.

– Nie widzę bezpośredniego związku.

– A ja owszem!

Oczy Monda rozświetliła kolejna błyskawica. Rozdzierający atmosferę grzmot dosłownie wstrząsnął okolicą.



– O bycie Kubą Rozpruwaczem podejrzewano człowieka zwanego Mordercą z Tamizy. – Mond z irytacją kilkakrotnie przegładził dłonią mapę. Od wilgotnego powietrza papier giął się i opadał. – Tyle że to była ślepa uliczka. Anonima podejrzewano o bycie anonimem... Figa z makiem.

– Ale?

– Słucham?

– Musi być jakieś „ale”. Widzę, jak pracują wielkie tryby twojego mózgu.

– Może...

Mond oparł się obiema rękami o rozpostartą na ścianie mapę. Patrzył na nią pod różnymi kątami i ciężko wzdychał.

– Morderca z Tamizy tylko raz zadziałał na powierzchni ziemi. Co do zasady, jego ofiary znajdowano w kanałach nieopodal rzeki na południe od Whitechapel. – Honoriusz wyprostował się i pstryknął palcami. – Na południe, rozumiesz? Natomiast park przy Rudolfa Ksandra znajduje się na północ od Podgórze. On stosował pi razy oko, żeby użyć nomenklatury matematycznej, odbicie lustrzane mapy Londynu. Dlatego punkty nie pokrywały się tak dokładnie. Tak, to chyba ma sens!

– Zaraz, zaraz, sugerujesz, że...

– Wisła robi za Tamizę. Dzieli Kraków na dwie części, a ulica Ksandra wyznacza kwartał działalności mordercy poza Podgórzem.

– Czyli...

– Jest gdzieś tu. – Mond zatoczył palcem koło na mapie. – Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

– Musimy znaleźć kanały lub podziemia, do tego na tyle odludne, by mógł tam zawlec nieświadomą ofiarę... To nie powinno być trudne. Obszar obejmuje mniej niż kilkaset metrów kwadratowych.

Honoriusz po raz kolejny ponuro westchnął.

– Wszystko świetnie, tyle że mapa turystyczna nic mi nie pomoże. Za słabo znam Kraków, aby wytypować właściwe miejsce.

– Nie może być ich wiele.

– Wystarczy mi jedno!

Allegra zamknęła oczy i zagryzła usta. Przez chwilę wyglądała, jakby się modliła. Dotknęła mapy niczym talizmanu, po czym wiodła po niej na oślep palcem. Znała Kraków jak własną kieszeń, o czym Honoriusz już kilkukrotnie się przekonywał. Nagle otworzyła oczy i spojrzała na niego. Kilkukrotnie zamrugwała. Kiwnęła głową, bijąc się z jakąś myślą, wreszcie uznała ją za wystarczająco przekonującą.

– Chyba wiem, gdzie to może być! – krzyknęła. – To niedaleko stąd! Mój Boże...

## 101



Mond i Szmit biegli całkowicie pustą ulicą, rozbryzgując przy każdym kroku kałuże. Nie zważali, że są całkowicie przemoczeni, ich ubrania nadają się do wyżęcia, a z butów można by wylewać wodę. W ciągu kilku minut pokonali blisko kilometr. Zajął im to mniej czasu niż powrót do samochodu i próba dojechania do miejsca, które przyszło do głowy Szmit. Co więcej, Allegra miała głębokie przeczucie, że się nie myli. Nic o nim nie powiedziała, ale Mond dostrzegł w jej twarzy wyraz nadzwyczajnej determinacji. Bez wahania postanowił jej ślepo zaufać.

– Cholera!

Poryw wiatru zerwał z jego głowy kapelusz. Odwrócił się, ale fedora potoczyła się daleko ulicą. Mond nie tracił czasu, by zawracać. Dogonił Szmit i po chwili skręcili w boczny zaułek niedaleko bulwarów wiślanych. W oddali, za zakrętem rzeki, widać było podświetlony przez kolejne rozbłyski Wawel. Sprawiał on teraz upiorne wrażenie.

„Niczym Tower” – przeszło Mondowi przez myśl.

– To już tutaj. Chodź!



Allegra poprowadziła go ku niewielkiej, betonowej konstrukcji ponad linią obszaru zalewowego. Po tygodniach suszy poziom Wisły był wyjątkowo niski, ale teraz szybko się podnosił. Co więcej, okolica zaczęła przypominać namoknięte bagno.

– To dawne kanały ochronne wybrzeża. Nie znam żadnego innego podobnego miejsca.

– Piękny zabytek peerelu.

– Nie pasuje do twojej wizji?

– Pasuje aż nazbyt dobrze...

Te ostatnie słowa Honoriusz wypowiedział, wskazując na wyłamana kłódkę, która swobodnie zwisała z metalowej kraty. Skobel był odgięty, a do środka, po betonowych stopniach, lała się woda.

– Pod ziemią znajduje się cała sieć tuneli oraz odpływów. Częściowo łączą się z kanalizacją miejską, choć tego nikt oficjalnie nigdy nie przyznał. – Allegra wyjęła beret i odrzuciła mokre pukle włosów do tyłu.

Po chwili sięgnęła po telefon, a następnie uruchomiła latarkę. Jej światło przecięło mrok panujący w pomieszczeniu.

Znajdowali się w konstrukcji przypominającej bunkier, która stopniowo schodziła pod ziemię. Jej ściany były pokryte pleśnią oraz różnymi wykwitami. Podłoże stanowiła warstwa mułu oraz piasku. Wilgotny, rybi smród mieszał się z odorem zgnilizny i przy każdym oddechu dosłownie oblepiał nozdrza. – Przynajmniej nie zmokniemy – skwitowała Szmit.

– Byłaś tu wcześniej?

– Kiedyś pewien maniak zabrał mnie tu na randkę.

– Kolega z sekty Jana Nepomucena czy Matki Boskiej Przeciwpowodziowej?

Uśmiech zniknął z twarzy Monda tak szybko, jak się pojawił. Honoriusz wziął telefon z dłoni Allegry i, oświetlając drogę latarką, ruszył w głąb tunelu. Szedł szybko, ale ostrożnie. Oświetlał przestrzeń jedynie na kilka metrów przed swoimi nogami, jednocześnie przez cały czas uważnie nasłuchiwał. Nie musieli się skradać, gdyż odgłos kroków był zagłuszany przez szmer wody wlewającej się z dziesiątek rur oraz rynien. Choć korytarz nie schodził już w dół, z sekundy na sekundę

obmywający ich stopy strumień stawał się głębszy. Po kilku minutach sięgał już powyżej ich kostek.

– A jeśli się spóźniliśmy? – Allegra zaczęła się niepokoić. – Albo trafiliśmy tu przez czysty przypadek i zupełnie na marne?

– Przypadek? – Mond szedł coraz szybciej. – Nadal w nie wierzysz? I w wyłamane kłódki? Ten szalenciec prowadzi nas wedle jasnego scenariusza.

– Chcesz powiedzieć, że cały czas gramy do jego melodii?

– Dotąd tak.

– Jest tak genialny?

Nagle Honoriusz się zatrzymał. Uniósł telefon na tyle wysoko, że światło latarki oświetliło załamanie korytarza. Wyprostował się i z uznaniem spojrzął na Szmit.

– No co? Powiedziałaś coś głupiego?

– Wręcz przeciwnie.

– Chyba nie nadażam za własnymi słowami.

Mond przeczesał palcami mokre włosy i ściągnął poły płaszcza.

– Uważaj i trzymaj się za mną – poprosił, po czym głęboko nabrał powietrza.

Chwilę później zaczął krzyczeć wniebogłosy.

## 102



– Boże, uspokój się! Co się dzieje?

Allegra chwyciła Monda pod ramię i starała się go uspokoić. Wyciągnęła dłoń ku jego twarzy, lecz ten ją odtrącił. Nie przestawał krzyczeć, a jego głos niósł się echem po korytarzach. Wrzeszczał tak głośno, że całkowicie zagłuszył szmer podnoszącej się wody.

– Honri! Proszę!

– Tss...

- Co się dzieje? Czyś ty zwariował?
- Nie mów przez chwilę, proszę.
- Ale...
- Tss...

Mond jak oszalały zaczął machać latarką, tak że snopy światła wznęły się głęboko w mrok tunelu. Drugą dłoń uniósł ku ustom i przyłożył do nich palec wskazujący. Allegra przynajmniej zrozumiała, że wszystko, co robił, było zaplanowane. Nie miała jednak pojęcia, czy plan ten wynikał z rozsądnej kalkulacji, czy stanowił rezultat napadu czystego szaleństwa. Wtem w głębi korytarza usłyszała stłumiony pisk, po którym rozległy się głośne, stawiane w wodzie kroki.

- Cofnij się – nakazał jej Mond.
- Dlaczego?

Honoriusz nie odpowiedział, mimo to Szmit bez dalszej polemiki stanęła za jego plecami. Chwilę później dostrzegła światło rzucane przez trzymaną przez kogoś lampę. Raptem po sekundzie lub dwóch zobaczyła w nim kontur dwóch postaci – mężczyzny oraz popychanej przez niego kobiety, która poruszała się powoli i niezgrabnie. Zapewne miała skrępowane czymś na wysokości kostek nogi.

– Niech nas pan zamorduje! Przyszliśmy, aby to się dokonało... Nie mamy broni! – Mond rozłożył ręce, pokazując, że rzeczywiście nie jest uzbrojony. – Śmiało.

Szmit była niemal pewna, że jej przyjaciel zwariował. Tymczasem z piersi idącego dobył się przeciągły, ostry krzyk. W tym samym momencie do środka dostała się woda z jakiegoś bocznego ścieku, w ciągu kilku sekund podnosząc poziom podziemnego strumienia powyżej pasa Honoriusza.

Allegra z trudem utrzymała się na nogach. Mrużyła oczy, starając się spojrzeć pod światło i rozpoznać rysy idącego. Ten pchnął w ich stronę około czterdziestoletnią kobietę, która niemal upadła. Gdyby straciła równowagę, porwałby ją prąd i nie byłoby szansy jej uratować. Ściek coraz mocniej przypominał dziki górski strumyk. Mond momentalnie

rzucił się i chwycił jej rękę. W tej samej chwili jej oprawca opuścił lampę, a Szmit dostrzegła jego twarz.

– A jednak... – wyszeptała z konsternacją.

W odpowiedzi na jej słowa mężczyzna uniósł pistolet.

## 103



– Tym razem jest naładowany. – Hubert Glik cicho się zaśmiał. – Rezultaty wszelkich działań przekroczyły punkt krytyczny. Zdaje się, że może go zrównoważyć jedynie śmierć.

– Liczyłeś na to, że dojdziemy do jakiejś sali tortur, którą przygotowałeś w tych ściekach? – parsknął Mond. – A jednak krzycząc, wywlokłem cię z twojej nory. Nie byłeś w stanie tam zostać, prawda?

– To ona powinna krzyczeć. – Glik z irytacją wskazał pistoletem na kobietę. – Taki był plan. To kolejne ofiary zwabiły brytyjskich inspektorów.

– Ale naśladowanie historii się nie powiodło.

– Czasem rezultaty operacji matematycznych są nieprzewidywalne.

Mond jedną ręką trzymał kobietę, podczas gdy drugą chwycił się za występ muru. Prąd był coraz silniejszy, a woda sięgała niemal do linii jego żeber.

– Pozwól im odejść – odezwał się oschle. – Zostanie nas dwóch. Taki układ odpowiada historii.

– Jeden minus jeden pozostawi pustkę – odparł Glik.

– Czy nie o to chodzi od samego początku?

– Myślisz, że to takie łatwe?

Mond wzruszył ramionami. Kątem oka dostrzegł, że Allegra ledwie opiera się prądowi, a w jej twarzy wyczytał narastającą panikę. Nic dziwnego, skoro woda lada chwila mogła zakryć jej ramiona.

Przynajmniej uwolniona kobieta była nieco wyższa, choć skrępowane nogi nie polepszały jej sytuacji.

– To tylko szaleństwo liczb – skwitował cierpko. – Urodziłeś się równo sto lat po domniemanym mordercy z Tamizy, a potem postanowiłeś wypełniać jego życie we współczesności.

– Nie chodzi o datę urodzenia.

– A o co?

– O reinkarnację!

Mond słysząc te słowa, głośno się zaśmiał i opuścił głowę. Jednocześnie wymienił porozumiewawcze spojrzenie ze Szmit. Nagle gwałtownie przesunął się w bok, po czym rozłożył szeroko ręce.

– Uciekajcie! – wrzasnął. – Uciekajcie natychmiast!

Glik bez wahania uniósł pistolet.

## 104



Allegra chwyciła uwolnioną kobietę pod ramię i, wlokąc ją, starała się brnąć ku schodom. Musiały pokonać jakieś sto pięćdziesiąt metrów, co dla osoby ze związanymi nogami oraz drugiej, której woda sięga ramion, nie było łatwe. Co gorsza, Szmit spodziewała się w każdej chwili usłyszeć strzał. Była gotowa zanurkować i pociągnąć za sobą towarzyszkę. Mimo to za jej plecami rozległ się jedynie stłumiony śmiech Monda. Wydawało się, że Mortalista naprawdę oszalał.

– To tak nie działa. Morderca z Tamizy nie polował na mężczyzn. Nie miał ani jednej męskiej ofiary, co również zapewne wynikało nie tylko ze zboczenia, ale i ze zwykłej kalkulacji. Oczyszczał świat z kobiet...

Honoriusz szeroko rozkładał ręce, ograniczając w ten sposób Glikowi pole widzenia. Znajdował się na linii strzału i skutecznie osłaniał plecy uciekających kobiet.

– Wiesz o tym, prawda? – zagadnął, spoglądając prosto w oczy zbrodniarza. – W końcu jesteś jego reinkarnacją.

– Nie kpij!

– Myślisz, że zostaniesz zapamiętany tak samo jak morderca z Tamizy? Ale przecież wszyscy znają go jako Kubę Rozpruwacza. Czy może to dwie różne osoby?

– Pieprz się i się przesun! – Glik potrząsnął pistoletem. – Rozwalę ci łeb! Rozumiesz, że przez całe życie miałem przebłyski wspomnień z tamtego życia? Nie mogłem uciec od przeznaczenia.

– Teraz też nie?

Spokój Monda wyprowadzał Glika z równowagi. Charczał i klął, plując przy tym na wszystkie strony. Trzymana przez niego w lewej dłoni lampa zamrugwała. Widząc to, Honoriusz schował telefon do kieszeni. Przesunął się wzdłuż linii strzału.

– No, naciśnij spust! Ale zaburzysz tym wszystko, co próbowałeś osiągnąć przez całe życie.

– Odsuń się!

– Nie jesteś tak zły, jak chciałeś być. – Mond krok po kroku cofał się, choć przychodziło mu to coraz trudniej. Woda napierała z ogromną siłą, a wokół wręcz się kotłowała. Zmoczona lampa Glika ponownie zaczęła mrugać. Jednocześnie nie słyszał, czy Allegrze i uwolnionej kobiecie udało się już wydostać z tunelu. – Nawet zbrodnie musiały wychodzić na zero, prawda?

– O czym ty mówisz?

– Donosiłeś na siebie, bo chciałeś, żebyśmy cię złapali. Jednocześnie, aby równanie zostało wyczyszczone po obu stronach, wysłałeś anonim z fałszywym tropem. Dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że sprowadzasz swoje życie do idiotycznej kalkulacji.

– Bzdura...

Glik zacisnął usta, ale przez jego twarz przemknął rozpaczliwy grymas. Z wytrzeszczonych, zaczerwienionych oczu popłynęły łzy. Jednak nadal nie przestawał mierzyć w Monda.

– Całe życie podporządkowałeś swojej roli – ciągnął Honoriusz. – Opiekowałeś się psami i kotami, bo w ten sposób wynagradzałeś złe uczynki?

– Zamknij się... Niczego nie rozumiesz.

– A może wmówiłeś sobie, że jesteś reinkarnacją poganiacza zwierząt pracującego na jednym ze statków, tak? To jego oskarżano o bycie mordercą z Tamizy. Ponoć wierzyła w to nawet królowa Wiktoria.

– Pieprz się!

Kolejna rura wyrzuciła z hukiem ogromny potok wody, który pozbawił stopy Monda oparcia. Honoriusz runął do przodu i musiał ratować się wymachami rąk, odsłaniając Glikowi widok w głąb kanału. W tym samym momencie padł strzał. A potem kolejny.

## 105



Mond, parszając i kaszląc, usiłował utrzymać równowagę. Pęd wody był jednak zbyt mocny, a do tego mało brakowało, by całkowicie wypełniła kanał. Musiał płynąć. Lampa Glika zamrugwała kilkakrotnie i zgasła. Tym samym wokół zapanowała całkowita ciemność. Honoriusz modlił się, by wystrzelone pociski nie trafiły żadnej z uciekających kobiet.

– Kuby Rozpruwacza nikt nie znalazł! – wrzasnął. – Nikt nie dowiedział się, kto był mordercą z Tamizy!

Przeraźliwy krzyk poniósł się za jego plecami. Zaciśnął usta i po omacku wyciągnął dłoń. Udało mu się uchwycić skraj kurtki Glika.

– Przestań! – Szalencie szarpnął się, lecz Mond przyciągnął go ku sobie. Choć nie mógł tego widzieć, miał wrażenie, że w kompletnej ciemności jego spojrzenie spotyka się z szalonym spojrzeniem zbrodniarza.

– Daj się osądzić – parsknął. – A potem Bóg oczyści twoje sumienie.

– Pieprzę Boga.

– Nawet w tym zdaniu dbasz o rezultat zerowy?

Glik cicho się zaśmiał.

– Nauczyli mnie tego rodzice – głośno wypluł wodę i zacharczał – gdy godzinami rozwiązywałem zadania matematyczne, a potem opowiadali mi o boskim porządku świata. Nie nauczyłem się niczego. Skończyłem niemal jako bezdomny! Ale miałem wszystko, rozumiesz?

Honoriusz odkaslnął. Woda błyskawicznie się podnosiła i wciągała go pod powierzchnię. Walcząc z jej naporem, nie mógł ani chwili dłużej trzymać Glika. Usiłował go pociągnąć ze sobą, lecz to przekraczało jego siły. Szaleniec ze wszystkich stron zapierał się i próbował wyrwać.

– Puść mnie. Każdy początek ma swój konkretny koniec!

– Utoniesz. – Mond ponownie odkaslnął i przysłonił usta dłonią. – Za kilka minut woda wypełni cały kanał.

– Wtedy napiszę kolejny list z piekła!

Glik gwałtownie się szarpnął i rzucił pod wodę. Honoriusz uświadomił sobie, że trzyma jedynie jego kurtkę, która kompletnie mokra opada na dno. Nie miał czasu próbować ponownie go złapać. Od stropu dzieliło go jedynie kilkanaście centymetrów. Wyczuwał to, unosząc dłoń ponad głowę. Musiał odzyskać orientację. Wydawało mu się, że gdzieś przed nim mrugnęło światełko, ale mogło to być jedynie złudzenie.

Płynął niemal na oślep. Machał rękoma, starając się pokonać prąd. Przez chwilę słyszał, że za jego plecami szaleniec walczy z wodą, jednak nagle rozległ się bulgot, a potem zastąpił go jedynie przeraźliwy szmer pędzącego strumienia. Zanurkował. Podobnie jak w przypadku wirów miał nadzieję, że przy dnie prąd będzie słabszy i uda mu się płynąć ku wyjściu. Nadaremno.

Na całej głębokości woda pędziła w tempie wartkiego górskiego strumienia. Dziesiątki tysięcy litrów deszczówki oraz ścieków po prostu przelewały się, wtłoczone do kanału niczym kranówka do wąskiego hydrantu. Nic nie mógł poradzić. Wydawało mu się, że oddala się od wejścia, choć nie widział już nawet najdrobniejszej plamki światła.



Na dobre stracił orientację i, parskając, z trudem zaczerpnął powietrza. Od stropu tunelu dzielił go prześwit pozwalający ledwie wynurzyć nos oraz usta. Był stracony. Przez myśl przeszło mu, że ten diabelny kanał będzie jego wodospadem Reichenbach. Wątpił tylko, czy Glik był przeciwnikiem godnym Moriartego. Kanclerz przecież wciąż pozostawał na wolności.

„Sherlock. Co ja mam z Sherlocka, że wszyscy mnie do niego przyrównują?” To pytanie wydało mu się idiotycznie żalosne, jak na ostatnią myśl w życiu.

## 106



Mond nie zamierzał się poddać bez walki. Choć życie było często związane z bólem, lubił je. A przynajmniej tolerował. I jako o pewną wartość zamierzał się o nią pojedynkować z każdymi przeciwnościami losu.

Zrobił kilka mocnych wyrzutów ramion, ale miał wrażenie, że nurt jedynie wciąga go w głąb kanału. Nie bał się. Był jedynie bezgranicznie rozczarowany okolicznościami oraz swoją nieudolnością. Zawsze myślał, że o ile nie umrze w łóżku, stanie się to w znacznie bardziej spektakularnych okolicznościach. Być może chętnie miał się za kogoś wyjątkowego, kto, nawet zabierając się z tego świata, robi to z właściwym rozmachem. Ale czy miało to jakiegokolwiek znaczenie?

Kilkukrotnie machnął ramionami i zrzucił obciążający go płaszcz. Brakowało mu powietrza i uderzał głową o strop. Jednak w chwili, gdy chciał nabrać ostatni wdech, wydało mu się, że dostrzega światło. Błysło kilkanaście metrów od niego.

– Honri! – krzyk zlał się z przerażającym szumem wody.

To nie był omam. Nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Allegra znajdowała się u wyjścia z kanału, ale to niczego nie zmieniało. Nie

mogła go uratować, chyba że...

– Łap to! Widzisz? Musisz wyczuć węża. Jest gdzieś obok ciebie, na pewno cię dosięga!

Mond natychmiast przebrał wokół rękoma. Wzburzona woda była lodowata i niosła jedynie śmieci. Jednak... Nagle jego dłoń trafiła na twardą, śliską gumę. Wąż unosił się na powierzchni, tuż poniżej stropu.

– Jesteś tam?! Honri!

Zdał sobie sprawę, że Allegra go nie widzi. Musiał dać jej znać, że udało mu się uchwycić wąż. Był to zapewne jeden z technicznych sprzętów strażackich przygotowanych na wypadek konieczności odpompowywania wody. Na szczęście zdawał się dość sztywny, by udało mu się go naprężyć i szarpnąć.

– Honri? Jeśli to ty, pociągnij raz jeszcze!

Pociągnął, jednocześnie biorąc ostatni wdech. W sekundę później woda wypełniła cały kanał, odcinając go od dostępu powietrza.

Choć teraz siła nurtu nieco zelżała, nadal nie miał szansy na samodzielne pokonanie całego odcinka do wyjścia. Na szczęście Szmit najwyraźniej poczuła jego szarpnięcie. Mocne, zdecydowane ruchy powoli przybliżały go do plamki światła, która rosła gdzieś ponad wodną kipiela.

Trzy.

Dwa.

Odliczał, starając się zagłuszyć pragnienie zaczerpnięcia powietrza. Matematyka i liczby były przekleństwem nie tylko Glika. Ich klątwa ciążyła niemal na całej ludzkości.

Jeden.

Nie mógł wytrzymać dłużej. Musiał zrobić wdech, choć jednocześnie wiedział, że znajduje się pod wodą. Tak kończyli wszyscy topielcy. Mózg wysyłał sygnał zmuszający do nabrania powietrza, nie bacząc, że lada moment ich płuca rozerwie woda. Teraz ten moment nadszedł dla niego.

Zero...

Dokładnie w tej chwili rozlała się wokół niego jasność.



Choć zdaje się, że martwa dziewczynka ma inny kolor włosów, to bez wątplenia jest jego siostra. Chłopiec nie ma żadnych wątpliwości. Rozpoznaje drobne znamię w prawym kąciku ust oraz bliznę na podbródku. Pamięta, jak rozcięła go sobie w trakcie zabawy na huśtawce. To było ledwie dwa lata temu, a ileż wspólnych chwil spędzili przez ten czas!

Być może w trakcie autopsji użyto jakiegoś środka chemicznego, który zmienił kolor jej włosów. A może... Może jej włosy zostały obcięte, aby można było dokładnie obejrzyć jej mózg? Może to tylko peruka?

Pytania się mnożą, lecz chłopiec nie zamierza zwlekać. Sięga do metalowej szuflady i wyjmuje z niej strzykawkę oraz specjalne dreny. Myciem jej głowy oraz toaletą reszty ciała zajmie się później. Odwraca teraz od niego wzrok. Przelyka ślinę.

Po raz pierwszy dociera do niego fakt, że już nigdy więcej nie porozmawia z siostrą. Że nie będzie się mógł jej w niczym poradzić ani nie usłyszy jej śmiechu. No chyba że z tych wielu nagrań uwiecznionych przez ich mamę. Ale przecież to nie to samo.

Chłopiec przewycięża chwilową niemoc i ponownie nachyla się nad stołem. Musi go obniżyć, aby mógł zrobić to, do czego przecież miał zostać przyuczony w kolejnych latach. Ojciec nie spodziewał się, jak szybko się uczy. Będzie zaskoczony, a jego mama dumna. Przynajmniej w ten sposób ukoi ich cierpienie. Przecież nie może zrobić nic więcej. A poza tym...

Poza tym to wszystko to jego wina. Gdyby nie to diabelne przyjęcie w ogrodzie, Sofia nadal by żyła. To przez niego i przez te idiotyczne zabawy. Wie to.

Jego spojrzenie spoczywa na dłoni siostry. Delikatnie jej dotyka, ale coś zwraca jego uwagę. Powoli ogląda jej palce. W głowie lęgną mu się

rozmaite myśli, lecz stara się je odgonić. To ich ostatni uścisk, więc mózg pewnie płata mu figle.

Dobrze wie, co teraz powinien zrobić. Po spuszczeniu krwi ze zwłok w jej miejsce wtłacza się specjalny płyn o właściwościach konserwujących oraz dezynfekujących. Jego kolor sprawi, że ciało siostry przestanie być tak potwornie sine. Jednak najpierw... Najpierw musi wbić wielką igłę do tętnicy szyjnej oraz zrobić nacięcie w pobliskiej żyłę. Zawsze wydawało mu się to łatwe, tymczasem mimo kolejnych prób krew nie wypływa. Ręce drżą mu coraz bardziej. Nie ze strachu, lecz ze złości na samego siebie.

Chyba że...

Nagłą myśl przerywa nieodległy odgłos kroków. Dobiega z korytarza i nie ma wątpliwości, że ktoś kieruje się do pracowni. To ojciec... To kroki ojca.

Chłopiec odkłada narzędzia i staje wyprostowany przy stole. Nie zamierza się kryć ani niczego udawać. Wie, że od teraz będą mieć wspólną tajemnicę.

Drzwi się otwierają i staje w nich jego ojciec. Spojrzenie mężczyzny od razu pada na syna, ale nie wygląda on na zaskoczonego. Przez chwilę się nad czymś zastanawia. Wreszcie wchodzi do środka i cicho zamyka drzwi. Wciąż nie spuszcza z syna wzroku. Jego twarz nie zdradza żadnych emocji.

– Już wiesz? – pyta.

Chłopiec kiwa głową.

– Sofia nie zginęła potrącona przez samochód, zgadza się? – pyta, choć właściwie to stwierdzenie. – Ktoś opiłował jej paznokcie i pofarbował włosy. Nie zrobiono tego w trakcie autopsji.

Ojciec w ogóle się nie porusza. Stoi sztywno, z kapeluszem wetkniętym pod lewe ramię i z hebanową laską o srebrnej główce w prawej dłoni. Żyły na jego skroniach rytmicznie pulsują.

– Ktoś po śmierci spuścił z jej ciała krew... – ciągnie chłopiec. – Została zamordowana, prawda? Proszę, nie oszukuj mnie, tato... Muszę znać prawdę.

– Tak, Honoriuszu.  
Ojciec nie mówi nic więcej.

## 108



Mond usłyszał szcęknięcie klucza w zamku. Znajdował się w swoim pokoju i od kilkunastu godzin dochodził do siebie po nocnych wydarzeniach. Momentalnie otworzył oczy, lecz nie miał dość siły, by szybko wstać z łóżka. Sięgnął po leżącą na szafce laskę ze srebrną główką w kształcie czaszki. Przed laty należała do jego ojca, a wcześniej do dziadka i pradziadka.

– Allegra? – zagadnął, gdy usłyszał miękkie, szybkie kroki stawiane na dywanie w przedpokoju. – Co tu robisz?

Po chwili do jego pokoju zajrzała szeroko uśmiechnięta Szmit. Jej włosy były w nieładzie, nie miała również beretu. Zdjęła okulary z zielonymi szklami i schowała je do kieszeni. Przez ramię niosła przerzuconą papierową torebkę, którą postawiła na podłodze przy łóżku.

– Portier dał mi klucz. Chyba wszyscy myślą, że jesteś w stanie agonalnym.

– Mam nadzieję, że w holu nie czeka ksiądz z celebransami.

– Co najwyżej ksiądz egzorcysta.

Szmit zakrzętnęła się obok szafki przeznaczonej na kącik kuchenny. Zagotowała wodę w czajniku i wyciągnęła jedną z filiżanek należących do zastawy Monda. Honoriusz obserwował ją, nie podnosząc się z łóżka. Na jego ustach pełgał załazek uśmiechu. Odkasznął i podciągnął się, opierając o wezłowie.

– Jakie są najnowsze informacje? – zagadnął. – Chyba dziś nie jestem na bieżąco.

Szmit podeszła do niego z filiżanką parującej herbaty i przyciągnęła do łóżka stołek od szpinetu.

– Ciała Glika nadal nie znaleziono, jeśli o to ci chodzi – stwierdziła, nakazując gestem, by pił. – Ale specjaliści twierdzą, że nie miał szans wydostać się żywy. Kanały zawężają się i kończą śluzami. Mogą przez nie przepłynąć ryby, ale nie człowiek.

– Co ma wisieć, nie utonie – skwitował Mond.

– Naszło cię na bon moty?

– Raczej na logiczne wnioski... Glik to jedno, ale Kanclerz to drugie. To on wrobił moją kuzynkę i skierował podejrzenie na Kościńskiego.

– Nie myśl o tym.

– Miałem całą noc, by nie myśleć o niczym innym.

Mond upił kilka łyków i odstawił filiżankę na szafkę obok laski.

– Moja kuzynka twierdziła, że te wszystkie poszlaki DNA są wyjątkowo naciągane, a jednak uwierzyła w całą narrację. Dała się wodzić na pokuszenie, niemal tak łatwo jak Glik...

Honoriusz odchrząknął i zacisnął usta. Uniósł głowę, po czym wpatrywał się w sufit, jakby starał się wyczytać coś ze sztukaterii. Po chwili westchnął i się uśmiechnął. Wzruszył ramionami niczym mały chłopiec, który chce porzucić jakiś nazbyt fraszujący go temat. Szmit nagle drgnęła i poderwała się ze stołka.

– Ach, zapomniałam! – Sięgnęła do papierowej torebki. Włożyła do niej dłoń i zerknęła na Monda. – Co obstawiasz w swoim pokręconym zero-jedynkowym świecie?

– Mam nadzieję, że nie trzymasz tam termosu z chichą.

– Chichę dołam ci wcześniej do herbaty. Ku pokrzepieniu.

Mond zerknął na filiżankę i zaraz ponownie przeniósł wzrok na Allegrę.

– Nie odważyłabyś się. Wyczułbym jej smak i wiedziałabyś, że się zemszczę.

– Zamiast się mścić, mógłbyś po prostu być miły.

– Na bycie miłym zbędnie marnuje się energię. To nienaturalne. Natura nie stworzyła nas do bycia miłymi, tylko...

– Naprawdę? – Szmit wyciągnęła z torby nowiutką fedorę, niemal identyczną jak ta, którą Honoriusz zgubił poprzedniego dnia. –

W przyrodzie nic nie ginie, no nie?

Śmiejąc się, włożyła kapelusz na głowę Monda. Ten jednak nagle całkowicie spoważniał. Jego myśli podążyły ku tajemniczemu Kanclerzowi oraz temu, w jaki sposób ten genialny zbrodniarz doprowadzał do kolejnych bezceństw. Przeniósł wzrok ku oknu, w którym wydawało mu się, że przemknęła czyjaś twarz. A może było to jedynie odbicie jego obaw.

– Muszę wrócić do formy – bąknął. – Podasz mi zawiniątko schowane w tamtej szafce po lewej?

**—=FADE TO BLACK=—**

## POSŁOWIE

Wierzę (choć Mond użyłby innego słowa), że lektura dostarczyła Państwu równie wielu emocji jak mnie. Przez znaczną część procesu pisarskiego śledziłem wydarzenia, jakby wyświetlał je niezwykle rzutnik umieszczony w mojej wyobraźni. Niemal nie nadązałem z ich spisywaniem, a jednocześnie przeżywałem kolejne zaskoczenia.

Początkowo nie byłem pewny, czego dotyczy narracja spisywana w czasie teraźniejszym. Widziałem te sceny i wiedziałem, że będą istotne dla fabuły, ale gdy zdałem sobie sprawę, kogo dotyczą, przez moment się zawahałem. Po raz pierwszy miałem wątpliwość, czy powinienem tak mocno doświadczać głównego bohatera mojej powieści. Jednak po chwili konsternacji zdecydowałem, że przecież nigdy nie cenzuruję własnej wyobraźni. Skoro gdzieś w mojej podświadomości jego los ukształtował się właśnie w ten sposób, nie mam na to żadnego wpływu.

Jednocześnie cieszę się, że Mond odsłonił część swojej historii i stał się dla mnie lepiej zrozumiały. Tym bardziej intrygują mnie jego dalsze losy. Mam nadzieję, że w kolejnym tomie zdradzi na swój temat jeszcze więcej. A z drugiej strony... Realność jego postaci staje się doświadczeniem niemal metafizycznym – choć na pozór zdaje się całkowicie nierzeczywisty i wyrwany z innego świata. Ileż takich osób, przeniesionych żywcem z dawnych epok, spotykamy na swojej drodze? To nic złego. Tak długo, jak nam samym nie wydaje się, że jesteśmy reinkarnacją mordercy sprzed stulecia, wszystko jest w porządku. Przynajmniej tak sędzę.

Tymczasem płomień pełga, a świeczka już powoli dogasa...

Ukłony  
Max Czornyj



## **SPIS TREŚCI**

Karta tytułowa

Dedykacja

Cytat

### **DZIEŃ PIERWSZY**

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

### **DZIEŃ DRUGI**

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

## KILKA DNI PÓŹNIEJ

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

40

41

42

43

44

45

46

47

48

49

## DZIEŃ NASTĘPNY

50

51

52

53

54

55

56

57

58

59

60

61

62

63

64

65

66

67

## DZIEŃ NASTĘPNY

68

69

70

71

72

73

74  
75  
76  
77  
78  
79  
80  
81  
82  
83  
84  
85  
86  
87  
88  
89  
90  
91

NOC

92  
93  
94  
95  
96  
97  
98  
99  
100  
101

102

103

104

105

106

107

108

## POSŁOWIE

Karta redakcyjna

Copyright © by Max Czornyj, 2022  
Copyright © by Grupa Wydawnicza FILIA, 2023

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2023

Projekt okładki: Ola i Daniel Rusiłowiczowie

Redakcja: Marta Akuszewska  
Korekta: „DARKHART”, Jarosław Lipski  
Skład i łamanie: „DARKHART”

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:  
„DARKHART”  
Dariusz Nowacki  
darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8280-644-1

# FILIA

Grupa Wydawnicza Filia sp. z o.o.  
ul. Kleeberga 2  
61-615 Poznań  
wydawnictwofilia.pl  
kontakt@wydawnictwofilia.pl

Seria: FILIA Mroczna Strona  
mrocznastrona.pl

Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci i zdarzeń jest przypadkowe.